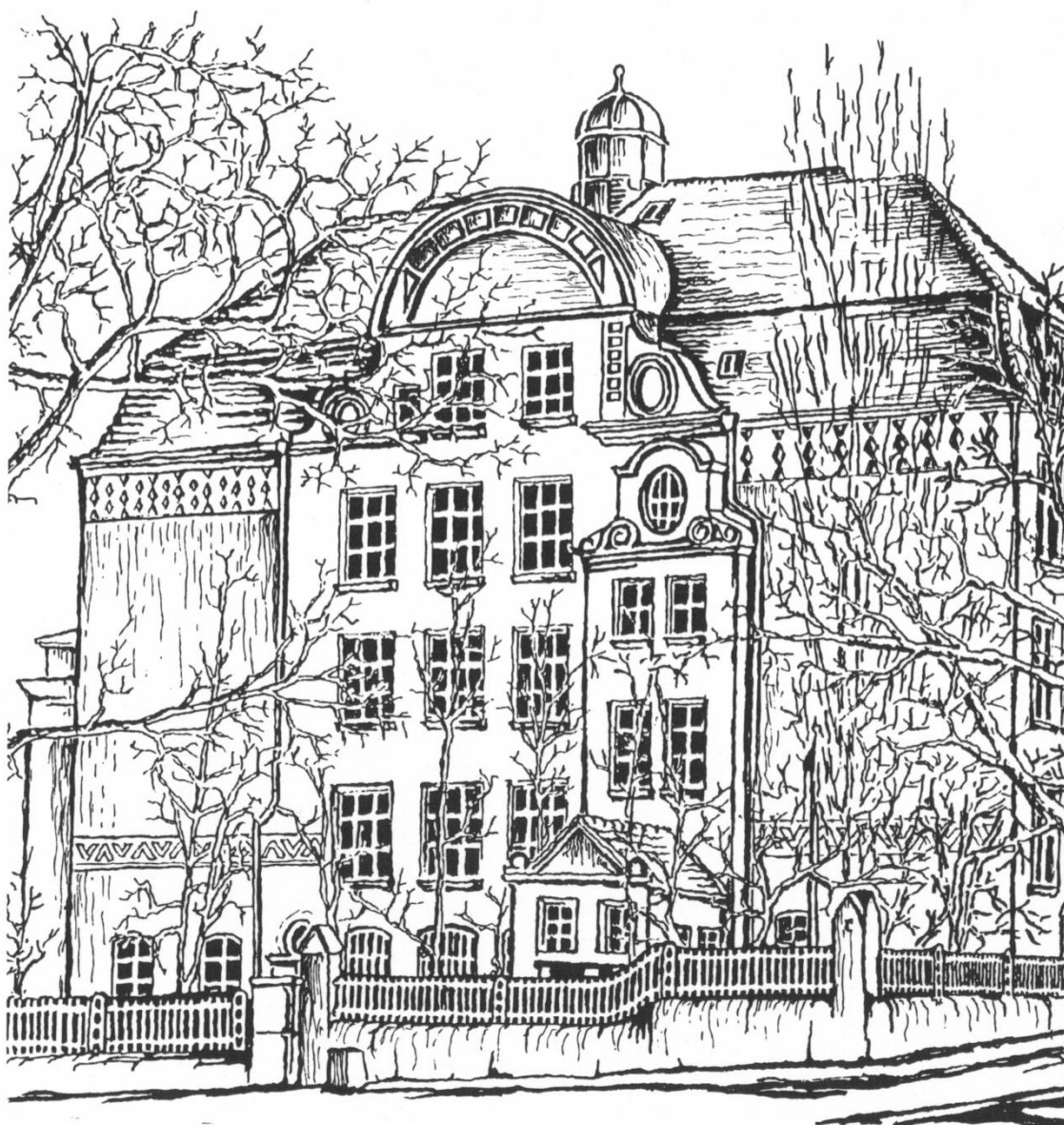


ZBLIŻENIA



LUDZIE
SZÓSTKI
2019

WYDANIE SPECJALNE – WRZESIEŃ 2019



Program uroczystości związanych z 70-leciem Szkoły

Piątek, 27 września 2019 r.:

9.00 Msza Święta

Kościół pw. św. Andrzeja Boboli, ul. Pocztowa 22 w Szczecinie

12.00 Uroczysta Akademia w Teatrze Współczesnym

ul. Wały Chrobrego 3 w Szczecinie

16.00 - 20.00 Spotkania Absolwentów Szóstki w klasach

VI LO, ul. Jagiellońska 41 w Szczecinie

16.00 - "Człowiek żyje dopóty, dopóki trwa pamięć o nim" - nauczyciele we wspomnieniach uczniów, anegdotach i fraszkach. **s.25**

Sobota, 28 września 2019 r.:

8.00 Pamięci Tych, którzy odeszli ...

Odwiedzanie mogił Profesorów i Pracowników VI LO na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie, ul. Ku Słońcu 125 A

9.30 -12.00 Jubileusz 70-lecia na sportowo

Rozgrywki rekreacyjno-sportowe i ognisko na placu przy VI LO oraz w parku przy ul. Noakowskiego

12.00 - 14.00 Grill + ognisko na placu przyszkolnym

12.00 - 16.00 Spotkania Gości Jubileuszu, uczniów, rodziców, nauczycieli w szkole

Wszystkie wywiady zamieszczone w jubileuszowym wydaniu *Zbliżeń*
zostały przeprowadzone przez p. Annę Roman
całość wydania opracowana przez p. Annę Roman
Skład komputerowy i opracowanie graficzne p. Magdalena Reszczyńska

Zamiast wstępu

Rozmowa z dyrektorem VI Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinie – panią Bożeną Ulchurską-Jackowską



Jak to jest kierować szkołą z 70-letnią tradycją?

VI LO w Szczecinie jest „moją szkołą” od ponad 25 lat, a zatem zdążyłam już poznać jej historię, tradycję, oswoić się ze zwyczajami i na pewno zapadła mi w duszę i w serce. Pracę w *Szóstce* rozpoczęłam jako nauczycielka biologii i ekologii; kieruję szkołą od siedmiu lat. Pani Dyrektor Maria Zalewska, od kiedy zaczęłyśmy pracować razem, stopniowo powierzała mi coraz bardziej samodzielne zadania i przygotowywała do ewentualnego zarządzania w przyszłości. Niemniej jednak nie oczekiwałam, że obowiązki te przejmę w tak smutnych okolicznościach odejścia długoletniej i bardzo oddanej *Szóstce* Pani Dyrektor. Jej ogromny wkład pracy, zaangażowanie i jednocześnie wrażliwość na sprawy drugiego człowieka były i są moimi drogowskazami w codziennej pracy nauczyciela, wychowawcy, a teraz również dyrektora szkoły.

Historia VI LO w sposób ważny wpisuje się w rozwój oświaty na Pomorzu Zachodnim, splata losy ludzi, dla których ziemia odzyskane stały się ojczyzną po roku 1945; a zatem 70 lat to może nie jest dużo w porównaniu z innymi polskimi liceami, ale na Ziemiach Zachodnich oznaczają one budowanie

tożsamości polskiej na nowo, stąd jest we mnie dużo szacunku i pokory wobec wszystkich minionych lat, a przede wszystkim w stosunku do ludzi, dzięki którym VI LO stawało się jedną z najbardziej prestiżowych szkół średnich w Szczecinie.

Co Pani ceni w naszej szkole i dlaczego?

Od pierwszego dnia w szkole, spotkania z nauczycielami w pokoju nauczycielskim oraz z uczniami w klasach odniosłam wrażenie, że znalazłam się w gronie osób, które lubią uczyć i chcą się uczyć, a oprócz tego mają swoje pozanaukowe pasje, zainteresowania. Zwróciło również moją uwagę to, że wszyscy uczniowie właściwie się znają, nie tylko w klasach równoległych, ale również pomiędzy poziomami. Myślę, że właśnie koleżeńskość i kameralność wyróżnia naszą szkołę spośród innych. Na szczególną uwagę zasługuje także formuła działalności samorządu uczniowskiego w postaci Rady Pięciu. Bardzo cenię sobie tę formę współdecydowania w szkole i współgospodarowania w niej, uzgadnianie stanowisk, przy jednoczesnej współpracy z gronem pedagogicznym i Radą Rodziców VI LO.

Jakie plany, związane ze szkołą, chciałaby Pani zrealizować?

Moje marzenia i plany dotyczą rozwoju szkoły w kilku obszarach:

- w dydaktyce, aby cały czas grono pedagogiczne *Szóstki* tworzyli nauczyciele twórczy i kreatywni, lubiący pracę z młodymi ludźmi, umiejący zarazić pasją do swojego przedmiotu, a jednocześnie swoją postawą uczący wrażliwości, szacunku i codziennej wzajemnej życzliwości; aby do *Szóstki* przychodziła młodzież, która wybiera tę szkołę z przekonaniem, że chce uczyć się właśnie tutaj i tu rozwijać swoje uzdolnienia, zainteresowania, odnosić sukcesy;
- w obszarze organizacji pracy szkoły, aby sprawnie i efektywnie przeprowadzić rocznik uczniów 2019/2020 przez kolejne lata reformy z poczuciem, że właściwie wspólnie wykorzystaliśmy szansę edukacji w pierwszym roczniku czteroletniego liceum po reformie oświaty;
- w zakresie bazy materialnej i warunków lokalowych szkoły, aby można było uzyskać środki finansowe na naprawę ogrodzenia (kolejne projekty są przekładane na następne lata budżetowe), budowę małego boiska szkolnego, zakończyć wymianę okien i odnowić elewację budynku naszej szkoły.

W każdej chwili staram się pamiętać, że *Szóstkę* tworzyli i tworzą ludzie, którzy wprawdzie do szkoły mają pod górkę, ale też góry można z nimi przenosić. I za to z całego serca dziękuję. Czuję się zaszczycona, że mogłam dołączyć do *Szóstkowej Rodziny*.

Nauczyciel w szkole

Czy zawsze chciałaś uczyć matematyki?

Czy zawsze chciałaś uczyć matematyki? Takie pytanie często pada ze strony znajomych, pytają też o to uczniowie. Nie, nie zawsze chciałam być nauczycielem. Pomysły na życie miałam różne, jednak w pewnym momencie podjęłam taką, a nie inną decyzję. Czy słusznie? Najlepiej na to pytanie odpowiedzieć mogą moi uczniowie, ci obecni oraz ci, którzy szkołę już skończyli.

Praca nauczyciela jest dla mnie ciągłym wyzwaniem. Każdy uczeń jest inny, do każdego ucznia trzeba spróbować trafić. Każdego ucznia trzeba przygotować do egzaminu maturalnego, czyli trzeba go czegoś nauczyć. Oczywiście, najlepiej pracuje się z uczniem, który chce się uczyć, ma cel życia, a szkoła jest tylko punktem pośrednim. Jednak trzeba również pracować z tym uczniem, dla którego matematyka jest złem koniecznym na drodze do przyszłego, wymarzonego zawodu.

W uczeniu się matematyki potrzebna jest wytrwałość, cierpliwość, systematyczność, ciekawość, dociekliwość. Uczeń dociekliwy to moje marzenie jako nauczyciela. Matematyka jest naprawdę fascynująca, jeśli tylko chce się jej poświęcić trochę czasu.

Staram się na co dzień pokazywać moim uczniom tę wyjątkowość matematyki jako nauki, jej szerokie zastosowania. Niestety, w tę wyjątkowość wkracza często, niestety, rutyna, ponieważ ... podstawa programowa, matura, którą każdy uczeń powinien zdać.

Pewne umiejętności w matematyce trzeba wyćwiczyć, stąd powtarzanie zadań tego samego typu, utrwalanie materiału. Uczniowie w tematach, które znają, czują się bezpiecznie i nie zawsze mają ochotę z tych bezpiecznych ramek wyjść. Moim zadaniem jest pokazać im, że to nowe nie zawsze jest trudne, a dowód matematyczny to nie jakiś straszny potwór, tylko jedno z kolejnych zadań. Niestety, matematyka jako nauka jest bardzo wymagająca, trzeba jej poświęcić czas.

Praca z młodzieżą daje mi dużo satysfakcji, cieszą mnie ich sukcesy, miło mi, gdy po skończeniu szkoły przyjdą w odwiedziny, gdy wspominają chwile spędzone w szkole. Nie staram się z każdego zrobić matematyka, młodzież ma swoje pasje, zainteresowania. Jako wychowawca zawsze mówię moim uczniom, że powinni wybrać swoją drogę, że mają się uczyć przede wszystkim tego, co ich fascynuje,



z czym wiążą swoją przyszłość. Bardzo mi miło, gdy po skończeniu szkoły przyjdą porozmawiać, pochwalić się sukcesami. Cieszy mnie też „dzień dobry” powiedziane na ulicy z ust dawnego ucznia, który w czasach szkolnych nie bardzo darzył mnie sympatią.

Po latach pracy jako nauczyciel mogę powiedzieć, że na pewno nie jest lekko. Jednak to jest moja praca, moja pasja. Lubię uczyć matematyki. Czy robię to dobrze? Nie mnie to oceniać. Mogę tylko mieć nadzieję, że dla niektórych uczniów byłam dobrym nauczycielem.

Magdalena Bohonos
nauczycielka matematyki w VI LO

Nauczyciel w szkole

Jest w tej pracy coś fascynującego...

Pracuję w szkole ponad 20 lat i nadal nie mogę uwierzyć, że tyle już minęło. Każdego dnia czuję, jakbym dopiero zaczynała swoją przygodę z zawodem nauczyciela. Jest w tej pracy coś fascynującego, ten kontakt z młodym pokoleniem, zmieniającym się na naszych oczach; godzinami toczące się dyskusje na temat literatury, historii i współczesnego świata. Próba przekonania, że lektury też warto czytać, co więcej – można w nich znaleźć coś dla siebie; ciągła walka z pytaniem: „Po co mi to?” Patrząc z perspektywy, chyba lubię wyzwania. Sprawia mi przyjemność dyskusowanie z uczniami o poezji, o tym, że można ją zrozumieć, jeśli nawet na pozór brzmi bezsensownie; lubię oglądać nagrane przez nich ballady i wspólnie śmiać się z różnych ujęć.

Najmniej lubię oceniać, chociaż robię to nieustannie. Taka praca. Zawsze mam dylemat, czy słusznie, czy kogoś nie skrzywdziłam? Czytam więc czasem po kilka razy to samo i myślę, rozważam. A wszystkim się wydaje, że ja to taki pędziwiatr, zawsze w biegu i z tysiącem spraw do załatwienia...

Praca nauczyciela polonisty naprawdę nie należy do łatwych, szczególnie jeśli się jest w nią zaangażowanym. Wymaga czytania (nie tylko lektur), stałego poszerzania horyzontów (przecież ciągle w literaturze coś się dzieje, powstają nowe książki – te ambitne, konkursowe, ale też te „do poczytania”, te, które lubi młody człowiek), wiedzy z historii i sztuki. Trzeba też na bieżąco śledzić repertuar teatrów i kin – jeśli nauczyciel nie zarazi ucznia miłością do sztuki, to kto? Rodzic – rzadko ma na to czas.

I jeszcze bólączka wszystkich polonistów – sprawdziany, prace klasowe, wypracowania. Myślę, że uczeń z radością zaakceptowałby fakt, że nie trzeba już nic pisać, nie trzeba odrabiać zadań domowych. Tylko co dalej? Który młody człowiek jest na tyle odpowiedzialny, aby sam z siebie uczyć się, przyswajając wiedzę, wiedząc, że nikt tego nie skontroluje. Tym bardziej, że tyle teraz ciekawszych rzeczy niż żmudna nauka.

Dlatego szkoła to takie przedsięwzięcie, w którym jest nauczyciel - wytwórca i jednocześnie sprzedawca, uczeń, czyli klient, nie zawsze zainteresowany oferowanym towarem, i kontroler w postaci rodzica. Żeby przedsięwzięcie działało sprawnie,

wszyscy powinni ze sobą współpracować. Uważam, że współczesny rodzic powinien pozwolić swojemu dziecku na większą samodzielność, dać mu możliwość popełniania błędów i sparzenia się, ale też powinien bardziej ufać nauczycielowi, który naprawdę dobrze chce dla swojego ucznia. Z kolei idealny uczeń to ten, któremu się chce – chodzić do szkoły, zdobywać wiedzę, rozwijać się, dyskutować, a nawet kłócić, byle w dobrej wierze.

A nauczyciel? Dla mnie idealny nauczyciel to ten, który lubi swoich uczniów, chce i umie z nimi rozmawiać; pasjonuje się swoim przedmiotem i stara się nim zainteresować innych. Potrafi godzinami dyskutować na tematy ważne dla siebie, ale też dostrzega tematy ważne dla ucznia. Nie widzi w sobie chodzącego ideału, ale potrafi przyznać się do błędu, zmęczenia, złego humoru – jest po prostu człowiekiem, ze swoją pasją i szansą kształtowania młodego pokolenia. Ale tylko szansą, musi więc uważać, aby jej nie zmarnować.

Przygotowując jubileuszowe wydanie gazety szkolnej, wiele się nauczyłam. Dane mi było poznać niezwykłych ludzi, pasjonatów, absolwentów *Szóstki*. Cieszę się, że mogłam z nimi porozmawiać (nawet, jeśli tylko w formie mailowej), bo pokazali mi, że szkoła, jaka by nie była, zawsze wpływa na człowieka i pozostawia jakiś ślad. Do nas, nauczycieli, należy, aby ten ślad był jak najbardziej pozytywny.



Anna Roman
nauczycielka języka polskiego

Nauczyciel w szkole

„Nasze wspomnienia, błogi dar pamięci....”(Gustaw Zieliński)



Pracę w VI Liceum Ogólnokształcącym w Szczecinie rozpoczęłam 1 września 2003 r. Miałam już 7-letni staż pracy w szkole i doświadczenie związane z pracą na trzech etapach edukacyjnych (w szkole podstawowej, gimnazjum, liceum i technikum). Dyrektorem szkoły była wtedy dr Maria Zalewska, która już podczas rozmowy rekrutacyjnej wywarła na mnie wrażenie osoby konkretnej i bardzo dbającej o dobro szkoły. Kolejne lata pracy w *Szóstce* to potwierdziły; wymagała od siebie i innych solidnej pracy, była opiekuńcza w stosunku do pracowników i uczniów, ale niepobłażliwa.

Pierwszy dzień w Szóstkowym pokoju nauczycielskim zapamiętałam również bardzo miło. W najbliższym sąsiedztwie mieszka, które zajęłam, była obecna Pani Dyrektor Bożena Ulchurska-Jackowska - nauczycielka biologii z ogromną wiedzą merytoryczną, taktem pedagogicznym i wieloletnim doświadczeniem w pracy nauczycielskiej, ceniona przez młodzież za wiedzę, mą-

drość i obiektywne ocenianie uczniów; jej mąż Przemysław Jackowski – nauczyciel języka angielskiego swoją kreatywnością, zaangażowaniem i zapałem zarażający do pracy zarówno uczniów, jak i nauczycieli; Bartosz Burchard – nauczyciel informatyki ceniony za nietuzinkową wiedzę i doskonale znający języki programowania, Mieszko Trabszo i Krzysztof Czerniak – nauczyciele języka angielskiego, zafascynowani kulturą, geografią i społecznością Szkocji i Wielkiej Brytanii; wszyscy byli serdeczni, a rozmowy z nimi przebiegały tak, jak byśmy znali się od lat.

Czas spędzany w pracy nigdy mi się nie dłużył, ponieważ praca w *Szóstce* była i jest dla mnie nie tylko obowiązkiem, ale też radością i przyjemnością, a to niezwykle ważne. Codzienny kontakt z młodzieżą nie pozwala się zbyt szybko znudzić i zestarzeć.

Po nagłej śmierci Pani Dyrektor Zalewskiej, zgodnie z Jej życzeniem, do konkursu na dyrektora szkoły przystąpiła, z sukcesem, Pani Bożena Ulchurska-Jackowska. Rok później przejęłam obowiązki wicedyrektora szkoły, przekazane mi przez odchodzącą na zasłużoną emeryturę panią Danutę Świerczyńską. Pani wicedyrektor, doceniana i bardzo lubiana przez uczniów i grono pedagogiczne nauczycielka matematyki, przygotowywała mnie i wtajemniczała w kolejne zakresy obowiązków jeszcze podczas swojej pracy, jak i służyła pomocą po przejściu na emeryturę.

Upływający czas zostawiał swoje piętno na budynku szkolnym, niekoniecznie na nas. Pani dyrektor energicznie zabrała się do pracy. Rozpoczął się czas mozolnego pozyskiwania środków na remont szkoły. Pisania próśb, szukania wycen, sponsorów, itp. Pozyskiwane fundusze przeznaczone były na kolejne remonty, malowanie sal lekcyjnych, łazienek, korytarzy, zrywanie starych i układanie nowych podłóg, renowację tych, które można było uratować, zamawianie nowych mebli i - co bardzo ważne - częściovą wymianę stolarki okiennej. Ile zachodu kosztowało to panią dyrektor, jej tylko wiadomo. My podziwialiśmy efekty końcowe, pomalowane sale, wyremontowane sanitariaty w szkole, dachy, korytarze, pomieszczenia księgowości, biblioteki, pedagoga szkolnego, wejście do budynku szkolnego. Oprócz remontów na przestrzeni lat, zgodnie z oczekiwaniami Pani Dyrektor Zalewskiej - stale unowocześniane są sale lekcyjne, wyposażane i doposażane pracownice, tak aby wszystkim uczniom i nauczycielom, pracowało się dobrze i zgodnie z duchem czasu. Zmiany zachodzące w szkole są zasługą większości współpracowników, nieoceniony wkład mają tu pracownicy administracyjni, księgowości i obsługi; bez ich zaangażowania większość działań nie byłaby tak skuteczna.

Spoglądam na szkołę nie tylko z pozycji nauczyciela, ale i rodzica. Doceniam, oprócz ogromnego wkładu wniesionego w infrastrukturę szkoły, również

zwracanie szczególnej uwagi na wychowanie młodzieży, ponieważ wiem, że naukę można zdobywać przez całe życie, ale złe nawyki i brak kultury osobistej trudno zmienić. Szóstkowi nauczyciele zauważają sukcesy swoich uczniów i potrafią ich chwalić,

natomiast uwagi krytyczne przekazują w sposób taktowny, ale skuteczny! Mają czas na wyjaśnienie nierozumianych zagadnień i cierpliwość do ponownego tłumaczenia omówionego już tematu.

Pozostaje mi dziękować losowi, że na swej drodze spotkam

tylu wspaniałych ludzi i wierzyć, że ciągle będę spotykać kolejnych wspaniałych nauczycieli, uczniów i rodziców, pozwalając sobie na optymistyczne spoglądanie w przyszłość

Magdalena Reszczyńska
wicedyrektor VI LO

Okiem rodzica

Kilka refleksji...

Bycie rodzicem ucznia szkoły ponadgimnazjalnej to, moim zdaniem, nad wyraz odpowiedzialne i angażujące zadanie. Z jednej strony mamy styczność już z dzieckiem pełnoletnim, które osiągając swoją dojrzałość, chce być w pełni samodzielne i odpowiedzialne. Natomiast z drugiej strony, jesteśmy cały czas jego rodzicem, który powinien okazywać mu zainteresowanie, pomoc i wsparcie w trudach edukacji. Tak naprawdę, to nasz ostatni czas, gdy możemy swoim słowem lub czynem pomóc naszemu licealiście.

Współpracę na linii rodzic-VI LO z mojej perspektywy, jako Przewodniczącej Rady Rodziców, oceniam pozytywnie. Mam przyjemność działać z zaangażowanymi rodzicami, którzy rozumieją i wspierają działania RR. Chciałabym, aby pozostała część rodziców, którzy nie są przychylnie nastawieni do naszych pomysłów i realizacji zrozumieli, iż to wszystko co czynimy w murach VI LO, jest dla dobra naszych dzieci.

Co chciałabym zmienić? Gdybym tylko mogła, to zaprosiłabym większą liczbę rodziców do współpracy, aby ich zaangażowanie było widoczne w życiu społeczności szkolnej. Chciałabym, aby rodzice zrozumieli, że ich obecność w szkole na zebraniach może nieść wsparcie dla ich dorosłego już „dziecka” oraz pozwala na rozwiązanie problemów.

Anna Bieczyńska

Anna Bieczyńska- rodowita szczecinianka; żona, mama dwóch córek, babcia; działaczka społeczna; obecnie Przewodnicząca Rady Rodziców przy VI LO.



Okiem rodzica

Rola rodzica w szkole

Zostałam nieco zaskoczona przez Panią Annę Roman, która poprosiła mnie o napisanie artykułu do gazetki szkolnej, jak powinna wyglądać współpraca na linii rodzice-szkola i co jako rodzic ucznia tej szkoły chciałabym zmienić?

Pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy, to dlaczego ja? Czy nie ma innych osób w szkole? O co chodzi? Po co to wszystko? Nie mam czasu. Nie dam rady. Nie chce mi się, jestem zajęta. Ostatnio pisałam na studiach, lata świetlne temu, na temat badań statystycznych wielkości ruchu granicznego.

Ależ mnie Pani Roman „urządziła”...

I tak lekko zdenerwowana, po krótkich przemyśleniach doszłam do wniosku, że to jest właśnie odpowiedź na postawione pytania. Podstawowym problemem w dzisiejszych czasach jest powszechna niechęć w angażowanie się w sprawy pozornie nas niedotyczące.



Mam wrażenie, że jesteśmy zmęczeni, zapracowani, obojętni i niechętni do podejmowania nowych wyzwań, nieprzynoszących nam profitów. Trochę to wszystko kontrowersyjne, ale czy właśnie

tak nie jest? Chcemy jako rodzice mieć tzw. „święty spokój”, a im mniej kontaktów ze szkołą tym lepiej. Takie postępowanie większości z nas jest poniekąd zrozumiałe. Mamy w domach nastolatków, duża część z nich ukończyła już osiemnaście lat i wydaje nam się, że nasze kontakty ze szkołą są zbyteczne. Nasze dzieci często też nie życzą sobie, aby mama, czy tata w ich szkole „bywali”..., przecież wszystko się „kręci” jak trzeba i niech tak zostanie. Nie przychodzimy na zebrania szkolne, ponieważ mamy dostęp do dziennika elektronicznego i komunikatora. Nie angażujemy się w życie szkoły, bo nie czujemy takiej potrzeby. Niechętnie płacimy składki na Radę Rodziców, bo przecież szkoły i edukacja są bezpłatne, a oprócz tego nie mamy pewności, w jaki sposób pieniądze ze składek zostaną spożytkowane. Ogólnie jesteśmy nastawieni na nie...

Takie oto przekorne myśli, w pierwszej chwili, przemknęły mi po głowie.

Jestem mamą 27-letniego syna i 18-letniej córki, miałam okazję obserwować (czasem też brać udział) życie przedszkolne, czy też szkolne moich dzieci. Muszę przyznać, że w każdej placówce edukacyjnej spotykałam się z tym samym problemem, a mianowicie z brakiem ufności i lekką podejrzliwością rodziców do nauczycieli i odwrotnie. Wszędzie spotykałam opiekunów podchodzących z rezerwą do nauczycieli i nauczycieli dystansujących się od rodziców. Bardziej zaangażowane mamusi, czy też tatusiowie (bo przecież tacy też się zdarzają) byli traktowani z podejrzliwością, że być może mają jakiś interes, skoro

tak zależy im na pomocy w sprawach szkolnych, pewnie ich pociechy należą do tzw. „trudnych” itp. Pomiędzy tymi dwoma obozami są oczywiście dzieci, które bacznie obserwują zachowania dorosłych i przejmują wzorce.

Uważam, że w szkołach najbardziej brakuje komunikacji. Wszyscy mówimy, czego oczekujemy, jednocześnie nie słuchając, jakie oczekiwania w stosunku do nas mają inni. Nie jesteśmy nastawieni na „odbior”, zarówno grono pedagogiczne, jak i rodzice. Wymagamy od tych „drugich”, nie od siebie. Brakuje nam zrozumienia prostych komunikatów.

W moim subiektywnym odczuciu za mało jesteśmy, jako rodzice, angażowani w życie szkoły. W ubiegłym roku mieliśmy małą próbkę tego, co możemy wspólnymi siłami zdziałać. Myślę tutaj o remoncie klubu młodzieżowego. Wspólnymi siłami rodziców, dyrekcji i uczniów udało się przywrócić koloryt bardzo ciekawemu miejscu. Takich akcji powinno być więcej. Mam wrażenie, że dużą rolę w każdej szkole odgrywa kadra kierownicza i to od niej zależy czy współpraca pomiędzy nauczycielami, uczniami i rodzicami się uda. W każdym środowisku, a niewątpliwie takim też jest szkoła, powinien być swego rodzaju idol/ wodzirej/ przywódca/ menadżer, który zmobilizuje resztę grupy do działania. Niewątpliwie jest to najtrudniejsza i najbardziej wymagająca rola, ale do wykonania. Rolą zaś Rady Rodziców jest wspieranie działań na rzecz uczniów, nauczycieli i szkoły.

Została jeszcze odpowiedź na pytanie, co chciałabym zmienić?

I tutaj mam największy problem, bo chciałabym zmienić coś, na co tak naprawdę nie mam żadnego wpływu. Chciałabym zmienić nastawienie rodziców, nauczycieli i uczniów do wspólnej pracy, do bezinteresownego działania. Chciałabym, aby wszyscy byli bardziej zaangażowani

w życie wspólnoty, jaką jest szkoła, aby mieli więcej energii i pomysłów, jak miejsce, w którym spędzają tyle czasu, zmienić w przyjazne, otwarte, tolerancyjne i ciepłe.

Brakuje mi również spotkań integracyjnych. W dawnych czasach, w szkole średniej mojego syna był zwyczaj świętowania początku wakacji. Na spotkaniach przy grillu, oprócz nauczycieli

i rodziców, pojawiali się również członkowie Rady Osiedla, radni samorządowi oraz proboszcz z pobliskiej plebani. Może dziwnie to zabrzmie, ale był to dla szkoły czas najbardziej owocny w pomyśle i nawiązywanie współpracy. Nie wiem, czy taka idea w dzisiejszych czasach miałaby rację bytu, ale uważam, że zawsze należy szukać sposobów na lepszą komunikację.

Monika Kopczyńska

Monika Kopczyńska - absolwentka Uniwersytetu Szczecińskiego, emerytowany podpułkownik Straży Granicznej; od ponad 7 lat tworzy oraz prowadzi rodzinną kawiarnię *Coffee Point*. Żona, mama, właścicielka dwóch kotów i psa. Zajmuje się wolontariatem na rzecz osób bezdomnych i ubogich.

Okiem rodzica

Uczeń - nauczyciel – rodzic



Szkoła nie istniałaby bez uczniów i dlatego w tytule umieściłam ich na pierwszym miejscu. Szkoła średnia różni się znacząco od poprzednich placówek oświatowych, do których dotychczas uczęszczali młodzi ludzie. Dlaczego różni się? Otóż najczęściej jest to

świadomy wybór ucznia i etap przygotowujący do dorosłego życia.

Uczniowie pojawiają się tu z głowami pełnymi marzeń, ale i wielką chęcią imponowania wszystkim wokół. Początkowo zdaje im się, że są „zdobywcami świata”, którym wolno wszystko. Często, oderwani od rodziny, stają się podatni na wpływy rówieśnicze, a nauka odchodzi na dalszy plan. Do tej pory mieli już wypracowaną pozycję w gimnazjum lub szkole podstawowej, a teraz muszą walczyć, by być zauważonymi i nauczyć się przyswajać wiedzę w nowy sposób. Nie wystarczy już „wykuć” zadanego materiału, musi on zostać zapamiętany na dłużej i poddany analizie. Jedni radzą sobie z sytuacją lepiej, inni gorzej – do tego dochodzi chęć posiadania prawa jazdy, wieczorne imprezy, osiemnastki i miłość... no i mamy prawdziwą „mieszankę wybuchową”!

Nauczyciele – bez nich proces edukacji nie miałby racji bytu. Wszyscy wymagają od nich bardzo wiele i rozliczają z postępów w nauce. Często zapominamy, że nie są bogami, lecz zwykłymi ludźmi. Mają rodziny i prywatne problemy do rozwiązania, chorują i są śmiertelni. Nauczają – za dnia i wieczorami, a nocami sprawdzają tony wypracowań, zadań domowych, sprawdzianów, klasówek i matur! Chcemy, by podnosili kwalifikacje, byli uśmiechnięci, wyrozumiali, kreatywni i zaangażowani, lecz w obec-

nym stanie oświaty to strasznie trudne. Nie jest łatwo wtłoczyć do głów przeładowany program nauczania; do tego brak pomocy dydaktycznych i materiałów biurowych mocno daje się we znaki. Nawet jeżeli uczniowie złożą się na papier ksero, to jeszcze trzeba sprawdziany na czymś wydrukować. Dumni ludzie z wyższym wykształceniem muszą prosić Radę Rodziców o dofinansowanie tonera lub inwestują ciężko zarobione, prywatne pieniądze...

Rodzice... Kochamy swoje dzieci i mamy olbrzymie oczekiwania! Najważniejsze, żeby pociechy dobrze się uczyły i wysoko zdały maturę! I co dalej? Często dalej już nic. Złości nas, że szkoła prosi o pieniądze na różne cele, a jeszcze wpłata na Radę Rodziców i ubezpieczenie - przecież nasz syn, nasza córka są w placówce państwowej - teoretycznie BEZPŁATNEJ! Do tego chcemy mieć czas, żeby spokojnie pracować - opłacamy korepetycje, a tu nagle ktoś wymaga obecności na zebraniu. W naszym mniemaniu wszystko wiemy, przecież mamy dziennik elektroniczny, a nasze „skarby” są już dorosłe. Ktoś za nas

zorganizuje wycieczkę, ktoś inny zajmie się studniówką, jeszcze ktoś inny opłaci RR... i nagle budzimy się po maturze (jeśli wszystko idzie dobrze) albo podczas klasyfikacji z „gorzką pigułką w ustach” braku promocji do następnej klasy.

Co trzeba zmienić we współzależności uczeń - nauczyciel - rodzic? Moim zdaniem, nastawienie wszystkich stron. Rodzice powinni zaprzestać stania w opozycji do nauczycieli. Współpracujmy dla dobra młodzieży! Poświęćmy odrobinę czasu na pomoc szkole i nie urywajmy z nią kontaktu. Jedynie obustronna komunikacja pozwoli na porozumienie. Was kochani Nauczyciele prosimy, nie zapominajcie o swoim powołaniu i pracę traktujcie jak misję! Jeśli Wy będziecie pasjonatami, to uczniowie będą chcieli zdobywać wiedzę. W tak kameralnej szkole jak VI LO możliwa jest integracja i realizacja wielkich projektów - warunkiem jest tylko (albo aż) połączenie sił zarówno uczniów, nauczycieli, jak i rodziców. Wszyscy razem udowodnimy, że można!

Ada Obniska-Podolska

Ada Obniska-Podolska – polonistka z dwudziestoletnią praktyką, żona i mama dwóch wspaniałych synów (niebędących aniołkami☺)

Uczniowskie refleksje

Idealne lekcje w szkole to dialog nauczyciela z uczniami



Na przestrzeni wieków systemy edukacji oraz metody dydaktyczno-wychowawcze zmieniały się i rozwijały. J. A. Komeński, czeski pedagog działający w pierwszej połowie XVII w., zaniepokojony stanem oświaty zaproponował bardziej usystematyzowany program nauki oraz łagodniejszy stosunek nauczyciela do ucznia, w którym nie wykorzystywano kar cielesnych, ale starano się zaszczepić w młodych ludziach pasję do poznawania świata, aby proces zdobywania wiedzy był dla nich przyjemnością. Natomiast J. F. Herbart, żyjący na przełomie XVIII i XIX w., wyznawał zasady, według których proces uczenia się polegał przede wszystkim na biernym, pamięciowym przyswajaniu wiedzy, a nauczyciel w tym systemie wprowadzał na zajęciach system kar oraz rygorystyczną dyscyplinę.

Obecnie rola ucznia w szkole nie sprowadza się jedynie do biernego wysłuchiwanie wykładów nauczyciela, ale polega również na aktywnym udziale

w lekcjach i życiu szkoły oraz klasy. Dzisiejsza szkoła przygotowuje swoich podopiecznych do przyszłego życia i funkcjonowania w społeczeństwie. Każdy człowiek przez całe życie przynależy do różnych grup społecznych. Z początku są to m.in. rodzina, grupa rówieśnicza. Wraz z rozpoczęciem procesu edukacji młody człowiek dołącza do kolejnej grupy - klasy szkolnej. To właśnie tam uczniowie zdobywają najważniejsze doświadczenia życiowe przydatne w późniejszym, dorosłym życiu. Oprócz zdobywania wiedzy uczeń poznaje w środowisku klasowym wzory zachowania i normy moralne. Właśnie dlatego rola ucznia w szkole nie ogranicza się jedynie do przyswajania wiedzy, ale obejmuje także czynny udział w życiu społeczności klasowej i szkolnej.

Dla młodych ludzi nauka w szkole jest często tak samo ważna jak indywidualny rozwój w innych dziedzinach życia. W obecnym systemie edukacji uczeń ma okazję nie tylko jak najwięcej się nauczyć, ale może wykazać się również na innych polach, biorąc aktywny udział, np. w szkolnych uroczystościach. Szkoła wspiera indywidualne zainteresowania i pasje swoich wychowanków, zapewniając różnorodne zajęcia dodatkowe i pozwalając na prezentowanie swoich osiągnięć w tym zakresie na forum klasy i szkoły. Przykładem takiej możliwości jest odbywający się w naszym liceum coroczny konkurs piosenki angielskiej, zachęcający do podzielenia się z innymi swoim talentem artystycznym i poziomem znajomości obcego języka. Uważam, że jeżeli uczeń z zaangażowaniem podchodzi do codziennych zadań oraz potrafi wykorzystać swoje zdolności, to szkoła jest dla niego

idealnym miejscem do pogłębiania zainteresowań i rozwoju osobistego.

Według mnie, idealne lekcje w szkole to takie, podczas których następuje dialog uczniów z nauczycielem na dany temat, a podczas prowadzonej rozmowy nauczyciel z zaangażowaniem przekazuje swoją wiedzę. W naszej szkole zdecydowana większość zajęć przyjmuje właśnie taką formę, co - według mnie - pozwala uczniom na aktywny udział w lekcjach, pomocny w lepszym i szybszym przyswojeniu danego materiału. W takim systemie uczeń staje się nie tylko przedmiotem, ale też w pewnym stopniu podmiotem nauczania. Nauczyciel natomiast zaczyna pełnić rolę mentora i pomocnika, nie tracąc przy tym swojego autorytetu.

Rola ucznia w dzisiejszej szkole jest coraz ważniejsza, a proces edukacji obejmuje zarówno naukę ustalonej podstawy programowej, jak i rozwój społeczny młodego człowieka. Częściej brany pod uwagę jest indywidualizm każdego ucznia, dzięki czemu łatwiej jest znaleźć swoje mocne strony i zainteresowania, a co za tym idzie, rozwijać je i poszerzać horyzonty. Szkoła stwarza szeroki zakres możliwości osobistego rozwoju, m. in. przez prowadzone w niej zajęcia dodatkowe i organizację różnorodnych konkursów. Relacja nauczycieli z uczniami opiera się przede wszystkim na współpracy i dialogu, a rygorystyczne kary zastępowane są formami pozytywnej motywacji. Moim zdaniem, system edukacji z upływem czasu zmienia się na lepsze, a dzięki uczęszczaniu do szkoły uczniowie spotykają na swojej drodze coraz więcej możliwości rozwoju i mogą czerpać przyjemność z nauki.

*Hanna Gromek
uczennica klasy IIIc (matematyczno-językowej)*

Rola ucznia w szkole i w systemie edukacji

Pierwsze szkoły pojawiły się już w starożytności, a wraz z nimi pierwsi uczniowie, natomiast cały świat został objęty obowiązkiem szkolnym dopiero pod koniec XIX lub na początku XX w. Niestety, mimo bardzo dużej liczby rozwiniętych krajów nadal pozostają miejsca na świecie, gdzie edukacja nie jest powszechnie dostępna. Paradoks tkwi w tym, że tam gdzie dzieci mogą

bezpłatnie uczestniczyć w zajęciach szkolnych, robią to niechętnie, często pod przymusem rodziców, a w krajach ubogich, gdzie edukacja jest płatna i dla wielu niedostępna, dzieci chcą się uczyć, poszerzać swoją wiedzę, zdobywać nowe umiejętności. Jaka jest więc rola ucznia jako jednostki i uczniów jako społeczności w szkole? Nie można określić konkretnego podziału uczniów ze

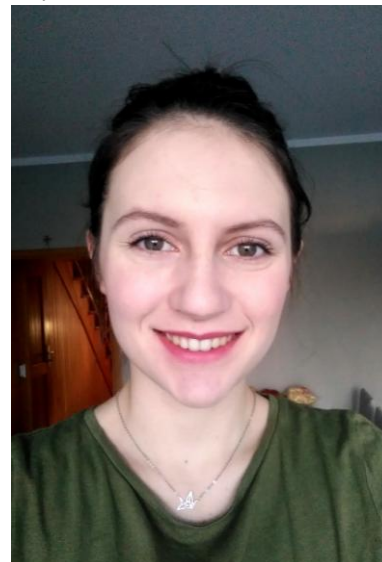
względu na pełnione role, ponieważ każdy człowiek prezentuje odmienne cechy charakteru, inne osobowości, poglądy, zdania na dane tematy, czy cele życiowe. Każdy też posiada różne umiejętności, dzięki którym może wykonywać inne zadania. Jeden będzie recytował wiersze lub śpiewał na apelach szkolnych, inny będzie w samorządzie klasowym jako przewodniczący lub skarbnik,

a jeszcze inny będzie reprezentował szkołę w Młodzieżowej Radzie Miasta, na zawodach sportowych lub konkursach przedmiotowych. Wszystkie te osoby i wiele innych, niewymienionych przeze mnie, tworzą społeczność szkolną, która w przyszłości będzie tworzyć społeczeństwo, przyszłe pokolenie naszego kraju, którego czyny mogą wpłynąć na przyszłość Polski, a może nawet świata. Dlatego rolę łączącą wszystkich uczniów powinna być dbałość o dobro szkoły, tworzenie jej pozytywnego wizerunku, a także promocja szkoły w środowisku lokalnym. Obecny system edukacyjny nie ułatwia jednak osiągnięcia wzoru ucznia idealnego. Przeciążone programy nauczania, nadmiar obowiązków i ogrom sprawdzianów, zatłoczona szkoła, brak czasu na rozwijanie własnych zainteresowań, określone zasady dotyczące ubioru ucznia, ograniczające możliwość wyrażania „własnego ja”, odbijają się na codziennym funkcjonowaniu przemęczonego i sfrustrowanego młodego człowieka. Jak to w życiu

bywa, idealny model ucznia, o którym marzy nauczyciel, odbiega znacząco od rzeczywistości. Szkoła spełniająca oczekiwania większości uczniów i nauczycieli powinna opierać się na norweskim systemie edukacyjnym, w którym nacisk kładziony jest na edukację przyrodniczą i ekologiczną, gdzie zwraca się uwagę na kształcenie umiejętności społecznych i socjalizację dzieci, a uczeń wybiera przedmioty szkolne, na które chce uczęszczać, dzięki czemu nie jest obciążany szeregiem niepotrzebnych przedmiotów zajmujących czas, który mógłby być wykorzystany dla przedmiotów wiodących i rozwijających pasje.

Trudno jest dogodzić każdemu, nigdy wszyscy nie będą zadowoleni, bo jest to fizycznie niemożliwe. Uczniowie tworzą zróżnicowaną społeczność, która musi się poddać określonemu systemowi edukacji i normom panującym w niedoskonałym szkolnictwie. Wynika z tego kolejna rola ucznia, jako osoby poszukującej zbliżonego do ideału sys-

temu edukacji. Jak powiedział Albert Einstein: *Nauka w szkołach powinna być prowadzona w taki sposób, aby uczniowie uważali ją za cenny dar, a nie za ciężki obowiązek.*



Wanda Kwiatkowska
uczenica kl.IIIb₁ (medycznej)

Kreatorzy szkolnej rzeczywistości

Przemykając cicho przez szkolne korytarze, rzadko kiedy zastanawiamy się, kim są osoby wokół nas. Widzimy nauczycieli i uczniów, widzimy twarze, fryzury, ubrania, makijaże, widzimy osoby, które znamy oraz te, których nie poznamy nigdy. Czasem, gdy zauważymy pewne dodatki, przypisujemy mijanym osobom cechy czy zainteresowania - szufladkujemy się nawzajem. Oceniamy swoje humory - jesteśmy w stanie zauważyć, że ktoś się gorzej czuje, że ktoś tryska szczęściem, że ktoś jest śpiący, a kto inny ma mnóstwo energii. Nie ma w tym nic złego, to wszystko to zwyczajnie ludzkie odruchy, jednak w momencie, gdy kogoś obrażamy lub wyśmiewamy, wszystko nabiera innych barw.

Nie odbieraj szczęścia, a nieś pozytywną energię.

To hasło powinno widnieć w każdej szkole. Skoro spędzamy w niej tyle lat, powinniśmy sprawiać,

by było to miejsce rzeczywiście przyjazne uczniom. Jednak trzeba pamiętać, że w życiu nie można jedynie wymagać, a wiele trzeba dawać od siebie. Nie oczekujmy, że wszyscy wokół nas będą mieli zawsze dobry humor, że każdy zrobi wszystko, byśmy poczuli się lepiej. Zmiany w społeczeństwie zaczynają się od zmian w jednostkach. Więc skoro jesteśmy społeczeństwem, to do czego powinna się sprowadzać rola ucznia w szkole? Oczywisty jest fakt, że uczeń ma się uczyć. Jednak oprócz tego, według mnie, jesteśmy wszyscy kreatorami szkolnej rzeczywistości. To od nas samych zależy, jak wygląda codzienność nasza i naszego otoczenia. Zaczniemy dostrzegać, że mamy realny wpływ na życie innych. Nauczmy się, że należy pomagać innym.

Dobrze, ale co z tego?

Jeśli jesteś świadkiem przemocy, czy to słownej, czy fizycznej - reaguj. Na szczęście w naszej

szkole nie jest to częste zjawisko, ale trzeba pamiętać, jak się zachować. Powodów przemocy jest wiele - wystarczy, że komuś nie pasuje czyjś wygląd, kolor skóry, czyjaś religia czy orientacja seksualna. Nie bagatelizujemy „niewinnych” docinek, bo nigdy nie wiadomo, w co się one przerodzą. Zaproponujmy pomoc, zdanie: „Jeśli mnie potrzebujesz, jestem dla Ciebie” ma niezwykłą moc. Jeśli widzisz, że ktoś z Twojej klasy zachowuje się inaczej niż zwykle, że ma gorszy dzień, zapytaj, czy możesz jakoś pomóc.

Być może ta osoba nie będzie chciała się otworzyć, ale przynajmniej będzie miała świadomość, że nie jest sama, że w klasie jest ktoś, kto się nią interesuje, że ma się do kogo zwrócić. Jeśli sam/sama masz lepszy dzień, staraj się zarażać pozytywną energią innych! Wpływ otoczenia na nasze samopoczucie jest wielki, więc dzięki samej swojej obecności i radości poprawisz komuś dzień! Jeśli sam/sama potrzebujesz

pomocy, nie bój się o nią zapytać, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto postara Ci się ją zapewnić - pamiętaj o tym.



Natalia Zieńkiewicz
uczennica kl. IIIa (humanistyczno-medialnej)

Wspomnienie

SZÓSTKA na sportowo!

Czy chodzenie do jednej szkoły przez 30 lat nie jest przesadą? Nie, nie jest. Tak było w moim przypadku. Znam jednak osoby, które jeszcze dłużej to robiły. Mianowicie, moje koleżeństwo z katedry wychowania fizycznego - Jolanta Czaja - 32 i Kazimierz Kościcki - 42 lata! Opisane poniżej wydarzenia sportowe w naszej szkole dotyczą lat 1984-2014. W chwili obecnej wszyscy jesteśmy emerytowanymi nauczycielami *Szóstki* i zaczynamy mile wspominać wspólnie spędzony ze sobą czas...

Przez lata swojej pracy byliśmy animatorami sportu w szkole. Przygotowywaliśmy młodzież do udziału w międzyszkolnych rozgrywkach ligi szkół ponadgimnazjalnych, turniejach na terenie miasta Szczecin i województwa. Prowadziliśmy - w ramach Szkolnego Koła Sportowego - sekcje siatkówki dziewcząt (do 2008 r. także chłopców), koszykówki dziewcząt i chłopców, piłki nożnej chłopców. Uczniowie pod naszą opieką startowali również w indywidualnych dyscyplinach sportowych, takich jak: lekkoatletyka, pływanie, tenis stołowy, szachy, taniec współczesny i aerobik. Największe sukcesy w ostatnich dziesięciu latach odnosiły siatkarki oraz



dziewczeta i chłopcy w lekkiej atletyce. Siatkarki plasowały się na medalowych pozycjach w ramach rozgrywek szkół ponadgimnazjalnych o Mistrzostwo Szczecina, a także na szczęblu wojewódzkim (Wice-mistrz Województwa 2012/2013). Natomiast lekkoatleci zdobywali medale z każdego kruszcu w konkurencjach indywidualnych (biegi, skoki w dal i wzwyż, pchnięcie kulą) oraz biegach sztafetowych.

Byliśmy organizatorami licznych szkolnych i międzyszkolnych imprez sportowych. Do nich należą „**KOSZYKARIADA**”, sportowe zmagania między I i VI LO w koszykówce (lata 1997-2003) oraz w latach 2004-2009 w siatkówce - pod nazwą

„SIATKARIADA”. Scenariusze tych imprez, które stały się dla *Jedynki* i *Szóstki* Dniami Sportu, były ułożone tak, aby mogła w nich uczestniczyć jak największa liczba uczniów obu szkół. Do rywalizacji włączali się zawsze dyrektorzy i nauczyciele. W ramach spotkania rozgrywane były mecze pomiędzy nauczycielami, dziewczętami i chłopcami, bądź drużynami mieszanymi. W przerwach między poszczególnymi meczami szkoły prezentowały pokazy tańca towarzyskiego, zespoły cheerleaderek, break-dance, formacji sportowych, prace artystyczne. Od 2010 roku Dzień Sportu miał charakter imprezy szkolnej. Uczniowie wszystkich klas zmagali się w mikstach siatkarskich, tenisie stołowym w kategorii dziewcząt i chłopców, rzutach koszykarskich - dziewcząt i chłopców, szachach, biegach przełajowych oraz grach i zabawach plenerowych.



Bardzo istotnym przedsięwzięciem dla szkoły i dla nas, była organizacja imprez sportowo-rekreacyjnych. Wszak zazwyczaj odbywają się one z różnych powodów. I tak, sportowo-rekreacyjne akcenty zawierały w sobie programy obchodów jubileuszy szkoły. Z okazji 45-lecia w 1994 r. ulicami Szczecina odbył się *Bieg otwarty o Puchar Wicewojewody Wojciecha Soińskiego*. Fundator nagrody jest absolwentem szkoły, a edycja tego biegu trwała pięć lat - do następnego jubileuszu. Był nim Złoty Jubileusz *Szóstki*. W programie obchodów tego święta znalazło się o wiele więcej imprez sportowych. Dnia 1 października 1999 r. *Bieg Pod Górkę* ulicą Jagiel-

ońską zainaugurował obchody. Tego samego dnia na basenie, wtedy Wyższej Szkoły Morskiej, odbyła się *Pływacka Sztafeta Pokoleń*. Wzięło w niej udział 29 osób. Zawodnicy w dowolnym stylu i nieokreślonym czasie musieli przepłynąć dystans 50 m. Sztafetę rozpoczął siedmioletni syn Doroty Brzozowskiej - olimpijki z Moskwy 1980 r. Za nim, kolejno startowało 28 uczestników sztafety. Ogółem sztafeta pływaków pokonała dystans 950 m w czasie 15,02 min.

Następnego dnia w hali KS *Pogoń* rozpoczęły się zmagania uczestników *Turnieju Pokoleń w Koszykówce*. Mecze rozgrywali między sobą absolwenci, którzy ukończyli szkołę w latach 1960-70 i 1980-90. Wynik tego spotkania 42:20 dla młodszych roczników. Do rywalizacji stanęły także dwie drużyny *Dzieciaków*, czyli aktualnie uczących się w naszej szkole dzieci absolwentów. Wygrały starsze *Dzieciaki* w stosunku 24:14. Ogółem startowało w turnieju 37 zawodników.

Inny w wydźwięku emocjonalnym i zróżnicowany pod względem poziomu sportowego był dwukrotnie (lata 2002-2003) organizowany przez nas *Rodzinny turniej tenisa stołowego*. W swoich założeniach miał na celu jednoczyć i spajać w działaniu wszystkie struktury społeczne szkoły. Do udziału w nim zaproszono uczniów naszej szkoły, ich rodziców i nauczycieli. W sumie 16 osób. Uczestników podzieliłam na cztery grupy. W każdej był: rodzic, nauczyciel, uczennica i uczeń. W swojej grupie gracze rywalizowali systemem „każdy z każdym”. Bardzo zacięte pojedynki toczyły się zwłaszcza w parach nauczyciel – uczeń, nauczyciel – rodzic, rodzic – uczeń. Szczególną uwagę licznych kibiców zwracały mecze dziewcząt z panami. Gromkimi brawami nagradzano je za skuteczne zagrania.

Układy poloneza galowego na studniówkę. Polonezem – tańcem narodowym – inauguruje się największą szkolną zabawę, jaką jest studniówka. Od 1998 roku przygotowywałam młodzież klas maturalnych do poloneza galowego na 10 lub 12 par tanecznych. Potrzebę powstania układu poloneza z figurami zrodził brak możliwości pokazania piękna i urody tego tańca w układzie na 80-100 par. Tyle mniej więcej par liczy grono bawiącej się młodzieży na każdej studniówce. Poza tym, nie sprzyjają temu warunki lokalowe w Szczecinie. Po pierwszym pokazie galowego poloneza na studniówce, nie musiałam w kolejnych latach poszukiwać chętnych do zatańczenia. Sami w zespołach klasowych typowali swoich reprezentantów. Po moim odejściu poloneza przejęła w swoje ręce Jola.

Obozy letnie we wsi Wieleń nad jeziorem Woświn mają długą historię.



Prowadzone były w doborowych tandemach nauczycielskich; najpierw Jan Małkiewicz – Kazimierz Kośmicki (1960-1990), potem Katarzyna Kurpios – Kazimierz Kośmicki (1990-1996) i na koniec - Krystyna Błażniak – Kazimierz Kośmicki (1996-2004). Młodzież miała możliwość nauczyć się żeglować na desce windsurfingowej i odpoczywać po trudach roku szkolnego. Myślę, że bardzo wiele osób, które miały okazję uczestniczyć w obozowym „drylu” Kaza do dzisiaj mile wspomina ten czas. Niestety, w 2004 roku, obozy przestały istnieć ze względu na bardzo rygorystyczne unijne przepisy sanitarne.



Jolu, panie Kaziku! Dziękuję Wam bardzo za wieloletnią codzienność w naszej katedrze wychowania fizycznego, która wcale nie była nudna i przewidywalna. Na wiele sposobów umieliśmy ją urabiać i czerpać wzajemne korzyści.

Przykro mi, że ze względów edytorskich nie umieszczam żadnych imion i nazwisk uczniów, którzy sławili dobre imię szkoły na różnych arenach sportowych, przynosząc jej chlubę. Wszystkim Im bardzo dziękujemy i pozostajemy w przekonaniu, iż po ukończeniu naszej szkoły kontynuowali swoje sportowe pasje. Wszak namawialiśmy młodzież do ćwiczeń ruchowych i uprawiania sportu, gdyż promują zdrowy styl życia, uświadamiają potrzeby aktywności fizycznej i zachowania równowagi między pracą a wypoczynkiem, rozwijają zainteresowania. Bo sport to również taka płaszczyzna, która jednoczy ludzi w działaniu oraz integruje wiele środowisk. Na arenach sportowych spotykają się ludzie światli i niewykształceni, niepełnosprawni i mistrzowie sportu po to, by uprawiać go dla piękna, radości i zdrowia. Bo sport niesie ze sobą wiele elementów wychowawczych; uczy kulturalnego kibicowania nie tylko swoim zawodnikom, ale także przeciwnikom, nakazuje prowadzić „grę czystą” (fair play) czyli w sposób szlachetny i uczciwy, nakazuje okazywanie szacunku zwycięzcom i pokonanym.

Te 30 lat chodzenia do *SZÓSTKI* na zawsze zostanie w moich wspomnieniach i w sercu!

Krystyna Błażniak
nauczycielka wychowania fizycznego

Wspomnienia z okazji 70-lecia VI LO w Szczecinie

Szóstka to moja szkoła. Jestem z nią silnie związana emocjonalnie od 1976 roku, kiedy pod skrzydłami wychowawczyni, p. prof. Małgorzaty Jasickiej, rozpoczęłam naukę w klasie pierwszej o profilu biologiczno-chemicznym. Moim ukochanym przedmiotem była (i jest nadal) chemia, a najwspanialszymi nauczycielami tej dziedziny - p. prof. Julita Słótko i p. prof. Józef Szalacha. Chemia jest przedmiotem eksperymentalnym i rzeczywiście wykonywaliśmy wiele doświadczeń laboratoryjnych, które zapadły mi głęboko w pamięć. Po wielu latach, dokładnie w tym samym gabinecie, z tymi samymi odczynnikami chemicznymi (nie tracą

one swojej przydatności do użycia©) moi uczniowie poznają tajniki pracy laboranta. Na chemii nie tylko poznawaliśmy suche, naukowe fakty. Słuchaliśmy ciekawych opowieści i wyjaśnień, np. skąd biorą się duchy na starych cmentarzach.

Lekcje biologii z p. prof. Michaliną Romańczyk to zapoznanie się z cyklami rozwojowymi roślin i zwierząt, mikroskopowanie, a także opieka nad rybkami i kwiatami -mieszkańcami gabinetu. Pamiętam też bardzo dobrze lekcje matematyki prowadzone przez p. prof. Łucję Niewiadomską. W wielkiej ciszy i skupieniu rozwiązywaliśmy zadania; wiedzieliśmy, że na maturze z tego obowiązkowego

przedmiotu czeka nas badanie przebiegu zmienności funkcji, prawdopodobieństwo, obszerne zadanie z geometrii, działania na wielomianach, zadania z parametrem, obliczanie pochodnych, rozwiązywanie równań trzeciego stopnia. Niezapomniane są też lekcje języka polskiego z p. prof. Anną Łazarską. Omawianie lektur, ciekawe dyktanda i praca klasowa jednej z moich koleżanek, która zawierała 20 zdań zajmujących jeden cały arkusz papieru kancelaryjnego w linię rozmiaru A3. To był wyczyn, który zadziwił nawet p. profesor☺

Jednak *Szóstka* to nie tylko nauka w ławkach szkolnych. Nasi nauczyciele, między innymi p. prof. Jan Małkiewicz, dbali o nasz wszechstronny rozwój. W czasie wakacji jeździliśmy na przeróżne obozy sportowe. W lecie, mieszkając pod namiotami nad jeziorem Woświn, uczyliśmy się żeglarstwa. Nasza szkoła dysponowała w tym czasie czterema jachtami typu Omega. Często wspominam wyprawy jachtem lub pieszo wokół jeziora, wieczorne ogniska, śpiewy przy gitarze i wspólne czekanie na wschód słońca. Zimą natomiast wyjeżdżaliśmy na narty do miejscowości Sól w Beskidzie Żywieckim. Całe dnie spędzaliśmy na stoku, szlifując swoje umiejętności, beztrudno i wesoło obrzucając się śnieżkami (w tym czasie śniegu było w bród). W samo południe, z pobliskiego schroniska górskiego dostarczano nam w dużym, emaliowanym wiadrze gorącą i słodką herbatę z cytryną. Na mrozie smakowała jak najlepszy, delikatowy napój.

Z czasów licealnych pozostały trwale przyjaźnie i znajomości; do dzisiaj utrzymujemy kontakt,

spotykamy się i mamy dużo do opowiadania o sobie, o swojej drodze zawodowej (a większość z nas to znani szcześcińscy lekarze), o swoich dzieciach. W trudnych chwilach zawsze możemy na siebie liczyć.



Szóstka to nie tylko moje wspomnienia, to również moja rzeczywistość i codzienność. Od 1988 roku uczę wspaniałą młodzież, a właściwie już trzy pokolenia młodzieży. Obcowanie z młodymi, pełnymi zapału, prężności i radości życia ludźmi sprawia, że ciągle mam wrażenie, jakbym miała 18 lat. To doznanie jest dodatkowo potęgowane przez niezmienną się, ciągle te same mury mojej „budy”.

Szóstka na trwale pozostaje w mojej pamięci i moim sercu. Mam wielką nadzieję, że wielu jej absolwentów z podobnym rozrównaniem myśli o niej.

Katarzyna Kurpios, rocznik matury 1980
Szczecin, 11 września 2019 r.

Wspomnienie

Okres trwania liceum był bardzo produktywnym dla mnie czasem. Niektóre wydarzenia z VI LO zapadły mi szczególnie głęboko w pamięci.

Moja była wychowawczyni oraz nauczycielka języka niemieckiego, Pani Lilianna Kitzman, zawsze zwracała się do klasy "Meine Geschafften", zapamiętałam ją jako bardzo cierpliwą osobę i tego też się od niej nauczyłam. Kiedy pomyślę o zajęciach biologii z Panią Moniką Łuczak, przypominają mi się dni, kiedy wszyscy

łączyli swoje siły i wychodzili przed budynek, aby rozładować 10 ton jabłek ☺.

Do tej pory pamiętam wierszyk autorstwa Pani Kasi Kurpios, która uczyła mnie chemii "Pierwiastki dwuatomowe to" ♥. Był okres, kiedy Pan Dariusz Okoń na każdej lekcji historii wzywał mnie do odpowiedzi. Nigdy nie wiedziałam dlaczego, ale nikogo nie dziwił fakt, że wypowiadał moje nazwisko, kiedy zbliżał się czas przedstawienia zadania domowego (ha ha).

Nie zapomnę również lekcji polskiego z Panią Anią Roman, kiedy to zostałam poproszona o przedstawienie interpretacji *Epilogu z Pana Tadeusza*. Tego dnia nie miałam odrobionego zadania domowego i nie martwiłam się o to, bo zawsze próbowałam być aktywna na zajęciach. Byłam pewna, że nie będę musiała odpowiadać. Gdy usłyszałam swoje imię, jakby nigdy nic otworzyłam pusty zeszyt, a przed piórnikiem schowałam otwartą książkę Mickiewicza. Czytałam i interpretowa-

łam na bieżąco. Dostałam z zadania domowego plusa. Upiekło mi się tego dnia (ha ha).

Matematyka... przedmiot, na którym było najwięcej śmiechu. Pani Basia Kowalska zawsze mówiła, co myśli. Kluczem do mojego zaangażowania w przedmiot było Jej poczucie humoru i cytowanie przez Nią ulubionych fragmentów scen z filmów ☺. Nigdy

nie byłam wybitna z matematyki, ale dzięki niej zdałam maturę ♥.

Zajęcia, na które uwielbiałam wracać, to lekcje z języka angielskiego. Pani Ania Kokot emanowała dobrą energią. Była cierpliwa i potrafiła rozmawiać z uczniem. Zawsze pomocna i wspierająca dobrym słowem. Nieraz jechałyśmy tym samym

autobusem do szkoły, wymieniając się różnymi tematami ♥.

Po 3 latach nauki w liceum wyniosłam bardzo wiele. Zawiązały się przyjaźnie, które są trwałe i szczerze. Czasami chciałabym wrócić choć na jeden dzień, usiąść w ławce w murach tego budynku i poczuć, że w tym momencie buduje się moja przyszłość. Dziękuję za ten czas ♥.



Joanna Sinkiewicz
absolwentka z klasy B₂

Okruchy wspomnień

... to już 55 lat ...

Maturę zdawałem w **Szóstce** w 1964 roku i towarzyszyły temu dosyć niecodzienne okoliczności. Po nieźle napisanych egzaminach pisemnych z języka polskiego i matematyki (wtedy pisało się te egzaminy dzień po dniu) z moim przyjacielem Jurkiem Preissem postanowiliśmy w ogrodzie jego domu (i pod nieobecność jego rodziców) uczcić ten fakt lampką bułgarskiego czerwonego wina... Do tej pory nie mam pojęcia, czy był jakiś związek przyczynowo- skutkowy między tymi faktami, ale dostałem jakichś potwornych bólei i karetką na sygnale, z rozpoznaniem ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego, wylądowałem w szpitalu od razu na sali operacyjnej. Operacja z komplikacjami, zalecany 8-10-dniowy pobyt w szpitalu, a tu za parę dni mam zdawać jeszcze ustną maturę. Komisja egzaminacyjna idzie mi na rękę i przesuwają mnie na koniec listy zdających, a tego, który był na jej końcu wstawia w moje miejsce. Ponieważ obowiązywała kolejność alfabetyczna, tym kimś okazał się kolega Olek Wolszczan z XI d. Już wtedy znakomitość. Laureat Olimpiady Astronomicznej. Olek, mając sporo wolnego czasu między egzaminami pisemnymi i ustnymi, pojechał relaksować się gdzieś nad

morze... Ściągnięty w trybie awaryjnym do Szczecina, odwiedził mnie jeszcze w szpitalu, aby sprawdzić jak się sprawy mają i czy nie jest przypadkiem „wkręcany”. Kiedy przekonał się, że o żartach nie ma mowy, od razu zadeklarował gotowość pójścia wszystkim, a mnie przede wszystkim, na rękę i zaakceptował zmianę kolejności zdawania.

Po latach, kiedy Olek Wolszczan stał się **tym** Wolszczanem (Aleksandrem), profesorem, światowej sławy astronomem, odkrywcą trzech pierwszych planet poza Układem Słonecznym, żartuję czasem, wywołując konsternację wśród nieznających kulis tej historii, tekstem: „...a za mnie to maturę zdawał przysły laureat Nagrody Nobla”. Mam nadzieję, że to się jeszcze spełni. Gorąco tego Olkowi życzę i trzymam kciuki.

...to już 55 lat.....

Byliśmy dumni z tego, że przynależymy do tej elitarnej społeczności uczniowskiej VI LO. W tamtych czasach istniał obowiązek noszenia szkolnych tarcz. Nie stanowiło to dla nas problemu. Oczywiście młodzieńcza przekora nakazywała omijać ten przymus (z czasem zarzucony) przy pomocy różnych patentów w rodzaju miniagrafek, zatrząsek, itp. Ale... poza terenem szkoły, w życiu „cywilnym”, przy różnych okazjach w kontaktach towarzyskich z rówieśnikami z innych szkół, w narzuconej niedbale na ramiona bluzie czy swetrze, przy poruszaniu się, niby mimochodem ta nasza czerwona tarcza odsłaniała się i zasłaniała, odsłaniała i zasłaniała... To robiło wrażenie. Dziś byśmy powiedzieli: taki nienachalny *pi-ar* i *lokowanie produktu*

Chyba jedyne zbiorowe (w miarę) zdjęcie klasy „XI a” przed maturą 1964.
[Zdjęcie zrobione w maju 1964 roku w Parku Noakowskiego przed szkołą].



Poczynając od lewej, mniej lub bardziej widoczni:

Fuks Róża, Michalski Maksymilian, Czekański Zbigniew,
Aniecko Jadwiga (nie przystąpiła do matury), Kozak Jolanta, Szula Hajdo,
Mazuryk Stanisław, Groshy Barbara, Płochocka Iwona, Hermanowicz Anna,
Białęcka Krystyna, Fiłoń Barbara, Czajka Regina, Wolak Halina,
Gawrońska Elżbieta, Konieczny Jan, Borowiecki Ryszard, Preiss Jerzy,
Nieobecni na zdjęciu; Bieńko Franciszka, Denys Wanda, Gertner Jolanta,
Horbowa Marta, Karbowniczek Ewa, Małek Bożena, Oskólski Andrzej,
Szpilewska Danuta, Waligórska Halina

Zdjęcie z jubileuszowego zjazdu na 50-lecie szkoły w 1999 roku



Bieńko (Cegielska) Franciszka [1964a]
Michalski Maksymilian [1964a]
Poniecka (Pańkowska) Lilianna [1972b]

Naprawdę, w tamtym czasie II LO (*Pobożniak*) i VI LO to była, zachowując wszelkie proporcje do *Ivy League*, nasza trochę siermiężna, licealna Liga Bluszczowa. A ponieważ *noblesse oblige*, snobowaliśmy się w najlepszym tego słowa znaczeniu, na heroicznym ustępowaniu starszym miejsca w tramwaju, dysputach o prozie iberoamerykańskiej i filmach Antonioniego, wysławianiu się poprawną polszczyzną i... nieprzeklinaniu (tak, tak młodzieży, nieprzeklinaniu!!!)

...to już 55 lat.....

Wszystkich moich Profesorów wspominam z sympatią. Wszyscy mieli wpływ na to, jakim wyszedłem ze szkoły po tych czterech latach. Ale dwie postacie, które na zawsze zachowam we wdzięcznej pamięci to Pani Profesor Maria Janiszewska i Pan Profesor Zygmunt Ciesiul. Miałem wielkie szczęście, że spotkałem Ich na swojej drodze.

Powiedzieć, że Pani Profesor Maria Janiszewska uczyła nas łaciny, to nic nie powiedzieć!!! Owszem, czytaliśmy Owidiusza (*Aurea prima sata est aetas, quae vindice nullo, sponte sua, sine lege fidem rectumque colebat...*) i Cezara (*Gallia est omnis divisa in partes tres...*) w oryginale, ale Jej lekcje to były przede wszystkim cudowne chwile, które spędzaliśmy w wirtualnym świecie antycznej Grecji, Cesarstwa Rzymskiego, Egiptu, Persji, itd. Mając zdumiewająco

rozległą wiedzę z dziedzin historii starożytnej, mitologii greckiej i rzymskiej, kultury, sztuki, etnografii, itp. przy swojej erudycji i posługując się przepiękną polszczyzną, dosłownie czarowała nas słowem. Na lekcjach panowała absolutna cisza. Siedzieliśmy jak zahipnotyzowani. Wszystkie jej opowieści zawsze były o czymś... To na Jej lekcjach analizowaliśmy prawdziwe zdarzenia z odległej przeszłości (ale i sytuacje hipotetyczne) i roztrząsaliśmy dylematy moralne, etyczne, prawne, których doświadczali (mogli doświadczać) bohaterowie tamtych zdarzeń. Ale też potrafiła nagle przeskoczyć i nawiązać do jakiś wydarzeń nam współczesnych. Te dygresje zawsze były „w punkt”. Uświadamiała nam, że przez meandry całego naszego dorosłego życia często będziemy stawiani przed i głębokim i trywialnym jednocześnie pytaniem *jak żyć?* I każdy z nas będzie musiał sam sobie na nie odpowiedzieć... To Jej lekcje szczególnie ukształtowały nas jako ludzi (obywateli), którzy w dorosłym życiu nie mają (mam nadzieję) kłopotów z rozróżnianiem dobra od zła, a pojęcia takie jak prawda, honor, przyzwoitość, empatia, tolerancja nie są abstrakcyjne.

Jeszcze jedna cecha wyróżniająca Panią Profesor. Miała niezrównane poczucie humoru i refleks. Jej żarty słowne, sytuacyjne, językowe bon moty były zawsze najwyższej próby i nigdy nie były adresowane ad personam. Często powtarzała (za Seneką Młodszym): *Imperare sibi maximum est imperium*...

Cudowny Piękny Człowiek!

Zapamiętałem taką scenkę, która chyba mówi wszystko o naszych do Pani Profesor uczuciach. Dzień Nauczyciela. Po lekcji w klasie, na ogół każdy z prowadzących tego dnia zajęcia, wracał do pokoju nauczycielskiego z wręczonym mu przez gospodarza klasy (w tej roli niezapomniana *Niuńka* czyli Franciszka Bieńko-Cegielska - w przyszłości poseł, prezydent Gdyni, minister), goździkiem (lub trzema) owiniętymi w celofan...

Po lekcji łaciny, korytarzem do pokoju nauczycielskiego zmierza z naręczem kwiatów Pani Maria, a za nią Ryścio Borowiecki i Zbyszek Czekajński targają jeszcze ...dwa wielkie wiadra pełne pięknych kwiatów. O niestosowności takich ostentacyjnych demonstracji uwielbienia mieliśmy później pogadankę na lekcji wychowawczej. Z perspektywy ponad pół wieku wydaje mi się, że tamta reprimenda była jak najbardziej słuszna. Ale te kwiaty też... Jak mówił Tytus Liwiusz? *Verba docent, exempla trahunt*.

...to już 55 lat....

Pan Profesor Zygmunt Ciesiul uczył nas chemii. Jednocześnie był wtedy dyrektorem szkoły i gdy zdarzała się jakaś absencja (chorobowa) wśród grona nauczających, sam zjawiał się na lekcji w zastępstwie. Te zastępstwa wcale nie miały jakiegokolwiek ulgowej taryfy. Mieliśmy po prostu jedną godzinę dodatkowo chemii, a Pan Profesor najzwyczajniej w świecie realizował program. Wzbudzał nasz podziw i szacunek, że bez żadnych konpektów, notatek, ad hoc potrafił improwizować, trzymając się tematu. A przecież polegało to czasami na wyprawianiu na tablicy jakichś wielopiętrowych równań reakcji chemicznych. Pisał i mówił jednocześnie...

Miało to w sobie coś z klimatów programów telewizyjnych *Piórkiem i węglem* prof. Wiktora Zina (młodzież niekoniecznie, ale moi rówieśnicy wiedzą, o czym mówię). Wszystkie te chemiczne zawilości stawały się w takich chwilach jakieś takie proste, zrozumiałe i jasne... Miał Pan Profesor jako nauczyciel i jako dyrektor niezwykle empatyczny, ciepły i ujmujący sposób bycia. Nie pamiętam Go okazującego jakieś negatywne emocje czy zdenerwowanie. Mówił zawsze, jakby przepraszając, cichym spokojnym głosem i nie wiadomo, w czym tkwiła tajemnica, że znajdował posłuch u największych szkolnych rozrabiaków. Zakładał, że z natury każdy jest dobry. W każdym starał się dostrzegać jego dobre strony. Był wyrozumiały dla błądzących i każdy mógł liczyć u niego na drugą szansę.

Ta dobroć, ufność i wiara, jaką w nas pokładał, to była chyba dobra inwestycja. W trakcie lekcji miał zwyczaj ze śmiertelną powagą zwracać się do nas, piętnasto-szesnastoletnich małolatów, per *pan/pani*... Nie było wyjścia, taki *pan/pani* musiał trzymać poziom. Nie mógł sobie pozwolić na nieprzygotowanie do lekcji, tłumaczyć się jakimiś dziecinnymi „...pies zjadł zeszyt... nie było prądu... zaspalem...zapomniałem.. autobus się spóźnił...” Kiedy w trakcie odpowiedzi przy tablicy delikwent gubił wątek, zaczynał pleść jakieś bzdury w rodzaju $2 \times 2 = 5$, Pan Profesor nie reagował w stylu *siadaj! pala!*, ale potrafił, z takim przepraszającym uśmiechem, powiedzieć „No tu nie do końca bym się zgodził z Pana zdaniem co do poprawności tego rozwiązania, ale proponuję spotkanie w przyszłym tygodniu celem końcowego uzgodnienia stanowisk. Na razie zapraszam na miejsce” To był fantastyczny Nauczyciel, Dyrektor, Wychowawca.

Przypominam sobie Jubileusz 50-lecia *Szóstki* (1999 rok). Stara siedziba Filharmonii Szczecińskiej. Są wywoływani przez prowadzącego na scenę, dla zajęcia honorowych miejsc, po kolei wszyscy byli dyrektorzy szkoły. Rzęsiste brawa witające pierwszych wchodzących... Kiluminutowa(!!!) huraganowa *standing ovation* na wejście Pana Profesora Ciesiula... Rzęsiste brawa witające kolejnych wchodzących...

...to już 55 lat.....

Kłaniam się wszystkim byłym i obecnym Nauczycielom VI LO. Pozdrawiam wszystkich byłych i obecnych Szóstkowiczów. Bezczelnie optymistycznie pozostaję z nadzieją na spotkanie z okazji Jubileuszu... 80-lecia Naszej Szkoły.

Maksymilian Michalski (Maks)
matura 1964

Wspomnienie

Refleksje o zawodzie nauczyciela z fizyką w tle

Kiedy myślę o *Szóstce*, wspominam przede wszystkim niepowtarzalną atmosferę, nastawienie na pracę z uczniem oraz życzliwość wśród grona pedagogicznego. Wśród nauczycieli panowała naprawdę wspaniała atmosfera, zostawaliśmy po lekcjach, aby zagrać w brydża. Młodym ludziom natomiast chciało się uczyć, zadawali pytania, byli dociekliwi, próbowali „zagiać” nauczyciela, stale chcieli więcej.

Z perspektywy lat przyznaję, że zawsze lubiłem swój zawód. Mogłem obserwować, jak uczeń się rozwija, mogłem pomagać mu w tym, przekazując swoją wiedzę i miałem możliwość dostosowywania się do różnych sytuacji. Uważam, że dobry nauczyciel to ten, który jest zainteresowany swoim przedmiotem i bardzo dobrze go zna. Musi wiedzieć jak uczyć, umieć odczytywać oczekiwania uczniów. Wyznaję zasadę, że mistrz jest pierwszym uczniem swojego ucznia. Tzn. uczeń przychodzi na lekcję z wiadomościami z różnych dziedzin, które (właściwie wykorzystane) wzbogacą także wiedzę nauczyciela. Poza tym, jeśli popełnia się błąd, trzeba umieć się do tego przyznać; to naprawdę nie przynosi ujmy nauczycielowi, wręcz przeciwnie - buduje atmosferę wzajemnej życzliwości. Warto też pamiętać, że podstawą dobrych wyników nauczania jest właściwa praca podczas lekcji i maksymalne wykorzystanie czasu.

Fizyka jest trudna. Dostateczny fizyk musi być najpierw bardzo dobrym matematykiem. Omawiając jakieś prawo fizyczne, nie należy zdradzać całego sekretu, trzeba zachęcić uczniów do samodzielnego kojarzenia faktów, do twórczego myślenia. Fizyka pozwala zrozumieć wiele zjawisk, jest pasjonująca, ale niewielu jest dobrych fizyków, wielu uczy podręcznikowo, a tu trzeba stale zadawać pytania: po co? dlaczego? Trzeba wykorzystywać pomoce naukowe; uczeń musi dotknąć, zobaczyć, przekonać się na wła-

snej skórze. I, co najważniejsze, trzeba zawsze umieć znaleźć czas dla ucznia.

Zawsze byłem zainteresowany pracą z uczniem zdolnym, a taki uczeń nie może nudzić się na lekcjach - otrzymuje więc trudniejsze zadania, również z prac domowych i sprawdzianów, na lekcjach natomiast pełni rolę asystenta nauczyciela. To bardzo pomaga, koledzy chętnie korzystają z takiej formy współpracy, a nauczyciel ma okazję podpatrzeć, jakimi innymi metodami można dotrzeć do młodego człowieka.

Czas pracy w *Szóstce* był bardzo intensywny. Poza zajęciami prowadziłem kółko fizyczne, przygotowywałem młodzież do olimpiad i turniejów fizycznych. Często wyjeżdżaliśmy na kolejne etapy tych konkursów, a na miejscu była współpraca politechniką oraz z sekcją fizyki Młodzieżowego Towarzystwa Naukowego przy Pałacu Młodzieży.

Ciepło wspominam moich uczniów, z kilkoma olimpijczykami mam kontakt do dziś. Ci, młodzi wtedy ludzie, mieli ciekawe podejście do fizyki, pragnęli poszerzać swoje horyzonty, nie zamykali się w obrębie jednej dziedziny. Myślę, że mnie uczniowie cenili za posiadaną wiedzę, sposób jej przekazywania, rzetelność w ocenianiu.

Zdarzały się też zabawne sytuacje, np. kiedy na zajęcia przychodzili praktykanci. Wiadomo, dla ucznia, to doskonała okazja, żeby się zabawić, złapać kogoś na błędzie. Kiedyś podczas lekcji na temat wahadła matematycznego, uczeń zadał pytanie: „Co by się działo z wahadłem, gdyby nie było powietrza?” Odpowiedź praktykanta: „Poruszałoby się cały czas” - rozbawiła pytającego i w kilku zdaniach wyjaśnił, dlaczego taka odpowiedź jest błędna.

Z kolei na Dzień Wiosny uczniowie zaproponowali mi kiedyś zamianę ról. Uznali, że skoro do tej pory to ja stale pytałem na lekcji, teraz będą oni. Zgodziłem się. Maglowali mnie przez 45 minut. Dałem radę☺ (a pytano mnie nie tylko z fizyki).

Kiedy ktoś pyta mnie, jaka jest młodzież, odpowiadam, że prawdziwy jej obraz można stworzyć dopiero wtedy, gdy ma się z nią kontakt poza szkołą - na wycieczkach, obozach, podczas prowadzonych tam dyskusji.

Spośród wielu wspomnień, mam takie jedno, szczególne. Kiedyś, obowiązkowo, wyjeżdżało się na do PGR-u na tygodniowe wykopki. Jedna z uczennic pojechała tam w białej koronkowej sukni, białych koronkowych rękawiczkach, białych rajstopach i w eleganckich butach. To był jej jedyny strój, więc tak poszła zbierać ziemniaki, wzbudzając zainteresowanie wszystkich pracowników PGR-u. Potem znaleźli jej jakiś roboczy strój do pracy, łącznie z gumofilcami. To wyglądało równie zabawnie. Spało się też w ciekawych warunkach. Pokój wychowawcy był pomiędzy pokojami dziewcząt a chłopców; jak gasiłem światło, po poręczy mojego łóżka biegały myszy; jak dziewczyny to zobaczyły, nie było szans, żeby poszły do pokoju chłopców. A ponadto zdobyłem tam dodatkową, co prawda mało przydatną w szkole umiejętność, nauczyłem się jeździć ciągnikiem.

I jeszcze pytanie, które stale słyszałem od uczniów: „Dlaczego noszę brodę?” To historia z czasów mojej młodości. Pracę jako nauczyciel rozpocząłem w SP 72. Było tam grono w starszym wieku, więc

za każdym razem, kiedy wchodziłem do pokoju nauczycielskiego, słyszałem: „Co ty tu dziecko robisz?” Wielokrotnie tłumaczyłem, że tu pracuję, aż w końcu - dla świętego spokoju - zapuściłem brodę.



*Edward Szufranowicz
nauczyciel fizyki w VI LO*



Edward Szufranowicz - ukończył szczecińską Wyższą Szkołę Pedagogiczną; z VI LO związany przez większość życia zawodowego; autorytet w dziedzinie nauczania fizyki; wychował wielu olimpijczyków; wielokrotnie odznaczany za dokonania dydaktyczno-wychowawcze (*Medal KEN, Złoty Gryf Pomorski, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski*)

Wspomnienia w 70. rocznicę VI LO



No coś ty - powiedziała do mnie Wiesia, koleżanka z klasy - nic z tej okazji nie napiszesz? Pamiętała jeszcze, że miało się te piąteczki z polskiego za wypracowania, chociaż często ocenę obniżały mi popełniane błędy ortograficzne. Jeśli moje wypracowania się jakoś wyróżniały, to chyba dlatego, że już od małego dużo czytałem i starałem się naśladować znanych pisarzy. Bo czyż uczenie się nie polega w gruncie rzeczy na tym, że staramy się naśladować tych, co już umieją? Na emeryturze wróciłem do pisanie wypracowań w charakterze hobby. Sam sobie zadaję temat, przeważnie pomijany przez media. Zbieram materiały i nadaję im formę w postaci wstępu, treści właściwej i zakończenia. Potem wysyłam swoją publicystykę do lokalnej gazety. Jeśli pan redaktor uzna, że artykuł nie jest zbyt niepoprawny politycznie, to go wydrukuję. Jeśli nie, to publikuję w internecie.

Zdawaliśmy maturę w 1962 r., minął szmat czasu (czemu nie mówi się „szmata czasu”?). Jestem starszy od naszego Liceum jako instytucji, ale przecież nie od naszej starej budy, bowiem mury szkolne są przedwojenne, zdobyczne. Nasza klasa to dzieci z początków powojennego wyżu demograficznego, baby boomu, jak to się teraz mawia z angielska, dzieci pionierów zasiedlających Ziemię Odzyskaną. Muszę napisać, że czas nauki w liceum wspominam rozmaicie. Wiadomo, jest to trudny okres w życiu każdego człowieka, tzw. dojrzewanie, burza hormonów i takie tam efekty uboczne. Do tego dochodzą problemy, co dalej robić w życiu, po maturze. Ale mimo wszystko wydaje mi się, że żyło się wtedy jakoś prościej. Na

przykład, jeśli chodzi dajmy na to o czasopisma, to było tylko kilka tytułów do poczytania, jak *Przekrój* czy *Dookoła Świata*. Czekano się na następny odcinek Matysiaków w radiu czy rewię piosenek Kydryńskiego „tużur le dimanż” albo też gawędy Kierdziołka. W telewizji był tylko jeden program. Przyczyniało się to w sumie do integracji społeczeństwa. Mieliśmy na przerwach wspólne tematy do pogadania. Ale były to też czasy rock-and-rolla na świecie i zaczynającego się big-beatu w Polsce. Jako ciekawostkę mogę podać, że w klasie maturalnej wylądowało u nas kilku uczniów przeniesionych dyscyplinarnie z innych liceów. Jedną z tych postaci był niejaki Henryk Sawicki, który potem zasłynął jako piosenkarz pod artystycznym pseudonimem Fabian.

Czas wspólnej nauki w szkole tworzy więzi koleżeńskie, które pamięta się na całe życie. Jestem w tym wieku, że mogę z autopsji potwierdzić to dziwne zjawisko, że lepiej pamięta się stare dzieje, niż to, co było niedawno. No i zachodzi ta pożądana selekcja, że przykre sprawy są w dużym stopniu wypierane z głowy. Niestety, kontakty z naszą klasą mam mocno ograniczone, bo po szkole wyjechałem na studia do Gdańska i tam już zamieszkałem. Z *Szóstką* jestem też dodatkowo związany rodzinnie, bo siostra Janina i brat Andrzej również ją ukończyli.



Może trzeba by było okolicznościowo coś sentymentalnego lub może nawet dowcipnego, może podać jakąś scenkę rodzajową z życia szkolnego, ale to nie ze mną takie numery. Wtedy byłem młody gniewny, a teraz ze mnie stary maruda. Dorastający chłopak jest na pastwie gruczołów i targają nim silne

emocje. Zaczyna się robić różne głupoty, jak chociażby eksperymentowanie z używkami. Papierosy popalało się w kibelku szkolnym lub w parku przy wejściu do schronu. Męska część grona pedagogicznego starała się z tym walczyć, ale - niestety - nieskutecznie. Po 50 latach palenia dorobiłem się POChP. Starzy palacze wiedzą, co ten groźny skrót znaczy. Wtedy matura, teraz emerytura. Ze szkolnictwem spotykam się obecnie za pośrednictwem wnucząt, które znajdują się w przedziale wiekowym od przedszkola po studia. Na tej podstawie uważam, że system edukacji wtedy i teraz jest sprawnie zorganizowany. Nie tyle uczy, co

wychowuje. Wpaja się wychowankom posłuszeństwo wobec władz państwowych. Nic więc dziwnego, że społeczeństwo polskie pozostało bierne, kiedy sprawnie przeprowadzano je z jednego obozu do drugiego, zamiast pójść własną drogą.

Mam nadzieję, że młodzi ludzie, którzy teraz uczęszczają do VI Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinie wyrosną na lepszych i zdrowszych Polaków niż ten, co to pisze. Że pokochają to nasze twarde polskie życie i nauczą się widzieć w tym swoją dumę.

Dr inż. Stanisław Tujaka

Wojciech Wielopolski

Moja (?) Szóstka



Już sam temat egzaminacyjnej pracy pisemnej, którą należało napisać zapewne na jakimś przyzwoitym poziomie, by dostać się do szacownego szczecińskiego VI Liceum, popularnie zwanego *Szóstką* może dzisiaj budzić zdziwienie. Wówczas zadanie, by opisać wpływ rybołówstwa dalekomorskiego na rozwój miasta i regionu, ani mnie zaskoczyło, ani wprowadziło w jakąkolwiek rozterkę. Czy były jakieś dalsze ustne

przesłuchania - nie pamiętam, ale wszystko obyło się bez kłopotu i z satysfakcją 1 września 1964 roku przekroczyłem niepokaźne drzwi gmachu przy ulicy Jagiellońskiej. Kilkanaście schodów prowadziło na parter, skąd dwoma klatkami schodowymi wnikało się w labirynt piętrowej szkolnej przestrzeni. Wybrałem klasę VIII „A”, co oznaczało już u zarania mojej ogólnokształcącej edukacji pewną niekonsekwencję. Otóż była to klasa z językiem łacińskim, a w opinii wielu szkoła przygotowywała do studiów politechnicznych. Po latach dowiedziałem się, że kilkoro absolwentów z mojej klasy trafiło na medycynę. Stąd ta łacina. Ja miałem studiować na politechnice, ale szybko zorientowałem się, że moje zdolności do przedmiotów ścisłych dalekie są od doskonałości. Nie sprzyjały temu starania nauczycieli, a zapewne i programy oraz zupełnie nieskuteczna metoda zastraszania zniechęcające do pobytu na lekcjach chemii z prof. Kapuścińskim czy matematyki z prof. zwanym „Minusem”, a następnie prof. Pacewiczem. Lepiej było na fizyce u miłego prof. Słówko. A przecież byli to nauczyciele doceniani za kompetencje. W takich okolicznościach najsympatyczniejsze były lekcje łaciny u starszej profesor Janiszewskiej, która nosiła w sobie dystynkcję właściwą jej przedmiotowi. Podobnie było na lekcjach języka polskiego u prof. Biegańskiej, która z pietyzmem nauczycielki „starej daty” poświęcała uwagę naszej dawnej literaturze, a szczególnie romantyzmowi. Współczesność literacka umykała jej uwadze, czemu się dzisiaj nie dziwię, ale co potem sprawiło mi niemały kłopot. Ale o tym za chwilę. Szkoła miała swoją renomę, a moi starsi kuzyni i kuzynki chwalili ją za wysoki poziom edukacji. Można się

było szczycić, że <<chodzi się do *Szóstki*>>. Szkoda, że z wytrwałością godną lepszej sprawy, wspomniany prof. „Minus” czatował o 8 rano w drzwiach i trzeba było przyczepiać w pośpiechu emblemat szkoły, tzw. „tarczę” do rękawa kurtki. Budziło to jakiś nieokreślony i głupi opór, nie tylko z mojej strony. Charakterystyczne, że tak nieistotny szczegół tkwi mi w pamięci, a nic poważniejszego, co stanowiłoby „szkolne wydarzenie”.

Szło się do „budy” i z przyjemnością ją opuszczało, by zanurzyć się we własnej rzeczywistości. Nie polubiłem więc szkoły jako Instytucji, bo w tych czasach nie tworzyła ona wartości, z którymi chciałoby się utożsamić, mając na co dzień zupełnie inny światopogląd kształtowany w środowisku rodzinnym, ciągle pochodzącym jakby z innych, zamierzchłych już czasów. Cóż, to był zapewne tylko mój pogląd. I kilku moich najbliższych kolegów: Janka Klimaszewskiego, którego babcia, u której mieszkał, straciła w powstaniu warszawskim dwóch synów. Podobnie myślał Rysiu Dzierzba. Naszą grupę koleżeńską tworzyli też Stasiu Szubiński, Paweł Skórski, Andrzej Głuski czy Zbyszek Lamparski, a z koleżanek – Ewa Przesmycka. Stanowiliśmy przyjacielską wspólnotę, która chociaż zawiązała się w szkole, niewiele miała z nią wspólnego, gdy z niej wychodziliśmy po lekcjach.

Żyliśmy swoim życiem w PRL-owskiej rzeczywistości ani specjalnie indoktrynowani, ani zachęceni do swobodnego myślenia i trzeźwego spoglądania na świat dookoła. Szkoła o nim milczała, zostawiając nas samym sobie w czasach zaiste nieciekawych. Tylko łacinniczka prof. Janiszewska czy prof. Biegańska dawały nam raz po raz „coś do zrozumienia”. Historyk milczał jak zaklęty o współczesności, a zajęcia z przysposobienia wojskowego polegały jedynie na strzelaniu z kbks-u. Może na szczęście i co zresztą było nader ciekawe. Gdyby więc nie rodzinne tradycje i słuchanie radia *Wolna Europa* oraz dysputy w koleżeńskim kręgu, a dalekie od ideologii wszelakich, i gdyby nie muzyka sącząca się z radia Luxemburg – szkoła ogólnokształcąca nie dawała nam niczego poza wiedzą. A i z tym różnie bywało, co na własnym przykładzie mogę opowiedzieć.

Jak przystało, po pięknie zdanej maturze, trafiłem na Wydział Budownictwa Lądowego szczecińskiej Politechniki. I cóż się okazało. Ja, uczeń z przyzwoitymi ocenami, mimo starań nic nie rozumiałem z wykładów i ćwiczeń podczas I semestru. Niewiele dała mi więc edukacja matematyczno-fizyczna, z której szkoła słynęła. A jednak, jak się niebawem okazało, czegoś mnie nauczyła. Elastyczności i umiłowania różnorodności. Otóż zapewniało to zróżnicowane grono złożone z nauczycieli - profeso-

rów i profesorek w jakże odmienny sposób traktujący swoich podopiecznych, od empatii tchnącej od mojej wychowawczyni prof. Janus, uczącej biologii po chlubiącego się złą sławą profesora, który wchodząc do sali, mroził nas swoim zimnym spojrzeniem. Od początku jego lekcji czekało się na donośny dźwięk dzwonka wieszczącego chwilę oddechu na świeżym powietrzu szkolnego podwórza, gdzie szczęśliwie ustawiony zestaw do koszykówki pozwalał zagrać chociaż przez kilka minut „w króla”. Wróćmy jednak do korzyści, jakie wyniosłem, jak się wydaje podświadomie, z edukacji w *Szóstce*. Niepowodzenie na politechnice postanowiłem zrekompensować na polonistyce. Tym razem w Poznaniu na Uniwersytecie. I o dziwo, znowu zdałem śpiewająco egzamin wstępny, co było niekwestionowaną zasługą wspomnianej polonistki, prof. Biegańskiej, przez dwa lata nurzającej nas w rozkoszach literatury XIX wieku oraz *Młodej Polski*. Ale i tutaj pojawiła się niebawem poważna rysa na mojej szkolnej edukacji. Trafiwszy na polonistykę bardzo szybko się zorientowałem, że nie mam zielonego pojęcia o polskiej literaturze współczesnej. Może i program szkolny tego nie przewidywał, ale moi koledzy i koleżanki z poznańskich liceów byli w tym zakresie znacznie lepiej zorientowani. Co nie przeszkodziło mi w szybkim nadrobieniu zaległości. A stopień z łaciny na świadectwie maturalnym okazał się bardzo przydatny, bowiem zwalniał z mozolnego lektoratu. Niebawem okazało się też, że umysł miałem wyćwiczony zarówno w obszarze tak zwanego „logicznego myślenia”, jak też humanistycznej interpretacji. Z tego względu musiałem przyznać, że choć nie lubiana w moich „zielonych latach” szczecińska *Szóstka* umożliwiła mi dostosowanie się do jakże różnych wymagań intelektualnych i metodologicznych w czasie późniejszym.

Polonistykę, w zakresie literaturoznawstwa, ukończyłem „cum laudo”, co pozwoliło na zatrudnienie w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie w Poznaniu. Poznańska polonistyka, bez wątpienia najlepsza w Polsce przez dekady, skrzęca się sławą profesorów - Ziomka, Balcerzana, Barańczaka, Hendrykowskiego - by tylko wymienić moich nauczycieli i przyjaciół z Zakładu Teorii Literatury - dawała możliwość bezpiecznego i twórczego istnienia w zdecydowanie mrocznych czasach lat 70-tych oraz 80-tych. Realizowaliśmy hasło „róbmy swoje” z niewiarygodną konsekwencją, mimo ostrych zakrętów historii, jak stan wojenny czy schyłkowe lata PRL-u.

To miejsce, takie środowisko, nieograniczone perspektywy intelektualnego rozwoju wśród przyjaciół naukowców i mentorów określających wyraziście cele, jakimi powinien kierować się akademicki wykładowca, budowały z miesiąca na miesiąc i z roku na

rok moją świadomość, co nie oznacza, że nie czułem się nigdy „wahającą się trzcina”. Niedawny uczeń, potem student znalazłem się nagle po drugiej stronie uniwersyteckiej katedry czy nauczycielskiego pulpitu. Spojrzałem na siedzących na przeciw mnie niemal równoletków i zrozumiałem, jak trudne i odpowiedzialne stoi przede mną zadanie. I pokochałem ten zawód. Jakże inny od nauczyciela w liceum ograniczonego ideologicznym i programowym schematem. Poczułem wolność głoszenia, ale i obowiązek słuchania moich studentów. Czy było tak tylko na mojej Polonistyce, czy także gdzie indziej? Nie wiem. Być może to, że przez kilka szkolnych lat między 1964 a 1968 rokiem nie znalazłem momentu, w którym mógłbym, poza lekcjami prof. Biegańskiej, wyrazić swoje odmienne zdanie, u progu mojej kariery uniwersyteckiego wykładowcy miało decydujące znaczenie. Nauczyło słuchać i doceniać opinie Innych. Witkacy, Bruno Schulz, a wreszcie Witold Gombrowicz oraz Zbigniew Herbert, każdy na swój sposób kształtowali moją świadomość. Przez dziesiątki lat starałem się więc wpoić te wartości moim uczniom i dostrzegać w studentach, a potem licencjantach i magistrantach partnerów do dyskusji, podczas których jakże często byłem skłonny poddawać się ich argumentacji. Także pełniąc funkcje prodziekana i tworząc w latach pięćdziesiątych na polonistyce w Poznaniu nowoczesne studia niestacjonarne, których absolwenci wraz z kończącymi studia dzienne od lat zasilają kadrę nauczycieli języka polskiego i literatury. Mam nadzieję, że są przy tym otwarci na to wszystko, czym powinien się kierować nauczyciel-humanista.

Jak łatwo się domyśleć, czas biegł szybciej niż się zdawało. Zmienił się ustrój Polski i stało się całkiem normalnie. Ale o tej możliwej przecież normalności nikt nigdy mi w szkole nie powiedział. To było w równoległym świecie, o którym przecież każdy wiedział, w który niektórzy z nauczycieli wierzyli, ale o którym nigdy nie wspomniano. O ten oportunizm mam żal. W latach szkolnych tak bym tego nie nazwał, ale wówczas bez wątpienia zaważyło to na braku tożsamości między instytucją mojej szkoły i być może nieuchwytnym wzorcem moralnym. On pozostał w innej prywatnej sferze. To się zmieniło, gdy trafiłem na studia do Poznania, bo taka właśnie tożsamość była budowana na naszych polonistycznych zajęciach. Oczywiście nie zawsze było idealnie i nie wszyscy byli „aniołami”. Ciągle „nie było wolno”, ale tym razem odważnych nie brakowało. Ale to była już specyfika uniwersytetu.

Biegły dziesięciolecia. Zaangażowany w literaturoznawczą dydaktykę i badanie współczesnych losów naszej literatury w mrocznych czasach stalinowskich i podczas „Przełomu 1956”, kiedy to po raz

pierwszy również literaci (vide Marek Hłasko) zbuntowali się przeciw totalitarnej rzeczywistości, coraz rzadziej przyjeżdżałem do rodzinnego Szczecina i co charakterystyczne tylko dwa razy odwiedziłem *Szóstkę*. Pierwszy raz przed kilkunastu laty pokazywałem wewnątrz gmachu swojemu starszemu synowi. Nie czułem żadnego sentymentu, co mnie wrażliwego, na pisarskie emocje, mocno zaskoczyło. Nie szukałem odpowiedzi na pytanie - dlaczego? Po raz wtóry, w zeszłym roku w pięćdziesiąt rocznicę matury 1968 spotkaliśmy się w szkole – uczniowie klasy 11 „A”. Przyjęci miło przez Panią Dyrektor przechadzaliśmy się znajomymi korytarzami, zasiadaliśmy w kolejnych pracowniach. I na tym koniec. Bez specjalnego wzruszenia, z trudem się po pięćdziesięciu latach rozpoznający, kładliśmy podpisy w pamiątkowej Księdze. Teraz było szczególnie widoczne, że nasza klasa składała się z koterii towarzyskich blisko ze sobą powiązanych przyjaciół. Należałem do jednej z nich. Z nielicznymi utrzymywałem bliższy kontakt, z innymi nie spotkałem się przez lat pięćdziesiąt. Sądzę, że mieszkający w Szczecinie byli ze sobą blisko, czy jednak dlatego, że łączyło ich szkolne przeżywanie dorastania nastolatków? Nie sądzę. Klasy złożone z towarzyskich kółek. Szkoła składająca się z klas oznaczonych literami alfabetu. I ten stary Gmach łączący nas instytucjonalnie. Ja we wspomnieniach nie znalazłem tutaj swojego miejsca. Co nie oznacza, że szkolna przestrzeń nie sprzyjała pierwszym miłosnym wzruszeniom. A te zawsze pozostaną żywe. Ale to już materiał na inną opowieść.



Wielką sztuką jest zbudowanie świadomej tożsamości uczniów i jestem przekonany, że dzieje *Szóstki* w ostatnich 30 latach dostarczyły takich satysfak-

cjonujących przeżyć, tym wszystkim absolwentom, którzy mogli zakosztować prawdziwej wolności w nauczaniu szkolnym i doświadczyć bycia partnerem dialogu między nauczającym i nauczonym. To, że nie dostrzegłem tego w czasach mojej edukacji, kładę na karb okoliczności politycznych i społecznych, które z racji uprawianego zawodu są mi doskonale znane. Zapewne jeszcze gorzej było w czasach stalinowskich po roku 1949. A może wtedy, w latach 50-tych rósł jakiś wewnętrzny opór części kadry i uczniów przeciwko czasom strasznym. Ciekawe, jak wspominają dawni absolwenci rok 1956 i następujące po tym przełomie zmiany. Mój czas, czyli druga połowa lat 60-tych, to okres mało wyrazisty, jakby zamglony, pozbawiony ważnych zdarzeń w wymiarze szkolnym.

A przecież czaił się w nas pierwiastek buntu, młodzieżowego oraz studenckiego protestu, który na własne oczy widziałem tuż przed maturą na ulicach przed budynkami szczecińskiej Politechniki. Był to „Marzec 1968 roku”.

Teraz, po siedemdziesięciu latach istnienia historia *Szóstki*, w moim przekonaniu musi być malowana różnymi kolorami. Od mrocznych, przez mgliste, do barw świeżych i radosnych, właściwych dzisiejszym nastolatkom oraz starzejącym się nieuchronnie z roku na rok absolwentom, chcącym za wszelką cenę młodość swą w zielonym odcieniu postrzegać.

Dźwirzyno-Poznań, sierpień-wrzesień 2019

Wojciech Wielopolski - absolwent 1968 r., pracownik naukowy na polonistyce Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; autor książek: *Młoda proza polska przełomu 1956* oraz *Filologiczne demony Wojciecha Wielopolskiego*. Dawniej wiele podróżujący, obecnie poświęca czas opracowywaniu rodzinnych wspomnień i archiwum rodu Wielopolskich.

Wspomnienie

Moje dwie pasje (ubezpieczenia i sport)



VI LO. Do VI LO chodziłem w latach 1964-1968. Wychowawcą klasy był prof. Zbigniew Słówko, gospodarzem klasy - Jurek Gajda. Z perspektywy 51 lat pobyt w szkole był zaledwie krótkim epizodem w moim życiu, jednak wspomnienia wracają i wracać będą. Na przerwach słuchało się – w tamtych latach ewenement - muzyki z radiowęzła (najnowsze przeboje *Beatlesów*,

Czerwonych Gitar czy *Szczepanika*). Z sympatią wspominam klasowe wyjazdy na wykopki, czy wycieczki do Warszawy i nad Miedwie. Uczyli mnie wspaniali nauczyciele, jak choćby J. Skolimowska (zdawałem u niej maturę z geografii), J. i Z. Słówkowie, M. i W. Taczkowie czy wspaniała Stanisława Kocielowicz (j. rosyjski), z którą spotkałem się również na uroczystości w Urzędzie Wojewódzkim z okazji 100-lecia urodzin mojego ojca Aleksandra, dowódcy XIII Brygady AK oraz na jego pogrzebie (dożył 107 lat).

Występowałem na szkolnej akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, grając na fortepianie wiązanek melodii radzieckich. Zamiłowanie do muzyki - ukończyłem Szkołę Muzyczną I stopnia - pozostało (podczas służby wojskowej grałem w Orkiestrze Garnizonowej w Elblągu na waltorni, a w zespole muzycznym

na akordeonie i klawiszach). W 1974 r. wystąpiłem na defiladzie XXX-lecia przed PKiN w Warszawie w 300-osobowej orkiestrze, a mojej muzyki słuchali wówczas m. in. Gierek i Breżniew. Z inicjatywy Wacka Łucyszyna 16 chłopaków z klasy złożyło się na piłkę nożną (kosztowała 314 zł), podzieliliśmy się na 4 zespoły i graliśmy turnieje w pobliskim Parku Noakowskiego i na stadionie Pogoni za zgodą Stefana Żywotko, ojca jednego z kolegów z klasy - Mietka, który był wówczas trenerem I-ligowej *Pogoni*. W klasie utworzyliśmy 2 fankluby: miłośników *Beatlesów* i *Rolling Stonesów* (ja należałem do tego pierwszego). W klasie część kolegów uszyła marynarki z zielonego sztruksu ze stójką i złotymi guzikami, co było przedmiotem zainteresowania.

Moimi kolegami szkolnymi byli też A. Rynkiewicz - zawodnik

Pogoni, J. Kubiak (sędzia piłkar-
ski) czy J. Balczewski (koszykarz).

Z koleżankami i kolegami z klasy
mam sporadyczne kontakty (część
z nich niestety nie żyje), chociaż

udało nam się zrobić w restauracji
Chalupa u Wiesi Wifort 20 lat
temu spotkanie klasowe.

Praca. W 1968 po maturze i otrzymaniu świadectwa dojrzałości nastąpił kolejny etap w moim życiu. Rozpocząłem pracę zawodową i zacząłem działać w sporcie. Przez niemal 50 lat pracowałem w instytucjach ubezpieczeniowych: *PZU, Filar, Uniqa*. Byłem uczestnikiem transformacji ubezpieczeń w Polsce (jako specjalista, agent, ekspert czy p.o. Dyrektora (moje teksty nt. likwidacji szkód drukowała m. in. *Gazeta Ubezpieczeniowa*), organizatorem szkoleń. Odniesienie *200 lat ubezpieczeń* jest uznaniem mojej barwnej pracy w tej dziedzinie.

Dodatkowo, przez 10 lat, pracowałem w szkołach (ZSBO, ZSM1, TME) jako nauczyciel - wychowawca internatu. W 1986 r. byłem Komendantem Ochotniczego Hufca Pracy w Pradze. W rozgrywkach internackich zdobywaliśmy niejednokrotnie mistrzostwa internatów Szczecina i uznanie ze strony Kuratorium Oświaty i Wychowania. Najślynniejsi moi wychowankowie to sportowcy: bokser P. Jurczyk, siatkarz K. Kowiesz, tenista stołowy J. Pyrek, ale doczekałem się też kilku Komendantów Policji.

Moje pasje-sport. Do czynnego zajęcia się sportem namówił mnie mój chrzestny, walczący w AK razem z moim ojcem na Wileńszczyźnie - Andrzej Sochański (ojciec Bartłomieja - późniejszego Prezydenta Szczecina). W 1968 r. rozpocząłem przygodę z boksem jako zawodnik *Pogoni*. Wcześniejszy krótki epizod to zawodnik tenisa w SKT Szczecin, którego gwiazdą w latach 60-tych była I. Fudalówna (też chodziła do *Szóstki*). W 1969 r. zapisałem się na kurs sędziów piłki nożnej, gdzie czynnie działałem do dzisiaj. Posiadając tytuł menedżera sportu i menedżera edukacji sportu, od wielu lat działam we władzach Polskiej Korporacji Menedżerów Sportu, obecnie jako Przewodniczący Komisji Rewizyjnej.

Piłka nożna. W br. obchodziłem Jubileusz 50-lecia nieprzerwanej działalności sędziowskiej. Ok. 1800 przesędziowanych meczów, 300 obserwacji. Jestem licencjonowanym spikerem Extraklas. Na szczeblu centralnym przepracowałem 10 lat jako asystent (w tym 11 meczów w ekstraklasie - (Widzew, Wisła, Górnik Z., Lech, czy Szombierki), zawarłem mnóstwo znajomości, m. in. ze Z. Bońkiem czy G. Lato. Mecz, który utkwił szczególnie w pamięci: Widzew-Gwardia, po którym łodzianie zdobyli Mistrzostwo Polski, a D. Dziekanowski przeszedł do Widzewa za rekordową kwotę 21 milionów złotych.

Boks – w ub. roku obchodziłem jubileusz 50 lat działalności w boksie. W latach 1968-1972 byłem zawodnikiem sekcji bokserskiej *MKS Pogoń*, trenowałem m. in. z K. Pierwienieckim - Mistrzem Europy i Olimpijczykiem z Monachium. Wykładałem na kursach sędziów boks, współorganizowałem wiele imprez bokserskich. Byłem też Wiceprezesem OZB w Łodzi (Członek Honorowy OZB) oraz Przewodniczącym Wydziałów Sędziowskich w Szczecinie i w Łodzi, a także kierownikiem drużyny *MKS Pogoń*, współzałożycielem i Wiceprezesem BKS Sztorm, spikerem I-ligowych zawodów *Stali Stocznia*, współorganizatorem Gali z udziałem D. Michalczewskiego i Z. Pietrzykowskiego, a przede wszystkim sędzią – kilka tysięcy walk w lidze, mistrzostwach, turniejach, pucharach, m. in. W Niemczech i Ventspils w 1986 r. (wówczas ZSRR). W 2018 r. byłem Sędzią Głównym meczu o Mistrzostwo Polski Skorpion-Team Wielkopolska. Na Międzynarodowym Turnieju w Chemnitz 2012 otrzymałem nagrodę dla najlepszego sędziego. Jako jeden z niewielu (może jedyny w Polsce) sędzia posiadam zarówno tytuł Sędziego Honorowego Polskiego Związku Piłki Nożnej jak i Polskiego Związku Bokserskiego.

Dodatkowe pasje. Oprócz moich podstawowych pasji (ubezpieczenia i sport), zainteresowań - muzyka, turystyka (członek Klubu Turystyki Pieszej *Salamandra*), jako miłośnik Pragi przeprowadziłem w Łodzi 6 prelekcji połączonych z cyklu *Praga znana i nieznana*. Wystartowałem w *Najślabszym ogniwie*, przechodząc do IV rundy, przy okazji poznając nietuzinkową Kazimierę Szczukę.

Podczas 11-letniego pobytu w Łodzi, gdzie pracowałem i uczestniczyłem w imprezach literackich, wyróżniono mnie jako Przyjaciela Kabaretu *Pęta Ósemki* Agnieszki Batelii - była to dla mnie nobilitacja, ale też miałem okazję poznać innych uczestników spotkań tego kabaretu: J. Kopcińską czy prof. P. Glińskiego, obecniego wicepremiera. Na jednym ze spotkań filmowych poznałem Magdalenę Zawadzką i Claudię Cardinale (z tą ostatnią mam nawet unikalne zdjęcie). Będąc od 2 lat na emeryturze, mogę więcej czasu poświęcić działacze i Uniwersytetowi Trzeciego Wieku.

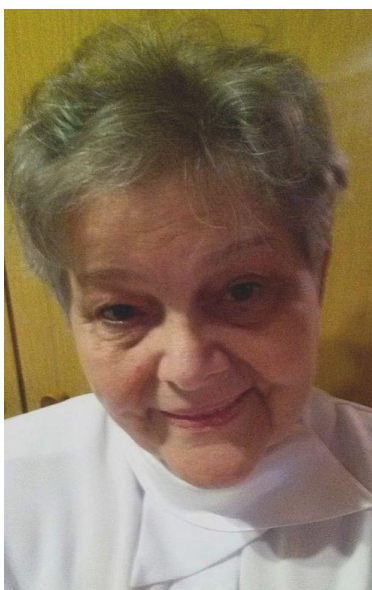


Po ponad 50-u latach, mając ukształtowaną osobowość i charakter, mogę w pełni docenić wartości, jakie wyniosłem ze szkoły podczas czteroletniej edukacji, ze szkoły, którą ukończyli również moja siostra, siostrzeniec i siostrzenica.

*Jerzy Zajkowski, absolwent z 1968 roku,
Sędzia Honorowy PZPN, Sędzia Honorowy PZB*

Wspomnienie

Dbaliśmy o to, aby pięknie się wysławiać



Maturę w *Szóstce* zdawałam w 1969 roku. Później ukończyłam Wyższą Szkołę Nauczycielską jako polonista i historyk.

Pracowałam w szkole podstawowej w Nowym Warpnie, ale po urodzeniu córki przeszłam do Oddziału Informacji Naukowej Biblioteki Głównej Akademii Rolniczej w Szczecinie. W latach 90-tych poprzedniego wieku poznałam komputerowe bazy danych i wtedy wraz z koleżankami doszłyśmy do wniosku, że nie chcemy już pracować tradycyjnymi metodami: tak zaczęła się moja przygoda z informatyką. Po paru latach zostałam kierownikiem Pracowni Informatyki Bibliotecznej w tej samej bibliotece. Jako pierwsi w kraju opracowaliśmy pełny katalog zasobów czasopism i udostępniliśmy ją, wraz z wieloma innymi, w internecie. Dziś myślę, że to właśnie VI LO przygotowało mnie do tej pracy.

W latach 60-tych *Szóstka* była liceum o profilu matematyczno-fizycznym, toteż prowadzone na wysokim poziomie przedmioty ściśle dały mi dobre podstawy, chociaż nie były moimi ulubionymi.

Uczyli nas doskonali pedagodzy, m.in. prof. Słówko, który później pisał podręczniki akademickie z dziedziny fizyki. Miał też swoje przyzwyczajenia, m. in. nadużywał wyrażenia „na przykład”. Raz z koleżanką policzyłyśmy – użył go 72 razy w ciągu 45 minut! Z kolei prof. Biegańska potrafiła godzinami dyskutować z nami na tematy literackie i nie tylko, ze szczególną dbałością o piękno polszczyzny i umiejętność argumentacji.

Do dziś pamiętam, jak do kolegi, który był asem matematycznym powiedziała: „Wojtek, polonista może nie umieć matematyki, ale żeby matematyk nie umiał mówić po polsku, to wstyd”. I tak nam już zostało – dbaliśmy o to, żeby pięknie i logicznie się wysławiać.

Zupełnie innym nauczycielem był prof. Wiktor Kutkiewicz, zwany "Mynusem" (tak wymawiał słowo „minus”), przewspinały, choć przez wielu znienawidzony z powodu specyficznych metod nauczania... :)) Jestem humanistką, ale po 50 latach od matury potrafię wyprowadzić dowód na przystawanie kątów wierzchołkowych!

Zajęcia rzeczywiście prowadził w nietypowy sposób - w sali były 2 tablice i na obu w tym samym czasie wybrani do odpowiedzi uczniowie rozwiązywali różne zadania. Pozostali musieli w zeszytach na bieżąco rozwiązywać oba, gdyż kiedy zauważył błąd na tablicy, odsyłał delikwenta z dwóją, a na jego miejsce prosił następnego, który musiał kontynuować zadanie. Jego system oceniania polegał m.in. na stawianiu plusów i minusów, w myśl zasady: 3 plusy = 5, 3 minusy = 2. Najłatwiej więc było dostać piątkę lub dwóję, o trójki i czwórki trzeba się było bardziej postarać. Pamiętam też, że często obchodziliśmy jego imieniny, ponieważ wtedy nie pytał, a że Wiktor jest kilka razy w roku, to za każdym razem kupowaliśmy kwiaty i w klasie uroczystie wręczaliśmy je, składając życzenia. Zawsze przyjmował je z uśmiechem, nawet jeśli imieniny wypadły dwa razy w jednym miesiącu (i nigdy wtedy nie wywoływał nas do odpowiedzi). Na ostatniej lekcji matematyki, przed maturą, podeszłam do Profesora i wskazując na uczniów młodszych klas, spacerujących po boisku szkolnym powiedziałam, że gdyby oni wiedzieli, że Profesor tych uczących się i tak "powyciąga", to by się nie bali tak panicznie matematyki. Profesor spojrzał wtedy na mnie wesoło i westchnął: - Kiedy, wiesz "dziewczyzna", to właśnie na tym polega... Była to moja pierwsza lekcja pedagogiki, która wiele razy przydała mi się w życiu zawodowym...

Języka angielskiego uczył nas prof. Awtuszewski – kiedyś z okazji Dzień Kobiet wręczyliśmy mu piękny bukiet ze świeżo nazrywanych w parku Noakowskiego dorodnych pokrzyw. Nie był zbytnio zadowolony, ale nic nie powiedział. Dużym sentymentem darzyliśmy też prof. Gaj - wuefistkę. Pamiętam, jak kiedyś wyjechała na wakacje do rodziny do Kanady i potem opowiadała nam na lekcjach różne ciekawe historie. Jedną z nich dotyczyła teflonu. Chcąc pomóc krewnym, u których mieszkała, pod ich nieobecność wyszorowała patelnię aż do połysku. No cóż, rodzina nie była zadowolona, a my po raz pierwszy w życiu usłyszałyśmy o teflonie.

Ciekawie było też na zajęciach technicznych u prof. A. Brzozowskiej; uczyłyśmy się gotować (do dziś mam w notesiku przepis na śledzia w śmietanie i mazurek „dzień i noc”), robiłyśmy swetry na dwupłytowych maszynach dziewiarskich, ale też poznałyśmy budowę odkurzacza i żelazka. Zdradzę też tajemnicę: Dyrektor Zygmunt Ciesiul "wykorzystał" mój wyraźny charakter pisma! Przez 2-3 dni, zamknięci w gabinecie dyrektora liceum, wypisywaliśmy świadectwa maturalne. Tzn. ja pisałam, Pan Dyrektor dyktował i sprawdzał... Rocznik, który zdał maturę w 1969 roku, ma świadectwa maturalne wypisane moją ręką.

Zajęcia pozalekcyjne to przede wszystkim harcerstwo (do dziś mam to społecznikostwo we krwi☺), wycieczki i wykopki w PGR-ze. To była świetna sprawa – integracja klasy i jeszcze nauka szacunku do pracy. Był też basen, na którym uczyliśmy się pływać oraz szafki na korytarzach (zamiast szatni). W pamięci pozostanie także wspomnienie, o tym, że kilkoro uczniów mojej klasy musiało po maturze opuścić Polskę jako konsekwencję wydarzeń 1968 r. To było niepojęte, szczególnie po burzliwych, pełnych młodzieńczego zapału i buntu (czasem na tematy patriotyczne) dyskusjach u prof. Biegańskiej.

Barbara Tupikowska



Nie zamieniłbym swojego życia na inne

Michał Bernardelli - obecnie pracuje na stanowisku adiunkta w Zakładzie Metod Probabilistycznych Instytutu Ekonometrii Kolegium Analiz Ekonomicznych Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie; jego najnowsze publikacje związane są z problematyką Big Data, zastosowaniami modeli Markowa, analizie konwergencji, modelowaniu ekonometrycznemu oraz wykorzystaniu metod numerycznych w naukach ekonomicznych; realizuje się też w działalności sportowej.

Jak Pan wspomina pobyt w *Szóstce*?

W tym roku minęło dokładnie 20 lat od zdania przeze mnie egzaminów maturalnych. 20 lat to szmat czasu, w trakcie którego zdobyłem wiele umiejętności, wiedzy i doświadczeń, ale to wcześniejsze cztery lata wspominam najmilej. Pobyt w liceum to czas, kiedy mamy możliwość najbardziej wszechstronnego rozwoju i kiedy dokonujemy pierwszych poważnych wyborów życiowych. To wreszcie czas zawierania przyjaźni na całe życie. *Szóstka* doskonale wpisuje się w moją pamięć we wszystkich tych aspektach. To chyba tylko bezpośrednio po zakończeniu szkoły średniej mógłbym liczyć na zdobycie głównej nagrody w *Milionerach* – nigdy wcześniej, ani później nie znałem takiej ilości różnorodnych informacji. To w czasach liceum nauczyciele pozwolili mi poznać siebie i rozwinąć swoje zainteresowania oraz pomóc dokonać wyboru przyszłej drogi zawodowej. Natomiast osób, z którymi chodziłem do klasy, nie zapomnę do końca życia. Z wieloma utrzymuję ściśle kontakty, chociaż dzielą nas często setki kilometrów.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Jest wiele takich zdarzeń, które dla mnie były zabawne, zaskakujące czy też kształtujące, ale w większości są one niezrozumiałe lub nudne dla osób postronnych bez przedstawienia szerszego kontekstu. Z takich ciekawszych natomiast mogę przytoczyć jeden z niezapomnianych sprawdzianów z historii u naszego wychowawcy, prof. Tarnowskiego. Z okresu historycznego, pełnego wojen, zdarzeń o wielkim znaczeniu politycznym i naukowym, otrzymaliśmy do napisania w dwóch grupach zaskakujące tematy, odpowiednio o architekturze i sztuce. Oczywiście zdecydowana większość koleżanek i kolegów otrzymała ocenę 1 (były już wówczas jedynki). Po protestach, prośbach, ingerencji p. dyrektor sprawdzian został

powtórzony. Wszyscy uczyli się jeszcze więcej niż do pierwszego terminu. W drugim otrzymaliśmy tematy, którymi byliśmy jeszcze bardziej zaskoczeni, a mianowicie: architektura i sztuka. Tym razem ocen niedostatecznych było... jeszcze więcej. W tamtym czasie nie było nam do śmiechu, ale z perspektywy tylu lat historyjka z historią wydaje się zabawna.

Natomiast, jeżeli miałbym podać coś, co szczególnie utkwiło mi w pamięci, a dotyczyło całej szkoły, to inscenizacje przygotowywane przez każdą klasę na Dzień Wiosny. Scenki, często przygotowywane na ostatnią chwilę, były na ogół zabawne, a przebrania – z braku profesjonalnego zaplecza – pomysłowe i dość wymyślne.

Kogo - z uczniów, nauczycieli - wspomina Pan i dlaczego?

Najbardziej w pamięć zapadają osoby, z którymi wiążą się te najlepsze i te najgorsze wspomnienia. Pod tym względem jestem jednak chyba dość specyficzną osobą, bo uczyłem się dość dobrze z każdego przedmiotu i wszyscy nauczyciele zapadli mi w pamięć z tej dobrej strony. Z czasem wiele człowiek zapomina, a szczegóły zacierają się w pamięci, ale z ręką na sercu jestem w stanie wymienić tysiące dobrych wspomnień związanych z osobami, z którymi zetknąłem się w trakcie nauki w liceum, a żadnego negatywnego. Stąd nie mogę wymienić jednej szczególnej osoby, która zapadła mi w pamięci. To chyba właśnie całe grono osób stworzyło taką atmosferę, że z radością wróciłbym do tamtych czasów. Wierzę, że brak którejkolwiek z osób stanowiłby duży uszczerbek dla mojego wyobrażenia *Szóstki*.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Sądzę, że to właśnie *Szóstka* w największym stopniu mnie ukształtowała, dając solidny fundament do dalszych etapów nauki i pracy zawodowej. Wszystkie pasje, które mam, wszystkie osiągnięcia, które zdobyłem i wszystkie cele, które sobie postawiłem i stawiam, miały początek właśnie w trakcie tych czterech lat nauki i życia w liceum. *Szóstka* była szkołą elitarną, a moja klasa okazała się takim oddziałem specjalnym w jej szeregach. Wszyscy dostali się na wymarzone studia i z perspektywy 20 lat można uznać, że osiągnęli sukces, na jaki ciężko zapracowali. Każdej z koleżanek z klasy i każdemu koledze gratuluje i sądzę, że w ich imieniu mogę podziękować za to naszym nauczycielom-mentorom, którzy nauczyl nas

chcieć się uczyć i walczyć o spełnienie marzeń i celów. To właśnie tutaj, dzięki - być może nie do końca zdrowej - rywalizacji, stresowi, często nadmiarowi obowiązków, dowiedzieliśmy się, że nie ma rzeczy, których nie możemy osiągnąć, jeżeli tylko tego chcemy. Moja skromna osoba wylądowała w stolicy kraju, daleko od rodzinnego miasta, ale uzbrojona w umiejętności, wiedzę i wolę, które pozwoliły mi stanąć na równi, albo i przed szeregiem osób wykształconych w innych szkołach w kraju. To dobre przygotowanie w każdym aspekcie życia, to z jednej strony zasługa Rodziców, ale z drugiej właśnie Grona Pedagogicznego naszego VI Liceum Ogólnokształcącego oraz szkolnych przyjaciół.



Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Praca zawodowa osób po kierunkach ścisłych może być niesamowicie opłacalna, ale wiąże się na ogół z godzinami spędzonymi przy klawiaturze komputera. Do tego mógłbym się przyzwyczaić, ale nie mógłbym znieść jednego - nudy. W przypadku kariery akademickiej mogę poznawać ciekawych ludzi, jeździć po świecie, uczyć się nowych rzeczy i stale rozwijać się w różnych dziedzinach. Przebywanie na pierwszej linii ciągłych przemian jest czymś fascynującym i pozwala na aktywne włączenie się w ten proces. Najważniejsze jest jednak to, żeby zauważyć, że świat się zmienia na naszych oczach i czas, w których można było wykonywać taką samą pracę przez całe swoje zawodowe życie, raczej się skończyły. Nie wiadomo zatem, czy za 20 lat będzie istniał zawód

kierowcy, prawnika, ekspedientki czy księgowego, ale na pewno nie zniknie zapotrzebowanie na zawód nauczyciela.

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Czy zamieniłby ją Pan na inną? Jak wygląda praca na uczelni?

Mówi się, że trawa po drugiej stronie płotu jest zawsze zieleńsza. Tymczasem ja nie zamieniłbym swojego życia na inne, a pracy na żadną spośród takich, które poznałem. Każda bowiem praca ma swoje zalety i wady. Jak jest korzystniejsza lub łatwiejsza pod jednym względem, to zapewne mniej sprzyjająca pod innym, czy to finansowym, czasowym, zdrowotnym, etc. Chyba kluczowe jest to, że na moją pracę składają się trzy obszary: naukowy, dydaktyczny i organizacyjny. Można się realizować w każdym z nich, przy czym umiejętne dzielenie czasu pomiędzy nie, pozwala w perspektywie lat pracy na uniknięcie monotonii i wypalenia zawodowego. Dla mnie, najmniej interesująca jest praca organizacyjna, przy czym zdaję sobie sprawę, że wraz ze wzrostem stażu zawodowego jest jej i będzie więcej. Rozwój kariery oznacza jednak nie tylko nowe obowiązki, ale otwiera też możliwości zdobywania nowych doświadczeń. W perspektywie kilku tygodni mam nadzieję uzyskać następny stopień w drabinie naukowej, a mianowicie habilitację, a za kilka miesięcy stanowisko profesora uczelni, co będzie się wiązać z następnymi wyzwaniami i koniecznością nabycia nowych umiejętności. Praca na uczelni daje więc, jak żadna inna, możliwości samorozwoju.

Jak ocenia Pan współczesnych studentów?

Z ocenianiem jest ten problem, że robi się to na tle jakiejś grupy: klasy, rocznika, szkoły, itd. Trudno jest zachować obiektywizm, nawet osobie z kilkudziesięcioletnim stażem, a co dopiero mnie, który ma znacznie mniejsze doświadczenie. Dodatkowo wykładam w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, która jest od wielu lat najlepszą uczelnią ekonomiczną w kraju. Tym samym studenci, z którymi mam do czynienia, to elita. Mogę się jednak podzielić jedną obserwacją. Genetycznie, kolejne roczniki są mniej więcej tak samo inteligentne. Różnią się wiedzą i umiejętnościami, ale fakt, że są one nieco inne niż te, których od nich wymagamy, nie oznacza w żadnym wypadku, że są głupszy czy słabszy. Trudno bowiem uzurpować sobie prawo do autorytarnego stwierdzenia, co jest przydatne bardziej, a co w mniejszym stopniu. Jednakże współczesny system edukacji zabił w młodych osobach chęć mierzenia się ze skomplikowanymi wyzwaniami, a tym samym pozbawił dużej części z nich satysfakcji z rozwiązywania problemów. Na ogół studenci, nie znajdując odpowiedzi, poddają się w szukaniu jej już po kilku czy kilkunastu minutach,

preferując poznanie rozwiązania podanego przez wykładowcę. Wydaje się, że jeszcze kilkanaście lat temu takie zjawisko było marginalne. Nie mnie oceniać, czy jest to dobre, czy nie, ale brak możliwości czerpania satysfakcji z dojścia do czegoś własnymi siłami, odbiera, w moim mniemaniu, ważny aspekt życia.

Jak zaczęła się Pana przygoda z bieganiem? Dlaczego akurat tę dyscyplinę Pan wybrał?

Biegać zacząłem, jak na wyczynowego sportowca, bardzo późno, bo w trzeciej klasie szkoły średniej. Złapanie biegowego bakcyła zawdzięczam zatem również *Szóstce*. Na przestrzeni lat zmieniały się dystanse, zaczynałem bowiem od przedłużonego sprintu, czyli 400 m, na studiach przekwalifikowałem się na dystanse średnie, a teraz startuję na ogół w biegach długodystansowych. Lekkoatletyka jest jedną z najbardziej wymiernych dyscyplin sportu, i taką ponadczasową prostotę potrafię docenić. Porównać możemy osiągnięcia mistrzów sprzed 100 lat, a postęp technologiczny dotyka biegania w mniejszym stopniu niż w innych dyscyplinach. Dodatkowo bieganie jest jedną z rzeczy, których niemal każdy kiedyś spróbował. Niewiele osób miało okazję skoczyć na nartach czy rzucić młotem. Trudno stwierdzić, ile talentów w ten sposób pozostało nieodkrytych. Biegają jednak ludzie na całym świecie, tam gdzie jest zimno i tam gdzie jest ciepło, biegają dzieci i biegają stulatkowie. Biegać można praktycznie wszędzie i o każdej porze. Stąd, pomijając zalety zdrowotne, jest to doskonały wybór dla osób, które mają mało czasu.

Jak bieganie zmienia człowieka? Czego uczy?

Sport jako taki rozwija cechy bardzo przydatne w życiu. Uczy cierpliwości, systematyczności i wytrwałości w dążeniu do celu. Buduje pewność siebie i daje psychiczną odskocznnię od problemów dnia codziennego. Bieganie natomiast dodatkowo jest dostępne dla zdecydowanej większości osób i w przeciwieństwie do wielu dyscyplin sportowych, z jednej strony nie trzeba rezygnować z ich uprawiania, gdy przybędzie nam zbyt wiele świeczek na urodzinowym torcie, a z drugiej strony, można właśnie zacząć biegać również w późnym wieku. Fenomen biegów długich przejawia się także poprzez możliwość uczestniczenia w jednych zawodach ramię w ramię amatorów i zawodowców, początkujących i utytułowanych mistrzów.

Plany, marzenia?

Marzeń jako takich nigdy nie miałem, zwykle były to jakieś cele i plany. Część z nich udało się zrealizować, a niektórych jeszcze nie. Z bardziej długofalowych planów, w obszarze zawodowym, chciałbym dojść do tytułu profesora belwederskiego, w obszarze sportowym natomiast zdobywać medale - już raczej w kategorii masters - tak długo, jak tylko zdrowie pozwoli. W życiu osobistym chciałbym być po prostu szczęśliwy, mając wsparcie i dając wsparcie dla rodziny, przyjaciół i znajomych. Za x lat chciałbym, żeby ludzie, z którymi miałem styczność, uważali mnie po prostu za dobrego człowieka, czego życzę każdemu obecnemu i przyszłemu absolwentowi *Szóstki*.

Mira Białkowska

Ktoś mi podkrada czas, bo ciągle mam go za mało

Mira Białkowska - pracowała jako pedagog i nauczyciel muzyki, uczyła gry na fortepianie, prowadziła chór i zespół wokalny, zespół fletów prostych; zajmowała się profilaktyką uzależnień. Po przejściu na emeryturę zajęła się muzykoterapią i pisaniem. Potrafi cieszyć się z małych rzeczy i, jak sama często powtarza, ma szczęście do ludzi.

Jak Pani wspomina pobyt w *Szóstce*?

Chciałabym powiedzieć: „bardzo dobrze”, ale nie mogę, niestety.

W szkole podstawowej byłam bardzo dobrą uczennicą, jedną z najlepszych matematyczek. W liceum już na początku pogubiłam się, straciłam przysłowiowy grunt pod nogami. Koszmarnie bałam się lekcji matematyki. Miałam wiele kompleksów.

Dwa lata trwało odzyskiwanie utraconej pewności siebie, ale zamiłowania matematyczne utraciłam na zawsze.

Dziś wiem, że jest to bardzo trudny czas i dla uczniów, i dla nauczycieli. Dobrze, jeśli nauczyciel zdaje sobie z tego sprawę. Uczniom warto uświadamiać, że trudności w liceum to nie koniec świata. Na studiach bywa lepiej. Znam mnóstwo takich przypad-

ków i sama jestem tego najlepszym przykładem. „Szara mysz”, trójkowa uczennica z poprawką z matematyki (!) na maturze, a średnia ze studiów 4,75 (szóstek jeszcze nie było) i dyplom magisterski na 5.



Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwily Pani w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pani czasów?

Mieliśmy basen w szkole. To była cudowna sprawa. Małeńki, ale nauczyłam się pływać. Pamiętam wycieczki szkolne, biwaki i jedną „wycieczkę” do *Jedynki*. 1 kwietnia, gdy byłam w ósmej klasie (nasz rocznik jako ostatni podstawówkę kończył na siódmej, a liceum rozpoczął od ósmej) nasza klasa zamieniła się z klasą jedenastą, tzn. my poszliśmy na ich lekcję, a oni na naszą. Ale uwaga! Klasa jedenasta była z *Jedynki* - zamieniliśmy się nie tylko klasami, ale i szkołami. Podczas przerwy lekcyjnej przenieśliśmy się na ul. Piastów. Bezpośrednio przed tą zmianą miałyśmy WF. Profesor Gajowa częściowo wtajemniczona, ale tylko tyle, że coś kombinujemy, wypuściła nas wcześniej z lekcji. W *Jedynce* zasiedliśmy w ławkach zamiast klasy jedenastej. Profesor, który przyszedł na lekcję, od razu zorientował się, że ma przed sobą za młodych, jak na jedenastą klasę, uczniów. Gdy się wydało, że jesteśmy z *Szóstki*, nie mógł uwierzyć. Dobrze, że zawału nie dostał.

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pani i dlaczego?

Z liceum zaprzyjaźniłam się z Joanną z mojej klasy i przyjaźń trwa do dziś, chociaż dzieli nas duża odległość (ona mieszka w Kilu).

Bardzo dobrze wspominam polonistkę (prof. Biegańską), fizyka (prof. Słwko), nauczycielkę WF - prof. Gaj. Jestem biologiem z zamiłowania dzięki nauczycielce biologii (prof. Jadach). No i pamiętam koszmar tamtych czasów, czyli lekcje matematyki.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pani jest?

Z pewnością. NIE jestem matematykiem, a mogłam być ;).

A tak serio? Od szkoły podstawowej poddawana byłam edukacji muzycznej i zdobyłam wykształcenie muzyczne. Czy liceum miało na to jakiś wpływ? Nie sądzę. Skończyłam też pedagogikę.

Dzięki polonistce pozbyłam się kłopotów z ortografią i nauczyłam pisać. Po przejściu na emeryturę zajęłam się pisaniem. Jestem pewna, że ma w tym swój udział moja polonistka z LO. Miałam też taki dziwny, kilkuletni incydent w swoim życiu – uczyłam biologii (bez odpowiedniego wykształcenia). Zamiłowanie do biologii i dość dużą wiedzę z tego przedmiotu zdobyłam w liceum. **Dlaczego zajęła się Pani pisanie? Jak do tego doszło?**

Pracowałam jako pedagog i dodatkowo uczyłam muzyki. Prowadziłam zespoły muzyczne, przygotowywałam uczniów na przeglądy i festiwale. Piosenki powtarzały się, pisałam więc własne teksty. Pewnej czwartej soboty, przechodząc obok trawnika, zwróciłam uwagę na biały, niepozorny rumianek. Tylko jego żółty środek zaczął jaskrawym żółtym środkiem. Po powrocie do domu napisałam:

*Rumianek
Biały, skromny w gęstej trawie,
ale jego żółte oczko
patrzy na mnie ciekawie.*

Do końca weekendu napisałam 22 fraszki. Do stałam jakiegoś amoku. Pisałam jedną fraszkę za drugą, aż w końcu nie byłam pewna: czy ja to wymyśliłam, czy wygrzebałam gdzieś z zakamarków pamięci. Odpowiedzią na te wątpliwości była kolejna fraszka:

*„Mistrzu Sztaudyngerze!”
Tak zawładnąłeś mą duszą całą,
że już nie wiem:
czy to są moje myśli, czy twoje?
Wszystko mi się pomieszało.*

Po trzech miesiącach miałam 168 fraszek (pisałam też wiersze). Wtedy „próbkę” wysłałam do *Angory*. Nieostrożnie pochwaliłam się, że przez 3 m-ce napisałam prawie 170 fraszek i zostałam bardzo skrytykowana za... ilość. Innych zarzutów nie było. Mimo że (chyba) właściwie odczytałam tę krytykę („ja również piszę fraszki”- napisała osoba oceniająca moje (u)tworki), podcięto mi skrzydła na bardzo długo – przestałam pisać. Od tamtej pory fraszki piszę spora-

dycznie (mam ich ponad 300). Kiedyś koleżanka zachęciła mnie, bym wzięła udział w Konkursie Jednego Wiersza, na którym za fraszki dostałam jedną z nagród.

Korciło mnie, by poszukać wydawcy, ale miałam złe doświadczenia – dwukrotnie ktoś przywłaszczył sobie moje utwory i musiałam dochodzić swoich praw. Wysłałam też (kiedyś... gdzieś...) świetne hasła z zakresu profilaktyki uzależnień, nie otrzymałam żadnej odpowiedzi i nie mam pewności, czy nie „fruwają” gdzieś one bez mojej wiedzy. Powieść trudniej „podebrać”, ale fraszki? I wtedy pomógł mi przypadek. Natknęłam się na informację o konkursie na powieść współczesną. Termin nadsyłania prac upływał za trzy miesiące, ale zdążyłam. Napisałam, w treść powtórkałam swoje fraszki i wysłałam. W ten sposób część moich fraszek ujawniłam, a na tym mi zależało. Na konkurs napłynęło 1500 (tysiąc pięćset!) prac. Moja powieść nie została zauważona i wcale się nie dziwię. Dziś wiem, że to był zaledwie szkic powieści, do którego później wróciłam – dopracowałam, rozwinęłam, ale i tak ukończone dzieło przeleżało w przysłowiowej szufladzie wiele lat. W sierpniu 2016 roku w Wydawnictwie Literackim *Białe Pióro* wydałam fraszki (*Fraszkowa Ucztą*), a w listopadzie 2017 r. dzięki dwóm motywującym kopniakom wydałam tę powieść pt. *Wcale mi nie zależy*. Decyzją czytelników powieść zdobyła tytuł *Najlepszej Książki 2018 roku* (literatura obyczajowa, granice.pl). W maju 2018 ukazała się druga część powieści *O co ci chodzi?*, a jesienią część trzecia *Nareszcie z góry*. W przeciągu trzech lat ukazały się też trzy książeczki dla dzieci. Dwie z fraszkami (o instrumentach i kwiatkach) i *Bajeczki babci Mireczki*. Łącznie, w ciągu trzech lat wydałam 7 pozycji.

Jak pisze się książki dla dzieci, a jak dla dorosłych? Które dają Pani więcej radości, satysfakcji?

Prowadząc zajęcia z dziećmi, należy używać zrozumiałego dla nich słownictwa i tak samo jest z pisaniem. Niedawno moja wnuczka po powrocie z przedszkola opowiedziała mi bajkę o smoku wawelskim:

- A taki chłopak dał smokowi barana, który miał w brzuchu KOSIARKE.

Współczesny pięciolatek nie wie, kto to szewczyk i co to jest siarka. Pani w przedszkolu ewidentnie nie popisała się.

Pisząc dla dorosłych, takiego problemu nie ma, ale są inne.

Które książki dają więcej radości? Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć jednoznacznie. Każda radość jest inna. Opinie od dorosłych czytelników

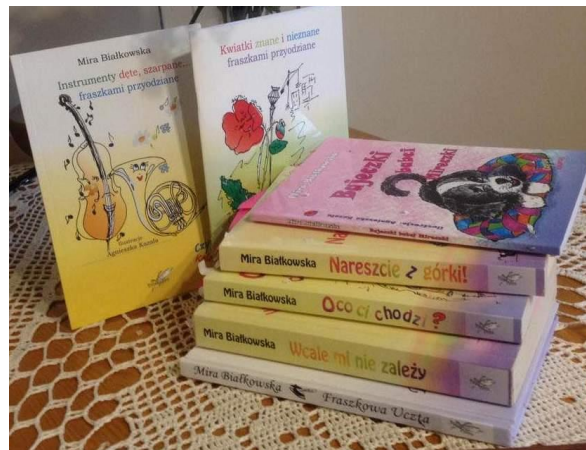
docierają do mnie szybciej i tak... bezpośrednio, podczas spotkań autorskich, w mailach, w komentarzach na fb.

O tym, że książeczki podobają się dzieciom dowiaduję od ich rodziców, po pewnym czasie.

Ogromną radość dają mi spotkania i z dziećmi, i z dorosłymi. Odwiedzam przedszkola, szkoły, biblioteki – prowadzę warsztaty muzyczne i spotkania z bajką. Ostatnio jeden chłopiec pomylił mnie z Marią Skłodowską ☺ ☺. Słyszając w TV o Skłodowskiej, powiedział mamie, że była u nich w szkole i opowiadała o bajkach.

Co Pani sądzi o czytelnictwie w dzisiejszych czasach? Czy rzeczywiście jest tak źle?

Od czasu kiedy zaczęłam wydawać, jest wokół mnie mnóstwo czytających. Znam też osoby, które nie czytają, ale to tylko garstka. Trudno mi więc uwierzyć, że jest źle, ale ja nie mogę tego obiektywnie ocenić.



Jak powstaje książka? Skąd czerpie Pani pomysły? Jak wygląda praca nad tekstem?

Hm. Jak powstaje książka? Gdy jest pomysł, to się pisze, a pomysły czerpię z życia. Pomaga mi w tym wyobraźnia i poczucie humoru. Tylko kilka scen tych najśmieszniejszych opisanych w powieściach jest wymyślona. Pozostałe są autentyczne. Przydarzyły się moim znajomym albo ktoś mi je opowiedział. Fabuła jest fikcją, w którą wplotłam jakieś zdarzenia z życia. Przed pisaniem niewiele planuję. Wiem, jaki będzie początek i jaki koniec. Reszta powstaje w trakcie. Bywa, że siadam i nie wiem, jak daną scenę opisać, ale gdy zacznę... ku mojemu zaskoczeniu samo się pisze. Niekiedy pomysł przychodzi po czasie, wtedy wracam i dopisuję wcześniejszą scenę. Niekiedy muszę uzupełnić swoją wiedzę, więc kontaktuję się z fachowcami, poznaję specyficzny język, itp. Ostatnio, na potrzeby najnowszej powieści, zgłębiałam wiedzę z zakresu neurologii.

Napisany tekst poprawiam wielokrotnie, by było poprawnie, by nie było powtórzeń, by było śmiesz-

nie i wysyłam do wydawnictwa. Tekst poddawany jest dwukrotnej korekcie i wraca do mnie. Muszę ustosunkować się do zaproponowanych poprawek – wyjaśnić to, co jest niejasne dla czytającego, zlikwidować powtórzenia, literówki, itp. Mimo że wszystko jest sprawdzane sto razy i tak się zdarza, że w tekście zostaje „poszła zapiać” zamiast „zapisać”, itp.

Czy lubiła pani lektury szkolne? Jeśli tak, to które i dlaczego? Pani fascynacje czytelnicze?

Lektury szkolne znam, ale ich nie lubiłam. Czytałam dość dużo, ale to była poezja: Sztaudynger, Gałczyński, Żalucki (Marian), Jasnorzewska..., a z prozy: Krystyna Siesicka, Maria Pruszkowska, Eugeniusz Paukšta (po lekturze *Ich trzech i dziewczyna* zafascynowałam się Gałczyńskim)... i in. współcześni mi pisarze.

Obecnie czytam prawie wyłącznie książki polskich współczesnych pisarek (koleżanek po piórze),

a i tak nie starcza mi czasu na przeczytanie tego, co bym chciała. Cenię piękne teksty Phila Bosmansa, Thomasa Romanusa i im podobnych.

Plany, marzenia?

Ktoś mądrze powiedział, że „marzenia to są plany bez terminu realizacji”. Ja się z tym zgadzam, więc dla mnie to jakby to samo. Najważniejsze, największe marzenia zrealizowałam. Teraz czekam na miłe niespodzianki od losu. Na listopad planowana jest premiera drugiego tomiku z fraszkami, piszę następną powieść, umówiona jestem na kolejne spotkania autorskie. Nadal dużo podróżuję, śpiewam w chórze, robię wiele innych ciekawych rzeczy. Święty spokój, pomimo emeryckiego wieku, wciąż nie dla mnie. Żartuję sobie, że ktoś mi podkrada czas, bo ciągle mam go za mało.

Grzegorz Błażejczyk

Poranny jogging pod górkę i „Ciekawa biologia”

Grzegorz Błażejczyk - absolwent biologii w SGGW w Warszawie oraz biologii ze specjalizacją z zakresu biologii komórki i organizmu na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; obecnie pracuje jako nauczyciel biologii w IX Liceum Ogólnokształcącym w Szczecinie.



Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Każdy dzień zaczynał się od porannego joggingu pod górkę na ul. Jagiellońskiej, który umożliwiał błyskawiczną i całkiem skuteczną pobudkę przed porannymi zajęciami. Dzięki temu można było od rana znów siadać z otwartym umysłem do podręczników biologii i chemii. Z całą pewnością był to czas umożliwiający zawarcie wielu znajomości i przyjaźni, z których wiele trwa do dziś. Z drugiej strony także czas wytrwałej i sumiennej pracy. Jestem absolwentem klasy o profilu medycznym, co wymagało zdobycia i dobrego ugruntowania solidnej porcji wiedzy z przedmiotów przyrodniczych.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Odśpiewanie *Marsylianki* na lekcji historii u prof. Tarnowskiego było paszportem do klasy maturalnej. Na pewno do ciekawych i bardzo wesołych zajęć należały lekcje języka angielskiego u prof. Czerniaka. Bywało też zabawnie! Pamiętam lekcję u prof. Roman, na której prezentowaliśmy wy-

konane przez siebie filmy z własną interpretacją ballad Adama Mickiewicza. Śmiechu było co niemiara i do dziś wracamy do nich z sentymentem.

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Oczywiście nauczycieli przedmiotów wiodących, prof. Kurpios, która była zresztą moją wychowawczynią oraz prof. Ulchurską-Jackowską. Zawsze jak przychodziliśmy z jakimś problemem, nauczyciele starali się pomóc indywidualnie i nie byli wobec nas obojętni. To właśnie na biologii i chemii nauczyłem się dostrzegania zależności przyczynowo-skutkowych w nauce. Natomiast z fizyki u prof. Miki, z której co prawda nie zdawałem matury, nie zapomnę niesamowitych pokazów, dzięki którym fizyka okazywała się być bardzo logiczna i dla każdego zrozumiała. Z sentymentem wspominam również Panią szatniarkę i Pana Bartka, naszego woźnego, z którymi zawsze przed lekcjami można było zamienić kilka miłych słów.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Tak naprawdę dopiero w liceum nauczyłem się w pełni samodzielnie pracować i skutecznie się uczyć. Lekcje na godzinę 7.20 nauczyły pilności i systematyczności. Nieobecność nie wchodziła w grę, ponieważ często były to przedmioty i fakultety maturalne. To właśnie dzięki *Szóście* zdobyłem cenne umiejętności, które nadal przydają się w mojej codziennej pracy zawodowej. Przyznaję także otwarcie, że wszyscy nauczyciele odegrali ważną rolę w kształtowaniu moich umiejętności, wiedzy i charakteru.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Specyfiką pracy w szkole zdecydowanie jest to, że musi opierać się na pasji. Tak też było w moim przypadku. Biologia jest moją pasją od wczesnego dzieciństwa, stąd mój wybór klasy medycznej w VI LO, a następnie studiów w zakresie biologii. Właściwie determinację do tego, żeby zostać nauczycielem miałem już od początku nauki w liceum. Co prawda zdarzały się epizody myśli o kierunkach medycznych, tj. lekarski lub weterynaria, bo chyba każdy na profilach biologiczno-chemicznych przez to przechodzi (śmiech), natomiast wiązałoby się to z wykluczeniem m.in. botaniki albo zoologii, które przecież też są fascynującymi dyscyplinami nauki.

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Dlaczego został Pan nauczycielem? To nie jest dziś popularny zawód.

To prawda, zawód nie cieszy się popularnością, ale za to jest całkowicie pozbawiony rutyny. Dzięki moim uczniom każdego dnia staję przed nowymi

wyzwaniami. Co najważniejsze, jest to zawód mający olbrzymi wpływ na rozwój i kształtowanie osobowości, a to w połączeniu z możliwością przekazania własnego doświadczenia daje mnóstwo satysfakcji. W pracy staram się też pokazywać, że osiągnięcie dobrych wyników w nauce jest w zasięgu każdego ucznia. Ważne, aby być systematycznym w zdobywaniu i utrwalaniu wiedzy oraz posiadać w sobie choć odrobinę uporu w dążeniu do celu.

Jak ocenia Pan współcześnie pracę z młodzieżą?

Mam to szczęście, że w pracy zawodowej mam do czynienia z uczniami zdolnymi i ambitnymi, dla których biologia jest ważnym przedmiotem kierunkowym. Natomiast specyfika pracy z całą pewnością jest inna niż wtedy, gdy sam byłem po drugiej stronie tablicy. Przede wszystkim za sprawą nowoczesnych technologii, które mają obecnie niesłychanie szerokie zastosowanie, także w nauce. Współczesna młodzież zupełnie inaczej podchodzi do zdobywania wiedzy. Nauczyciel to zawód, w którym trzeba być bardzo elastycznym.

Jak zaczęła się Pana przygoda z biologią? Jak według Pana należy jej uczyć?

To dziadek jako pierwszy zabrał mnie w podróż do świata biologii... Dzięki Niemu od najmłodszych lat miałem okazję dokonywać obserwacji obiektów przyrodniczych. Później na mojej drodze pojawiły się niesamowite nauczycielki, na początku przyrody - p. Barbara Krukowska, potem biologii - p. Jadwiga Graczyk, a następnie, już w VI LO, p. Bożena Ulchurska-Jackowska, które bez wątpienia rozwinęły moje biologiczne zainteresowania. Teraz mam to szczęście, że sam staram się inspirować uczniów i pokazywać, że biologia może być fascynującą przygodą.

Biologia jest nauką empiryczną, co sprawia, że kluczowe są metody oparte na doświadczeniu i obserwacji. Proces nauczania musi być sprzężony z procesem uczenia się, a uczenie się musi zostać odpowiednio zorganizowane. W przeciwnym razie każda metoda może stać się nudna. Efektywne uczenie wymaga zastosowania różnorodnych metod. Ja w swojej pracy korzystam z różnorodnych środków multimedialnych, które zamieszczam na autorskiej stronie <http://ciekawabiologia.cba.pl/>.

Dlaczego, po studiach w Warszawie, wrócił Pan do Szczecina i tu rozwija swoje pasje? Czy warto zostać w tym mieście?

Studia biologiczne w Warszawie rozwinęły we mnie bardzo praktyczne i niezwykle szerokie spojrzenie na nauki biologiczne. Poznałem wiele nowoczesnych technologii i metod pracy naukowej. Sam też miałem okazję pracować w Muzeum i Instytucie Zoo-

logii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, gdzie zajmowałem się preparowaniem nicieni wolno żyjących. Później przyszedł czas na Poznań, gdzie miałem możliwość szlifowania warsztatu dydaktycznego pod okiem najlepszych dydaktyków biologii. Sentyment, rozwijający się potencjał miasta i zmieniający się rynek pracy zdecydował o moim powrocie do Szczecina.

Jest to miasto, które rozwija się niezwykle dynamicznie, co też doskonale miałem okazję zaobserwować, będąc poza nim. Zdecydowanie warto tutaj zostać i realizować swoje pasje!

Plany, marzenia?

Nadal odkrywać piękno świata...

Aleksander Deboa

Sukces prawnika to sukces klienta

Aleksander Deboa - absolwent VI LO, następnie Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego oraz London Institute of English and Technology w Londynie; specjalizuje się w gospodarczych postępowaniach sądowych, prawie kontraktowym i prawie podatkowym.



Jak Pan wspomina pobyt w *Szóstce*?

Pobyt w VI LO to dla mnie miłe wspomnienia. Przede wszystkim swobodna i tolerancyjna atmosfera, pozwalająca na odnalezienie się i współegzystowanie kilku młodzieżowych subkultur. Niektóre osoby z kadry nauczycielskiej pozostają w pamięci do dziś.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Ciekawym zdarzeniem było pozwolenie na pomalowanie klasy, w której mieliśmy zajęcia z języka angielskiego, barwnym graffiti z napisem „Shut up !” ☺ Innym ciekawym dla mnie wydarzeniem było prowadzenie klubu muzycznego, w którym puszczałyśmy muzykę podczas przerw między lekcjami oraz organizowaliśmy szkolne imprezy (tzw. „dyskoteki” – tylko z nazwy – ponieważ bardzo często

puszczaliśmy muzykę typu hip – hop, grunge i punk – rock).

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Jeżeli chodzi o uczniów, to nie tylko wspominał, ale do dziś utrzymujemy kontakty z wieloma osobami z mojej i równoległej klasy. Natomiast nauczyciele, którzy zapadli w pamięć to prof. Dariusz Okoń, którego historycznym konikiem były wydarzenia z II wojny światowej, prof. Marian Grzesiuk, który uporządkował zarówno reguły gramatyczne, jak i nakierował na właściwe interpretacje utworów literackich oraz hamował zbyt śmiałe młodzieńcze zapędy do tworzenia własnych ☺. Dużą rolę w edukacji naszej klasy odegrała prof. Węglarek; dzięki poszerzonej nauce języka angielskiego nie mieliśmy problemów ze zdaniem matury z tego przedmiotu. Wielu z nas, łącznie ze mną, wykorzystuje tę wiedzę w praktyce do dziś.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Nauka w tej szkole z pewnością pozwoliła wybrać właściwy, humanistyczny kierunek studiów, czyli prawo.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Miałem okazję obserwować wykonywanie zawodu radcy prawnego przez mojego ojca. Po zakończeniu nauki w *Szóstce* stwierdziłem, że chciałbym iść w Jego ślady.

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Dlaczego radca prawny, a nie np. adwokat?

Kontakt z ludźmi, brak rutyny, zróżnicowanie problematyki, brak odtwórczości, konieczność indywidualnego podejścia do każdej sprawy, śledzenia zmian w prawie i wpływ tych zmian na potrzebę ciągłego poszerzania swojej wiedzy. Do wyboru zawodu radcy prawnego skłonił mnie fakt, iż w czasie kiedy podejmowałem tę decyzję, radcy nie mogli być obrońcami w sprawach karnych. Będąc osobą, która lepiej się czuje w prawie cywilnym i handlowym, miałem dość prosty wybór między aplikacjami prawniczymi.

Jakie cechy, predyspozycje są potrzebne w pracy radcy prawnego?

Umiejętność logicznego i kreatywnego myślenia, czytania ze zrozumieniem, odporność na stres i opanowanie w stresujących i konfliktowych sytuacjach. Uporządkowanie jest dość przydatną cechą, nad którą muszę cały czas pracować 😊📖

Jak wygląda przykładowy dzień pracy radcy?

Kalendarz jest bardzo zmienny. W naszej kancelarii zdarza się spędzać dni na formułowaniu umów i pism procesowych w biurze lub spotkaniach z klientami, natomiast inne dni na rozprawach lub wyjazdach do kontrahentów będących w stałej obsłudze prawnej. Godziny pracy są ruchome, nie ma typowo ośmiodzinnego dnia pracy, często wymagana jest tzw. praca po godzinach lub nawet na urlopie. Każdy z członków naszego zespołu ma przypisane inne zadania i obowiązki. Trudno więc wskazać typowy dzień radcy prawnego. Łączy je natomiast duża ilość wspólnie wypitej kawy lub Yerba Mate 😊📖

Co chciałby Pan powiedzieć młodym ludziom, którzy zamierzają zdawać na prawo? Droga do zawodu jest daleka i dość żmudna, praca zabiera sporo czasu i jest z nami często również „po godzinach” i na urloпах, jednak daje sporą satysfakcję, kiedy obrona taktyka procesowa lub negocjacyjna jest zwieńczona sukcesem. Sukces prawnika to sukces również naszego klienta – a więc podwójny – a to napędza do działania.

Jak ma się powszechna opinia o zawodzie prawnika do rzeczywistości?

Powszechna opinia nie zakłada takiej ilości czasu i nauki, jaka jest rzeczywistość w kancelarii poświęcana przy wykonywaniu zawodu. Często jest to nieuwzględniane i w powszechnej opinii wizerunek prawnika to osoba, która sypie „paragrafami jak z rękawa”. Do tego trzeba jednak wcześniejszej analizy sprawy i weryfikacji bieżącego, często ulegającego zmianie, stanu prawnego – najlepiej w kilkoosobowym, zgranym zespole prawników.

Plany, marzenia?

Oprócz planu ciągłego rozwoju zawodowego, marzeniami często uciekam w kierunku swojej pasji, którą jest kitesurfing. Związane z tym są plany odwiedzenia miejsc na świecie, gdzie są sprzyjające prognozy wiatrowe i dobre fale. Nie samą pracą przecież człowiek żyje 😊.



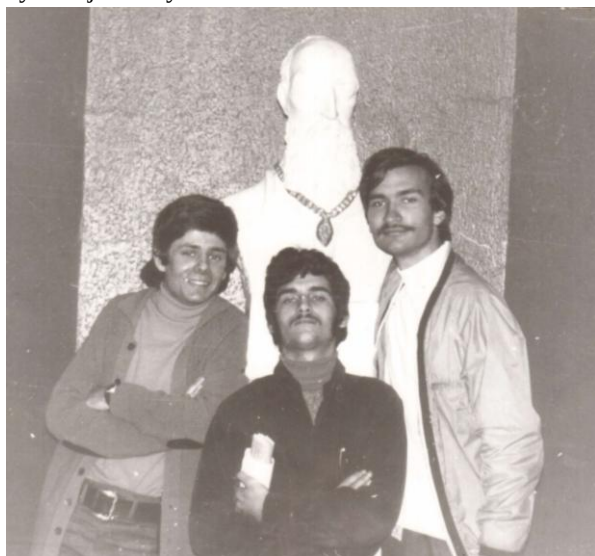
Jacek Dubiński

Zawsze trzeba walczyć o prawa pracowników

Jacek Dubiński - starszy mechanik okrętowy (Polska Żegluga Morska oraz kontrakty u obcych armatorów; głównie tankowce); członek Zespołu Międzynarodowego Centralnej Rady Dialogu Społecznego, członek Zespołu Trójstronnego ds. Żeglugi i Rybołówstwa, przewodniczący Zachodniopomorskiej Rady OPZZ; lubi słuchać *The Beatles*, *Blackmore's Night*, *Lacrimosa*; miłośnik powieści Rybakowa.

Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Mam dobre wspomnienia, w sporej części dotyczące pełnego luzu osobistego oraz dobrze przekazywanej wiedzy.



Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

MUZYKA NA PRZERWACH !!!

Takich zdarzeń było kilka:

Spotkanie Dyrekcji szkoły z uczniami na korytarzach *Szóstki*. Dyrektor - Pan Ciesiul - zadał retoryczne pytanie: „Czy ktoś ma do Was pretensje o długie włosy?” Nikt się nie zgłosił - pełny luz i pełna demokracja.

Matura – to było zaskoczenie dla moich profesorów. Zdając na Wydział Budowy Maszyn i Okrętów Politechniki Szczecińskiej na egzaminie maturalnym zdawałem (w miejsce fizyki) Wiedzę o Polsce i Świecie Współczesnym. Notabene moja praca pisemna z tego przedmiotu była dłuższa od maturalnego wypracowania z języka polskiego. A propos matury z języka polskiego, na pytanie jak bym streścił – w jednym zdaniu - *Świętoszka* Moliera, wypaliłem: „wsio wasmożno tolko ostorożno”.

Trzecie zdarzenie miało miejsce przy próbie wejścia do budynku V LO. W czwartej klasie

uczniów, którzy nadobowiązkowo uczęszczali na łacinę (byłem w tej grupie) „przekierowano” na zbiorcze zajęcia w budynku V LO. U wrót *Piątki* zatrzymał mnie woźny z pytaniem, któż to ja jestem. I że mój wygląd (włosy poniżej ramion) oraz strój nie odpowiadają wyglądowi ucznia. Skończyło się na wezwaniu kogoś z Profesorów V LO i okazaniu przeze mnie legitymacji *Szóstki*. Radzi nie radzi dopuścili mnie do chodzenia na lekcje łaciny w ich ogólniaku.

Na jednej z lekcji języka polskiego zdarzyło mi się „czytać” z głowy wypracowanie. Miałem, jak to się wtedy mówiło „farta” - nie musiałem powtarzać tekstu...

I jedno, być może, symptomatyczne dla tamtych czasów zdarzenie. Pewnego razu do klasy wszedł dość „smutny” pan i zaprosił trzech uczniów z naszej klasy do czarnej wołgi. Przewieziono nas przez całe niemal miasto, nie mówiąc, o co chodzi. Na koniec wysadzono wszystkich przed budynkiem Komendy MO. Okazało się, że dowieziono nas na przesłuchanie w sprawie nauczyciela języka angielskiego (nazwiska nie pamiętam), pytano - w moim przypadku - czy na lekcjach nie podważano systemu państwowego. Stwierdziłem, że nic takiego nie słyszałem, a lekcje dotyczyły jedynie przedmiotu.

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Jeśli chodzi o Kolegów z tamtych lat to wszyscy byli ok. Z dwoma, z którymi spędziłem cztery lata w jednej ławce na lekcjach języka polskiego, spotykam się dość często po dziś dzień. To Stanisław Gratkowski i Robert Szajowski.

Nauczyciele, to przede wszystkim Dyrektor - prof. Ciesiul, matematyk - prof. Pacewicz, wuefista - prof. Taczek, geograf - prof. Skolimowska, łacinnik - prof. Konopka, nauczyciel PO - prof. Małkiewicz.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Zapewne, gdyż uczulił mnie na wartość swobody i demokracji (tej wielkiej i tej małej). I najistotniejsza sprawa, szkoła - przy moim skromnym udziale

- podarowała mi Małżonkę - Alicję, która do tej pory nadaje sens mojej egzystencji.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Wybór nastąpił w dość prozaiczny sposób. Tata przeszedł na emeryturę i wyjazd „na historię” do Krakowa byłby nieco zbyt drogi. Poszedłem zatem po linii najmniejszego oporu i ruszyłem w ślady Taty, tyle że nie na uczelnię morską, lecz na politechnikę. Po jej ukończeniu odbyłem roczną służbę wojskową w ramach SOR, otrzymując stopień podporucznika specjalizacji wojsk pancernych. Potem były próby pracy na lądzie: Federacja SZMP, Wyższa Szkoła Morska i w końcu wylądowałem jak młodszy motorzysta PŻM - by w roku 1991 zdobyć „cztery paski” - starszego mechanika okrętowego. Moje „papiery” zawodowe, odnawia się je co pięć lat, są ciągle ważne.

Co fascynuje Pana w swojej pracy?

100 % odpowiedzialność za powierzoną sobie załogę oraz samego siebie. Feudalny system zarządzania funkcjonujący po dziś dzień na statkach - decyzje jednoosobowe i jednoosobowa odpowiedzialność. Pacyfik - wielki błękit bez jakiegokolwiek drugiej jednostki w zasięgu wzroku. Poszanowanie dla każdego, niezależnie od narodowości, koloru skóry, wyznania, itp., marynarza, z którym przyjdzie nam współpracować.

Jakie wspomnienia zachował Pan z licznych podróży?

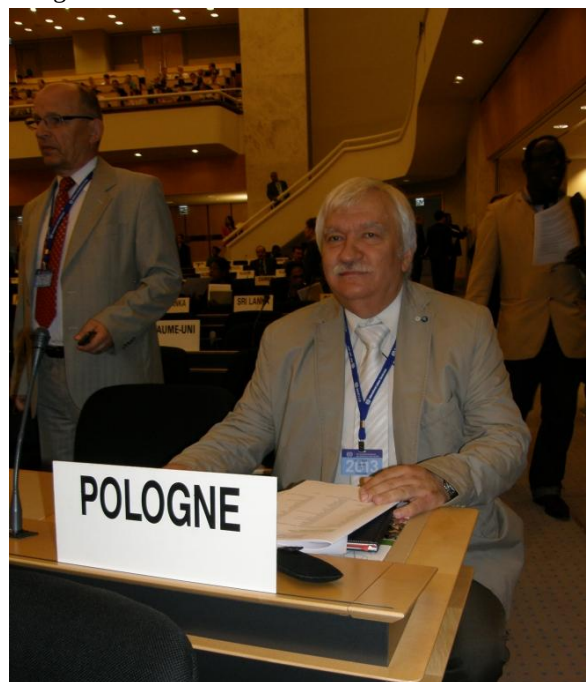
Największe wrażenie wywarł na mnie Akropol, tam rzeczywiście czuć ducha antyku i czas. Fascynujące też były podróże do krajów odmiennych kulturowo. Przekonałem się na przykład, że powszechna opinia o islamie jest przesadzona, widywałem na ulicach Teheranu zarówno kobiety w czadorach, jak i w mini – i nie było żadnych problemów. Mogłem też zaczynać raporty od słów „w imię Boga”, a nie Allaha. Zabawnie natomiast bywało w restauracjach, gdzie menu zapisywano tylko w danym języku. Patrzyło się na te „krzaczkę” i zamawiało cokolwiek, z zaskoczeniem rozszyfrowując to, co trafiło na talerz.

Skąd zainteresowanie prawami pracowników? Jak trafił Panu do MOP-u?

W latach osiemdziesiątych wstąpiłem w szeregi związku zawodowego. Następnie w latach 1983-87 zostałem wybrany członkiem Zarządu Związku Zawodowego Marynarzy. Później awansowałem na wiceprzewodniczącego i dalej na przewodniczącego tego związku (centrala OPZZ). W 2002 roku zostałem wybrany na wiceprzewodniczącego Federacji Związków Zawodowych Marynarzy i Rybaków. Po dwóch latach zostałem przewodniczącym tej Federacji. Wszystko to należało godzić z pracą zawodową (przy-

najmniej rok pływania w ciągu 5 lat - wymóg IMO - przeciętnie wypadło pół na pół). W 2016 roku objąłem społeczną funkcję przewodniczącego Zachodniopomorskiej Rady OPZZ. Tyle historii związkowej.

W 1996 pierwszy raz pojechałem na sesję MOP jako ekspert spraw morskich. Wtedy to uchwaliliśmy cztery instrumenty MOP regulujące prace na morzu. Kolejne sesje MOP: 2002 ekspert, 2013 – delegat, 2014 – zastępca delegata, 2016 – ekspert, 2017 – ekspert, 2018 – zastępca delegata, 2019 – delegat.



Jak to się stało, że został Pan wybrany jako delegat pracowników na kolejną sesję w Genewie? Jak ocenia Pan przestrzeganie praw pracowników w naszym kraju?

Delegatów strony pracowniczej wybierają centrale związkowe należące do EKZZ; naprzemiennie: Solidarność i OPZZ. Trzecia centrala związkowa – Forum – nie należy do EKZZ. Każda centrala wysyła na sesję po dwóch przedstawicieli.

Deklaratywnie, Polska stoi bardzo dobrze, jeśli chodzi o postrzeganie praw pracowniczych. Rzeczywistość stoi jednakże w jawnej sprzeczności z deklaracjami. I to niezależnie od opcji rządzącej aktualnie w naszym kraju. Jest jednak pewien postęp, nasze działania przynoszą konkretne efekty, gdyż widać, że świat pracy cywilizuje się. Rzadko zdarza się, aby armator nie przestrzegał praw pracowniczych.

Co chciałby Pan przekazać współczesnym młodym ludziom?

Ucząc się, nie lekceważmy informacji na pozór zbędnych. Nigdy nie wiadomo, kiedy one mogą stać się nam potrzebne. Z punktu zawodowego: należy

zawsze pamiętać, że nie jesteśmy w niczym gorsi od innych nacji. A często bywamy lepsi!

Związek zawodowy to nie partia polityczna, to reprezentacja naszych interesów pracowniczych. A tych interesów mamy bardzo wiele i dlatego potrzebny jest dobrze przygotowany ich reprezentant w różnego rodzaju instytucjach dialogu społecznego.



Podstawą odnowionej, mamy taką nadzieję, umowy społecznej winien być rzeczywisty - prowadzony w dobrej wierze dialog społeczny.

Plany, marzenia?

Pomyślne zakończenie Sporów Zbiorowych w Grupie Polskiej Żeglugi Morskiej. Udział w wychowaniu dwóch wnuków (mam teraz więcej czasu, więc z przyjemnością tłumaczę im otaczający świat i prowadzę poważne rozmowy o dinozaurach).

Obecna, 108 Sesja Międzynarodowej Konferencji Pracy stanowiąca niejako cezurę 100 lat tworzenia fundamentów godności pracy ludzkiej, obok niewątpliwego poczucia dumy ze stworzenia instrumentalnych filarów uczłowieczenia pracy, stawia przed nami wyzwania, wyzwania, o których czytamy w przedstawionym raporcie.

Ambitne cele, postawione w tym dokumencie, wymagają od nas, abyśmy, inwestując w potencjał ludzki i dalej zwiększając inwestycje w godną i zrównoważoną pracę, przyjęli Wszyscy!!!, MY – SIEDZĄCY NA TEJ SALI !!!, odpowiedzialność za realizację tychże celów!

/fragment wystąpienia na 108 sesji MOP/

Kacper Koryzna

Master of Science in Oral Implantology

Kacper Koryzna - stomatolog, implantolog; absolwent PAM w Szczecinie i Uniwersytetu Goethego; posiadacz prestiżowego tytułu Master Of Science in Oral Implantology. Jego praca to pasja, którą konsekwentnie realizuje, szkoląc się za granicą i wykorzystując najbardziej zaawansowane technologie na świecie.

Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Sprawdziany, prace klasowe ☺ hymn..., mimo tych nieprzyjemnych akcentów, których żaden uczeń nie lubi, bardzo miło wspominam czas nauki w Szóstce. Dzięki szkole mam wielu przyjaciół, z którymi utrzymuję kontakt do dnia dzisiejszego.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Podczas klasowej wycieczki do Międzyzdrojów założyłem się z kolegą, że podczas sztormu przejdzie po falochronie i z powrotem, nie wpadając do morza; nagrodą miała być duża porcja lodów z adwokatem. Niestety, kolega po kilku krokach wpadł do morza i tym samym przegrał zakład, a mnie na drugi

dzień bolało... gardło od lodów z adwokatem (pół żartem pół serio).

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Bardzo miło wspominam obecną Panią Dyrektora, która była moją wychowawczynią. Uczyla mnie biologii, która była dominującym przedmiotem podczas zdawania egzaminów na studia. Dzisiaj jestem lekarzem implantologiem więc jak widać Pani Ulchurska zrobiła kawał dobrej roboty, za co dziękuję.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Zarówno moja Mama, jak i ojciec pracowali w środowisku medycznym. Mój tato był stomatologiem. Pamiętam, kiedy zafascynowany pracą ojca, znalazłem w domu metalowe instrumenty dentystycz-

ne i włożyłem je do... kontaktu. Z czystej ciekawości oczywiście☺ Mnie się na szczęście nic nie stało, ale jak ojciec wrócił z pracy to była niezła awantura. A tak mówiąc poważnie, wychowując się w domu stomatologa-pasjonata, przeżyłem tę atmosferę i wybór studiów był dla mnie oczywisty, chociaż tato był pewien, że wybiorę studia stricte lekarskie i pójdę w tym kierunku. Obserwując go jednak przy pracy, czułem, że to moje powołanie.

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Czy zamieniłby ją Pan na inną?

Jestem osobą optymistycznie nastawioną do życia. Nie uśmiecham się tylko wtedy, kiedy śpię. Takie też mam podejście do swojej pracy. A co mnie w niej fascynuje... zabrzmi to makabrycznie, ale jest to krew. Moja profesja jest trochę... krwawa. Uwielbiam ten metaliczny zapach krwi. Inaczej sprawa ma się z krwią w moim prywatnym życiu. Wystarczy, że się skaleczę w palec i nawet jedna niewinna kropla powoduje u mnie strach i na jej widok robi mi się słabo.



Druga rzecz, która mnie fascynuje i „daje mi kopa” to adrenalina. Potrafię pracować pod presją, wręcz lubię skomplikowane sytuacje, które wymagają szybkiej reakcji. To mnie fascynuje w mojej pracy, ale także przypomina mi, za co kocham swój zawód, dlatego...nie... nie zamieniłbym swojej pracy na inną.

Dlaczego został Pan w Szczecinie i tu rozwija swoją karierę?

Po uzyskaniu tytułu Master of Science in Oral Implantology, który jest najwyższym w dziedzinie, jaką się zajmuję, otrzymałem dwie bardzo lukratywne propozycje z zagranicy: jedną z Hongkongu, a drugą ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale odrzuciłem je. Budowałem swoją firmę przez lata, nie jest łatwo i szybko pozyskać zaufanie pacjentów. Pienią-

dze nie są najważniejsze, tylko satysfakcja, jaką daje mi praca. Jestem lokalnym patriotą i gdziekolwiek wyjadę, czy to na konferencję, czy na szkolenia, zawsze podkreślam to, skąd pochodzę i kim jestem. Ponadto Szczecin jest pięknym, rozwijającym się miastem. Tutaj się urodziłem i czuję, że jestem w odpowiednim miejscu.

Jak to jest, kiedy otrzymuje się tak prestiżowe wyróżnienie jak Luksusowa Marka Roku? Uczucia, zobowiązania?

Dla mnie to wyróżnienie to podsumowanie tego, co do tej pory robię jako implantolog, miłe i bardzo prestiżowe podsumowanie mojej pracy, ale też zachęta do dalszego rozwoju. Luksusowa Marka Roku to jedyna nagroda tego typu oraz jedyna taka statuetka wręczana luksusowym firmom, usługom i produktom premium na całym świecie. Dla mnie osobiście była to także wyjątkowa okazja do wymiany poglądów i nawiązania nowych kontaktów biznesowych. Na liście nagrodzonych tą statuetką znajdowali się wybitni specjaliści w swoich dziedzinach, m.in. takie marki jak Ferrari, dr Irena Eris, Deutsche Bank, Hotel Marina Club, Batycki i Cisowianka, zatem znalazłem się w bardzo dobrym towarzystwie, co było ogromnym wyróżnieniem.

Jak widzi Pan przyszłość stomatologii?

Polacy, idąc za światowym trendem, coraz częściej interesują się implantologią oraz zabiegami estetycznymi, aby uzyskać piękny zdrowy uśmiech, wydając na usługi stomatologiczne niemałe pieniądze. Sam rynek stomatologiczny to jeden z najszybciej rozwijających się segmentów usług medycznych. W stomatologii można wyraźnie zauważyć rozwój nowych technologii, co oczywiście sam staram się wprowadzać do mojego gabinetu. Implantoprotetyka, która kiedyś wymagała kilku wizyt i długiego czasu oczekiwania na efekt końcowy, dzisiaj może zamknąć się w dwóch wizytach. Dzięki nowoczesnym urządzeniom i metodom leczenia pacjent, który jest kompletnie pozbawiony zębów, może wyjść z pełnym i naturalnie wyglądającym uśmiechem już po jednym zabiegu. Dotychczasowe mało komfortowe zastrzyki znieczulające zastępuje komputer. Przyszłość zmierza jeszcze dalej -w kierunku komórek macierzystych. Chińscy badacze pracują nad wyhodowaniem zęba z komórek wyodrębnionych z moczu. Podczas eksperymentów prowadzonych na szczurach udało się zaobserwować struktury anatomicznie podobne do zęba, jednak realnie – dużo od niego słabsze. Jak widać na przestrzeni lat, wypełnianie ubytków „czarnymi plombami” oraz związany z tym dyskomfort to już przeszłość. Dziś giomery, mające dodatkowe właściwości w walce z próchnicą, uwalniają fluor, utwardzane ultradźwię-

kami i pokryte dodatkową warstwą cząstek złota i srebra dają gwarancję trwałości na długie lata. Leczenie kanałowe całościowo wykonuje się dzisiaj pod mikroskopem, który zapewnia dokładność ruchów aż do 1 x 1 mm, tym samym skracając czas i bolesność zabiegu. Jeśli chodzi o metody znieczulania, tutaj stomatolodzy również idą naprzód. Mało komfortowe zastrzyki to już przeszłość. W przyszłości znieczulać nas będzie komputer. The Wand, bo o nim mowa, działa nawet 5 razy szybciej, bezbolesnie podaje nam indywidualnie dostosowaną dawkę leku, do ściśle wyznaczonego miejsca – co uwalnia nas od skutków ubocznych w postaci odrętwienia całej szczęki. W zapomnienie odejdą także klasyczne, metalowe aparaty ortodontyczne. Choć dziś cieszą się jeszcze sporym zainteresowaniem, jest wysoce prawdopodobne, że nowe modele, drukowane w technologii 3D czy odlewane np. ze stopu złota i irydu wyprą swój pierwowzór. Warto wspomnieć również o ulepszonych preparatach do pielęgnacji jamy ustnej – pasty do zębów z ziaren kakaowca czy preparaty z mały zwalczające nadwrażliwość. Badania idą naprzód, więc z czasem możemy spodziewać się coraz to nowych rozwiązań.

Co trzeba zrobić, by zająć tak wysoko?

Wytrwałość i dużo wiary w siebie. To dwie bardzo ważne cechy, które mi pomogły. Aby uzyskać ten tytuł, musiałem mieć już doświadczenie w implantologii. Ta droga nie zawsze była usłana różami, ciężko na to zapracowałem, ale robiłem to też z przyjemnością. Na studiach miałem kolegów z całego świata: od Szwajcarii, Niemiec, Danii po Izrael, Singapur czy Kostarykę. Nie wszyscy wytrwali do końca.

Po latach pracy i zbierania doświadczeń w zawodzie, co mógłby Pan przekazać innym?

Steve Jobs powiedział: „Wasz czas jest ograniczony, więc nie marnujcie go, żyjąc cudzym życiem” i „Jedynym sposobem na robienie wielkich rzeczy jest robienie czegoś, co się kocha.” Uważam, że należy korzystać z życia, czerpać z niego ile się da. Błogosławieństwem jest wykonywanie pracy, którą się lubi. Ja mam to szczęście.

Czy może Pan o sobie powiedzieć, że jest Pan szczęściarzem?

Tak jestem. Jestem zdrowy, mam zdrowe ręce, dzięki którym robię to, co kocham. Mam wokół siebie przychylnych mi ludzi, ale i los. Ponadto myślę, że mam taką umiejętność maksymalnego wykorzystywania okoliczności, a zwłaszcza szczęścia. Myślę, że to nie sukces daje szczęście, ale szczęście jest sukcesem.



Co znaczy dla Pana „odnieść sukces”?

„Odniesienie sukcesu” to nic innego, jak doczekanie się ostatecznego wypełnienia ciężkiej pracy w połączeniu z podejmowaniem ryzykownych decyzji. Sukces to jest ciężka praca, konsekwencja, długa droga, na której są także trudności. Bez wiary w siebie, że los mi sprzyja, że mam wszystko to, co jest mi potrzebne do jego osiągnięcia, przy najdrobniejszej trudności człowiek zrezygnowałby z dążenia do wcześniej wyznaczonych celów. Implantologia to dziedzina, która się ciągle rozwija i wymaga ciągłej edukacji. Pogłębianie wiedzy też pomaga w osiągnięciu wyznaczonych celów. Warto się cały czas rozwijać intelektualnie. Do tego dawka kreatywności. I to co zawsze powtarzam: jak się kocha to, co robi to połowa sukcesu za nami, reszta to ciężka praca. Odniesienie sukcesu oznacza również to, że należy być sobą i cieszyć się dosłownie każdą chwilą. Tak jak powiedział Louis Tomlinson: „Bądź sobą, bo każdy inny jest już zajęty”.

Plany, marzenia?

Chciałbym jak najdłużej cieszyć się zdrowiem, aby robić to co kocham i móc się w tym rozwijać, a cała reszta przyjdzie sama.

Piotr Kulczycki

Idea wychowania przez żeglowanie warta jest każdych pieniędzy

Piotr Kulczycki - pasjonat morza i żagli, a na co dzień właściciel świetnie prosperującej firmy informatycznej. Założyciel i współwłaściciel BlueSoft oraz właściciel firmy 3Oceans Sp. z o.o., będącej armatorem żaglowca STS *Fryderyk Chopin*. Człowiek absolutnie poświęcony edukacji morskiej; jego *Niebieska Szkoła* może być wzorem, jeśli chodzi o pracę edukacyjną.



Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Świetnie; to okres, kiedy człowiek przekonuje się o swoich zainteresowaniach i możliwościach; uczy się koleżeństwa i zawiera przyjaźnie. Sprawdza się. Nasza szkoła była dobrym do tego miejscem. Otwarta, z tzw. duchem szkoły, która ma tradycję, dobre wyniki, motywującą atmosferę. Byłem uzdolniony z przedmiotów ścisłych, brałem udział w olimpiadach matematycznych i fizycznych (w ostatniej klasie zostałem laureatem tej drugiej). Ważne były też zajęcia pozalekcyjne: pasjonowało mnie modelarstwo lotnicze, któremu oddawałem się w Pałacu Młodzieży, oraz żeglarstwo - w Harcerskiej Drużynie Wodnej przy naszej szkole. To ostatnie dało początek późniejszym moim działaniom żeglarskim, ale już wtedy własnoręcznie zbudowałem sobie swoją pierwszą łódkę żaglową.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Pamiętam wycieczki szkolne, np. nad morze. Wyjeżdżało się dwa razy w roku, przez cztery lata, co bardzo łączyło klasę. Były wykopki; można było też zapisać się do OHP-u; raz wyjechaliśmy z kolegami do pracy w lesie, dali nam drelichy, słabo naostrzone maczety i tam coś wycinaliśmy; spaliśmy w namiotach wojskowych. To było ciekawe doświadczenie. Naszymi opiekunami byli nauczyciele. Pojechał z nami wtedy młody matematyk, Andrzej Szlachetkowski (studiował w Krakowie, a po studiach odpracowywał w Szczecinie stypendium), wspinały człowiek, potrafił jednocześnie utrzymać dystans wobec nas i stworzyć więź; dla mnie - ideał nauczyciela.

Kogo jeszcze z nauczycieli, uczniów Pan wspomina i dlaczego?

Wszyscy nasi nauczyciele pozostali trwale w naszej pamięci, to chyba wynika z siły i ważności przeżyć w okresie liceum. Wymienić by się chciało więc wszystkich, zatem poza Andrzejem Szlachetkowskim, matematyki uczył nas prof. Pacewicz, chemii prof. Słowko, fizyki - prof. Tocewicz - nasza wychowawczyni, a dla mnie jedna z najważniejszych osób, nie tylko z uwagi na mój ulubiony przedmiot, polskiego prof. Awtuszewski, niemieckiego prof. Kojro. Pamiętam braci Taczek - jeden uczył WF-u, a drugi - wychowania technicznego. Na WF-ie zapalałem miłością do siatkówki - potem grałem w nią przez następne 40 lat. A na pracach ręcznych dorabiałem sobie okucia do mojej żagłówki. Jeśli ktoś chciał, to mógł znakomicie korzystać z pomocy profesorów w rozwijaniu swoich zainteresowań. Wszyscy nauczyciele zapisali się w mojej pamięci pozytywnie.

Jeśli idzie o uczniów, to tworzyliśmy świetny zespół. Było kilka osób na uboczu, ale wiedliśmy ciekawe życie towarzysko-prywatne; do tego wycieczki, które nas integrowały - szybko zżyliśmy się ze sobą i zaprzyjaźnili. Od początku I klasy mieliśmy też świetnego gospodarza - Witka Paczkowskiego (wybraliśmy go, bo nosił brodę☺ - od razu wydał nam

się szczególnie godny zaufania, i to się potwierdziło). Poza tym klasa była wyrównana pod względem poziomu wiedzy, i to dobrze na nas wpływało.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Moi rodzice są lekarzami, bardzo oddanymi swojemu zawodowi. Wydawać by się mogło, że i ja wybiorę ten zawód. Jednak ja chciałem iść na politechnikę, chciałem budować urządzenia techniczne, wydawało mi się, że tam uczyć mnie będą projektowania i rysunku technicznego, na czym bardzo mi zależało. Cóż, wiele mnie tam nauczono, tylko nie tego☹. Poszedłem na kierunek mocno teoretyczny, nazywał się Podstawowe Problemy Techniki, i były to bardzo teoretyczne studia matematyczno-fizyczne. Z czasem kierunek ten nazwano Fizyką Techniczną i Matematyką Stosowaną. Wiele rzeczy mnie wtedy interesowało, stale było mi mało, zacząłem więc studiować tokiem indywidualnym, aż wreszcie ukierunkowałem się na informatykę, która wtedy pojawiła i na Politechnice, i na Uniwersytecie. Studiowałem więc równolegle na obydwu uczelniach, ale na dyplomie ukończenia studiów mam mgr inż. Podstawowych Problemów Techniki, ze specjalnością Matematyka Stosowana.

Po studiach rozpocząłem pracę w Instytucie Maszyn Matematycznych w Warszawie. Pracowałem przy budowie oprogramowania systemowego zwane go kompilatorami, miałem ambicje i możliwości rozwoju naukowego, jednak zaczęło mi doskwierać, że pracując w Instytucie, pomimo podejmowania prac dodatkowych, nie jestem w stanie utrzymać swojej nowo założonej rodziny. W makroskali działy się wtedy rzeczy fenomenalne i budzące nadzieję: sierpień 1980, powstanie wolnych związków, itp. Jednak w skali jednostki było coraz gorzej. Poczułem się zmuszony do dramatycznej, jak to wtedy czułem, decyzji, i 1 grudnia 1981 r. zrezygnowałem z pracy w Instytucie; podjąłem pracę w rzemiośle, odkładając na bok ambicje zawodowe. Byłem pełen wątpliwości, czy słusznie zrobiłem, ale gdy kilkanaście dni później ogłoszono stan wojenny, odebrałem to jako „znak” potwierdzający, że dobrze zrobiłem, że to był najwyższy czas, aby wziąć sprawy w swoje ręce. Początkowo pracowałem w cudzej firmie, ale wkrótce uruchomiłem swoją działalność, było to tokarstwo w drewnie. Zakład rozwinął się szybko, i po kilku latach produkował w całości na eksport, do Czechosłowacji. Kiedy jednak nastąpiły przemiany ustrojowe 1989/90 roku, i państwo znane jako Czechosłowacja przestało istnieć, zakład produkcyjny upadł. Wróciłem do informatyki. W krótkim czasie, wraz z byłymi kolegami informatykami, założyłem firmę softwarową, która

zaczęła się prężnie rozwijać. Potem przyszedł czas na drugą firmę softwarową, która bardzo się rozwinęła, dochodząc do stanu zatrudnienia 700 osób!

Te wszystkie doświadczenia nauczyły mnie, że jeśli się do czegoś dąży, wytrwale pracując, ale i modyfikując swoje cele w oparciu o zebrane doświadczenie, to można być pewnym, że wyjdzie z tego coś dobrego, coś, co nawet można będzie nazwać sukcesem.

Chociaż droga często jest niełatwa, czego najlepszym przykładem jest moja działalność oparta o STS *Fryderyk Chopin*, którego kupno bardzo wpłynęło na moje życie.



Proszę opowiedzieć, jak to się stało, że ten słynny żaglowiec trafił w Pana ręce?

Na targach Wiatr i Woda w 2011 roku spotkałem kapitana K. Baranowskiego i kurtuazyjnie zapytałem, czy mógłbym jakoś pomóc - *Fryderyk Chopin* był wtedy po słynnym połamaniu obu masztów. Odpowiedź mnie zaskoczyła: „Wszystko już naprawione, ale najlepiej zbudować kolejny, nowy żaglowiec”. Kilka dni później spotkaliśmy się ponownie i rozmawialiśmy o idei szkół pod żaglami. Od zawsze pasjonowałem się żeglarstwem, ale żaglowce uważa-

łem za coś przewymiarowanego, mającego niewiele wspólnego z moimi żeglarskimi ideałami. Uważałem, że pływanie na kilkunastometrowych jachtach morskich to maksimum, które powinno oddzielać człowieka od wody☺. A tu, w ciągu jednej rozmowy, dotarło do mnie, jak bardzo się myliłem! Zrozumiałem, że żaglowiec jest perfekcyjnym środowiskiem nie tylko dla utrzymywania żeglarskiego etosu, tak bardzo zagrożonego przez komercjalizację, ale także pozwalającym młodym ludziom na poznanie swych najistotniejszych cech osobowości, a co za tym idzie dającym im prawdziwy „zadatek” na wejściu w dorosłe życie...

Dowiedziałem się jednocześnie, że służący do tego, unikalny statek, był zaaresztowany i zagrożony bezterminowym pobytem w stoczni, grożącym zagładą. To było nowe wyzwanie! Zmobilizowałem się i ... kupiłem go.

Skąd pomysł na *Niebieską Szkołę*? Jak ocenia Pan ten projekt?

Idea *szkoły pod żaglami* to pomysł rozwijany od czasów M. Żaruskiego. Jeszcze przed wojną pojawiła się idea budowania żaglowców, na których, poza załogą, pływałyby też młodzież, która w ten sposób będzie kształtować swój charakter i uczyć się. To tradycja kultywowana w wielu krajów. Pomysł świetny, ale niekoniecznie z ekonomicznego punktu widzenia. Ktoś, kto prowadzi *szkołę pod żaglami* naraża się na niedofinansowanie, żaglowiec podupada i trzeba wprowadzać rejsy komercyjne. Ale idea wychowania przez żeglowanie warta jest każdych pieniędzy.

Wracając do historii, w Polsce brakowało żaglowców. Najpierw zbudowano *STS Pogoria* i na niej zrealizowano ideę *szkoły pod żaglami*. Po dziesięciu latach powstał *STS Fryderyk Chopin*, też z przeznaczeniem dla młodzieży. Celem było kształtowanie charakteru młodego człowieka. Młodzież na statku pracuje, uczy się (nauczyciele realizują materiał szkolny), odwiedza inne kraje. Nabiera wiary w siebie, poznaje swoje możliwości i predyspozycje. Uczy się pracy w zespole, życia na morzu i żeglugi. Jednak nie to jest głównym celem. Przede wszystkim to szansa poznania samego siebie oraz sprawdzenia, jak funkcjonujemy w grupie, jak potrafimy się odnaleźć w takiej formule. Po dwumiesięcznym rejsie to „sprzężenie zwrotne”, jakie młody człowiek otrzymuje na swój temat, powoduje kolosalną zmianę w osobowości. Otrzymuje się potężną dawkę informacji o tym, kim się jest naprawdę, i to motywuje do pracy nad sobą. Można powiedzieć, że taki rejs ma dla młodego człowieka charakter konstruktywno-pozytywny.

Otrzymał Pan nagrodę im. Kapitana Leszka Wiktorowicza (budowniczego i wieloletniego ko-

mendanta *Daru Młodzieży*). Jak to na Pana wpłynęło?

To było wspaniałe przeżycie, bardzo osobiste. Ustanowienie tej nagrody było bardzo ważne; to coś, co świat żeglarski dawno powinien był zrobić, aby przyznać, jak istotne jest wychowanie morskie młodzieży.

Jest to nagroda przyznawana kapitanom, tym, którzy dokonali czegoś wielkiego i dobrego w dziedzinie budowania i kształtowania świadomości morskiej. Dla mnie to ogromny prestiż, tym bardziej, że... nie jestem kapitanem. Stąd daje mi to tak dużą satysfakcję.

Jako armator *Fryderyka Chopina* styka się Pan z młodymi ludźmi ze szkoły pod żaglami. Jak Pan ocenia współczesną młodzież?

Dream, magic... Ta młodzież jest wspaniała, ona szuka siebie; brakuje jej czasem wiary w siebie, w to, że znajdzie „to coś”, co jest najważniejsze w życiu. Wytrwałość - to cecha, którą trzeba pomóc jej kształtować. Poza tym myślę, że kiedy patrzymy na młodych ludzi i widzimy ich z nosami w smartfonach, zanurzonych w wirtualny świat, uznajemy, że są powierzchowni, a tak naprawdę to my sami ich źle oceniamy. To wartościowi, poszukujący siebie ludzie, którym trzeba czasem pomóc uwierzyć w siebie.

Co chciałby Pan przekazać młodym ludziom?

Przede wszystkim musicie pamiętać, że warto szukać siebie i starać się cenić swoje wyobrażenia o swoim życiu, tak, aby jak najszybciej przekonać się, które z nich jesteśmy w stanie, przy pomocy swoich predyspozycji, zrealizować. Nigdy nie należy tracić nadziei, że znajdziemy to coś, co będziemy robić najlepiej. Reszta przyjdzie sama...



Studia biologiczne - może warto rozważyć?

Mateusz Kurzawski - dr hab.; pracownik Katedry Farmakologii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie; specjalizuje się w badaniach z pogranicza genetyki i farmakologii – ocena wpływu różnic genetycznych na przebieg leczenia.

Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Bardzo pozytywnie, im jestem starszy, tym z większą nostalgią. To był dla mnie czas wielu nowych doświadczeń, początek najtrwalszych przyjaźni i „intensywnego dojrzewania”. Z perspektywy czasu, najbardziej barwne cztery lata życia, wydaje mi się dzisiaj, że to trwało znacznie dłużej, potem czas zaczął przyspieszać ☺

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Pamiętam, że cały czas się coś działo, jak nie na płaszczyźnie dydaktycznej czy organizacyjnej, to na towarzyskiej. Mam dużo wydarzeń w pamięci, szczególnie z czasu uczestnictwa w samorządzie, czy nadal nazywa się Radą Pięciu? To może głupie, ale najbardziej mi utkwiło uroczyste otwarcie pisuaru w toalecie dla chłopaków. To była taka trochę prześmiewcza akcja, ale powiedziałbym dzisiaj, ucząca postaw obywatelskich. Najpierw jako samorząd napisaliśmy pismo do ówczesnej dyrektorki, dr Marii Zalewskiej, która była sceptyczna wobec pomysłu. Potem zorganizowaliśmy kampanię popularyzującą temat i zebraliśmy podpisy pod petycją „do władz”. Na koniec udało się znaleźć środki finansowe (chyba z powodu nieodbycia się jakiegoś turnieju koszykówki), doprowadzić do instalacji i przecięcia wstęgi ☺

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Największym wyzwaniem na początku nauki było sprostanie lekcjom biologii z Panią Różą Mikulską, która była wówczas legendą, na temat której krążyło wiele anegdot zasłyszanych od starszych roczników. Pani Mikulska była nieco ekstrawagancka, bardzo wymagająca, ale umiała o biologii mówić ciekawie i jasno. To było bezcenne, szczególnie w czasach raczkującego internetu i sprzed smartfonów.

Z kolei najczęściej do dzisiaj wspominam Panią Katarzynę Kurpios, która była przekonana (bardziej niż my sami), że da się z nas zrobić olimpijczyków na konkursach chemicznych. Odnotowaliśmy nawet jakieś umiarkowane sukcesy, ale znacznie

barwniejszy był sam proces przygotowawczy, uczestnictwo w zajęciach koła naukowego. Pamiętam, że zajęcia odbywały się nawet w okresie urlopu macierzyńskiego Pani Profesor, u niej w domu, przy herbach i ciastkach. Z mojej klasy było nas trzech – ja zostałem biologiem, Przemek Mijał – prawnikiem, a Boguś Kubacki – lekarzem i prawnikiem w jednym. Prawdziwego chemika więc wśród nas nie ma, ale gruntowna wiedza z podstaw chemii bardzo przydała mi się w pracy laboratoryjnej.

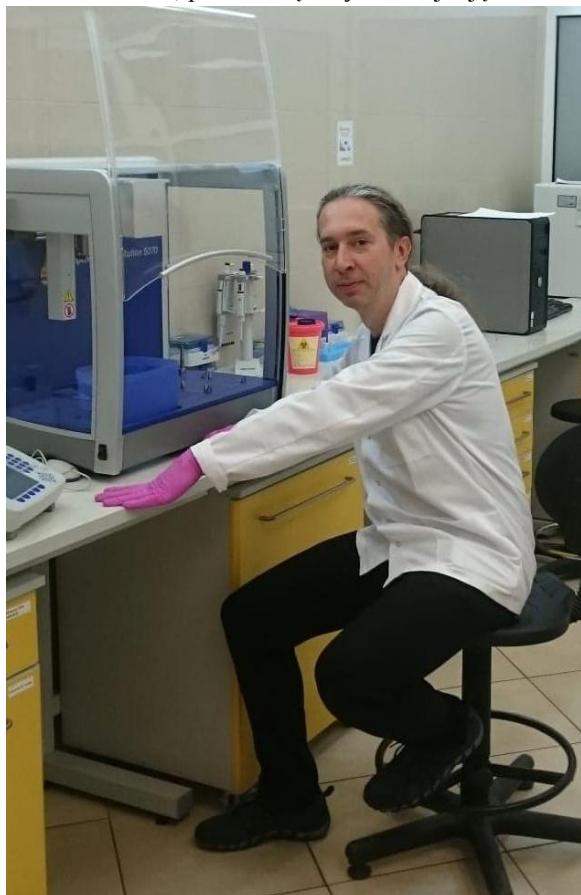
Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Na pewno tak. To były trochę inne czasy, jakieś ćwierć wieku temu, dziki kapitalizm i pierwsze rozczarowania przemianami po upadku PRL. Udało mi się trafić na ludzi, dla których sprawy materialne miały poboczne znaczenie, wręcz śmialiśmy się z osób zachwyconych podrabianymi dresami i samochodami ze szrotu, wyznacznikami sukcesu na miarę wczesnych lat 90’ (nazywaliśmy ich wtedy Mic-Macami od nazwy pierwszego „amerykańskiego” fast fooda w Szczecinie, w którym przesiadywali, zanim otwarto McDonalda). Myślę, że dzięki temu, że przeszedłem przez czas liceum w kolorowej grupie, zainteresowanej nie tylko nauką, ale też muzyką, literaturą i wspólnymi wakacjami pod namiotem, nie miałem nigdy szczególnego „parcia na sukces”, co pozwoliło mi zachować balans pomiędzy pracą a wypoczynkiem. Wiem, że przez innych to może być uznane za stratę czasu i potencjału, ale ja to sobie bardzo cenię.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Nie wydaje mi się, żebym wybierał zawód, raczej on wybrał mnie. Od małego interesował mnie otaczający świat, szczególnie przyroda ożywiona w różnych wymiarach. Jestem wychowany w tradycyjnej, ateistycznej rodzinie, więc otaczający świat zawsze budził w mnie wiele pytań bez łatwych odpowiedzi :) Z perspektywy czasu uważam, że studia biologiczne to bardzo dobry wybór do hobbystycznego spędzenia paru lat życia, dają możliwość spojrzenia na świat w pewien bardziej uporządkowany sposób. Ponieważ nigdy nie chciałem być nauczycielem, po

studiach zająłem się pracą naukową, początkowo jako doktorant w Katedrze Farmakologii PUM. Z biegiem lat okazało się, że i tak muszę prowadzić zajęcia dydaktyczne, więc ostatecznie jednak zostałem nauczycielem – no cóż, póki co się w tym odnajduję.



Co fascynuje Pana w swojej pracy? Czy zamieniłby ją Pan na inną?

Praca naukowa to współcześnie zupełnie inny proces niż za czasów Pasteura czy Watsona i Cricka. W większości przypadków to szereg żmudnych procedur laboratoryjnych, na końcu których (jeśli się nam trochę poszczęści) jest obserwacja i wniosek, stanowiący kolejną małą cegiełkę, wnoszoną do olbrzymich zasobów współczesnej wiedzy. Trzeba zazwyczaj powstrzymać się od zbyt spontanicznych działań i zachować powtarzalność warunków eksperymentu. Mało jest spektakularnych sukcesów. Ale zdarzają się ciekawe, niespodziewane wyniki badań, które niewątpliwie przynoszą najpierw pewną dawkę emocji, a potem satysfakcji. Lubię też pracę ze studentami, szczególnie zainteresowanymi przedmiotem. Mam wrażenie, że dzięki pracy z młodymi jestem cały czas w pewnym stopniu zorientowany w tym, co się dzieje w zmieniającym się świecie i społeczeństwie. Chociaż pewnie tak mi się tylko wydaje i jednak studenci mają mnie już za pewnego rodzaju relik. Nie wiem, bo nie mam ich w „znajomych na facebooku” :) Czy zmie-

niłbym pracę? W sumie praca w naukach biologicznych sama się zmienia, ewoluuje z kolejnymi stopniami i wiekiem: od pracy technicznej w laboratorium, przez planowanie badań, koordynację pracy zespołu i pisanie publikacji, do zadań administracyjnych i służenia radą i doświadczeniem młodszemu kolegom.

Dlaczego został Pan w Szczecinie i tu rozwija swoją karierę?

Szczerze? Sam się zastanawiam.

Na stronie PUM można przeczytać, że jest Pan jednym z trzech laureatów plebiscytu Polacy z werwą? Jak Pan się odniesie do tego sukcesu? Czy to zobowiązanie, motywacja?

Ten konkurs to była raczej zabawa, akcja promocyjna znanego koncernu, w środowisku naukowym raczej się tym nie chwaliłem. Dla nas ważniejsze są konkursy związane z uzyskaniem finansowania badań i punktacją czasopism, w których publikujemy ich wyniki. Chociaż przyznam, że parę stypendiów przyznanych w procedurach konkursowych ułatwiło mi w przeszłości przeżycie „chudszych” czasów i decyzję o pozostaniu w Szczecinie (Stypendium „Start” Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej i stypendium Ministra Zdrowia dla młodych naukowców). Taka informacja dla osób, które rozważają pracę na polskiej uczelni w przyszłości: teraz jest znacznie więcej możliwości dodatkowego finansowania, szczególnie dla osób „rozpoczynających karierę naukową”, więc pracowity doktorant naprawdę nie musi koniecznie gryźć tynku albo dorabiać na kasie w markecie ☺

Jak widzi Pan przyszłość swojej dziedziny wiedzy?

Większość mojej pracy naukowej dotyczyła badania związku pomiędzy zmiennością genetyczną a zróżnicowaną odpowiedzią pacjentów na różne leki. To, że u niektórych osób po podaniu leku w dawce terapeutycznej (lecniczej) dochodzi do szeregu niebezpiecznych działań niepożądanych, a u innych lek jest co prawda bezpieczny, ale nieskuteczny, to mimo znacznego postępu medycyny i farmacji, jeden z największych problemów współczesnej terapii. Oczywiście przyczyn tego zjawiska jest wiele, a czynniki genetyczne są istotne tylko w niektórych sytuacjach klinicznych. Obecnie obserwujemy silny trend w kierunku „personalizacji” medycyny. Rozszerzenie diagnostyki o dodatkowe elementy, w tym testy genetyczne, umożliwi w przyszłości bardziej precyzyjny dobór sposobu leczenia, a także dawek leku, co powinno przełożyć się na zwiększenie skuteczności i bezpieczeństwa farmakoterapii. To się zresztą już dzieje: dostępne są np. nowoczesne leki przeciwnowotworowe, niejednokrotnie bardzo skuteczne, ale tylko w niektórych przypadkach. Ich zastosowanie wymaga

przeprowadzenia diagnostyki genetycznej guza przed podjęciem decyzji o zastosowaniu leku u pacjenta. Widać wyraźnie, że wynalezienie „leku na raka” (jak to się określa w popularnej prasie i niespecjalistycznym internecie) to na pewno nie kwestia jednej uniwersalnej substancji, ale setek (tysięcy?) substancji, ściśle dopasowanych do poszczególnych pacjentów i określonych sytuacji klinicznych.

Plany, marzenia?

Zawodowo – czekam na nominację profesorską, żeby móc już nic nie robić oprócz picia kawy i pouczania innych do końca życia. Niestety, to żart. Wprowadzana obecnie tzw. reforma nauki spowodowała na uczelniach taki chaos na różnych poziomach, że przez najbliższy rok akademicki będziemy mieli pełne ręce roboty, żeby się w tym odnaleźć. Musimy

też przygotować się dydaktycznie na przyjęcie w naszej jednostce studentów kierunku farmacja – to nowość w Szczecinie (obecnie drugi nabór), ciesząca się sporym zainteresowaniem wśród absolwentów, ale i wyzwanie dla nauczycieli. W działalności naukowej – mamy zupełnie nowy sprzęt do badań epigenetycznych i związane z nim duże nadzieje na ciekawe badania dotyczące mechanizmów regulacji ekspresji różnych genów związanych z metabolizmem i dystrybucją leków. Może ktoś z obecnych uczniów zechce dołączyć do naszego zespołu w przyszłości? A z rzeczy bardziej przyziemnych, planuję urlopowy wyjazd do Wietnamu, bo chociaż źle znoszę wilgoć i upały, to fascynuje mnie przyrodniczo i kulinarnie.



Anna Lichota

Warto wiedzieć, co nam w serach gra i iść w to na 100%

Anna Lichota - wyjechała z Polski w 1996 r. Od tego czasu ukończyła prestiżowe uczelnie (m.in. London School of Economics and Political Science), pracowała na wysokich stanowiskach w kilkunastu krajach świata, angażowała się w działalność humanitarną oraz jako trzecia Polka zdobyła Koronę Ziemi. Na Mount Everest weszła w 2010 r.

Jak Pani wspomina pobyt w Szóstce?

Mam bardzo różnorodne odczucia – z jednej strony wielkie wyzwania, regularna, żmudna nauka, wkuwanie; z drugiej - koleżeńskość w klasie, świetne nastroje, nastolatkowe rebelie, superimprezy w klubie, bardzo kreatywne przezwiska nauczycieli, lekcje historii o 7:15 rano w bardzo zimnych klasach na ostatnim piętrze, zajęcia z PO - rzucanie granatami w parku, a potem zbieranie ich z trawy, balowanie do białego rana, wzajemne wsparcie, wielkie przyjaźnie, które trwają dotychczas, choć niezbyt często rozmawiamy.

Pamiętam też różnorodność charakterów nauczycieli i nasze wspólne relacje, ucieczki z lekcji, „sabotaż uczniowski”, czasem profesorską niemoc wobec nas – 35 par oczu, a czasem naszą niemoc wobec ich autorytetu.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Pani w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pani czasów?

Niesamowita mieszanka. Dużym wydarzeniem było zamienienie boiska przed szkołą w parking (z samochodami uczniowskimi też ☺). Ogromnym szokiem była zmiana systemu oraz zwolnienie nauczycieli starego systemu z dnia na dzień, pomimo że byli efektywni i lubiani. „Wejście” religii do szkoły i rozmowy, o jakich nam się nie śniło wcześniej. Bycie „przyciskanym” przez niesamowicie wymagających nauczycieli (do bólu) i nasze wygłupy – co jasno daje do zrozumienia, że ta dyscyplina była bardzo potrzebna.

Z perspektywy czasu doceniam wysoki poziom nauczania i widzę wartości, których się tam nauczyłam. Szkoła średnia była bardzo ważnym etapem kształtowania przyszłej determinacji, wiary w siebie, umiejętności szukania odpowiedzi i rozwiązań w różnych sytuacjach (nie zawsze do końca praworządnych – czasem ściągaliśmy!) Chodziliśmy na wagary, zdarzały się drobne oszustwa. Przez dwa lata byłam w Radzie V i to było bardzo ciekawe, udemokratyzowało szkołę i nas.

Jednak etos nauki był duży i my się naprawdę staraliśmy. Pamiętam, jak kolega był zagrożony

z polskiego i cała nasza klasa poszła do gabinetu dyrektorki i wybłagała dla niego trójęczynę, ponieważ obiecaliśmy, że się nim zajmimy. Słowa dotrzymaliśmy i zdał maturę, dostał się na techniczne studia. Ale wspomnienie tego spotkania do dziś powoduje gęśią skórę ☺).

Pamiętam też wyjazdy klasowe – z każdym rokiem było coraz lepiej! Spływ Dunajcem, prawdziwe góry, pielgrzymka pociągiem do Częstochowy, na którą pojechali nawet niewierzący. Tak kształtowały się nasze osobowości w burzliwych czasach zmiany nastrojów politycznych.

Co jeszcze pamiętam? ... Maturę i przygotowania do niej; jak bardzo na serio zaważyła na naszych młodych życiach; i niesamowita ciszę po rozstaniu - gdzie te wszystkie intensywne przyjaźnie? bardzo szybko zaangażowaliśmy się w studia.

Oczekiwanie na najdłuższe wakacje życia – 3 miesiące i co z tym zrobić???

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pani i dlaczego?

Prof. Malinowskiego - od łaciny - za niesamowite żarty antykomunistyczne i o charakterze damsko-męskim. Miał też zestaw żartów „po maturze”, niestety, nigdy ich nie usłyszeliśmy.

Prof. Siudzińska - usta w ciup, ręce na podółku, twarda dyscyplina - budziła strach nawet u tych, których nie uczyła. Nie można było mieć trwałej, pomadki, lakieru na paznokciach.

Prof. Libront od historii - czasem zapominał, co nam mówił i przymykał oczy na ściąganie. Pamiętam, jak kiedyś w bardzo zimny ranek siedziałam w rękawiczkach i szaliku, podszedł do mnie i powiedział: „Lichota rozbierz się no trochę” - ku uciesze wszystkich ☺

Pani Prof. od chemii - była pierwszą niezamężną mamą, którą oficjalnie znaliśmy - myślę, że to był przełom dla wielu dziewczyn, że tak też jest ok.

Pani Prof. od niemieckiego - znajdowała dla nas zawsze czas, była naszą partnerką; Prof. Świerczyńska od matematyki - niesamowita nauczycielka i wychowawczyni, która dawała z siebie wszystko,

aby nasz proces stawania się dorosłymi był efektywny.

Prof. Szufranowicz od fizyki - sława szkoły, wzbudzał postrach, ale można było podkładać „gotowce” na sprawdzianach☺

Pamiętam też paru niesamowicie przystojnych kolegów, w których kochałyśmy się wszystkie na zabój (i oczywiście odwrotnie); cotygodniowe wypadki (przez cały rok szkolny!) do *Duetu*, który już, niestety, nie istnieje; imprezy w klubie - ciekawa jestem, czy przetrwał do dziś?

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pani jest?

Jak najbardziej, a zwłaszcza zmiana systemu i otworzenie się nowych możliwości. A etos nauki, dyscyplina oraz wartości, które ze szkoły wyniosłam, przełożyły się na swego rodzaju kindersztubę i kiedy trzeba było przyłożyć się do pracy w Banku Inwestycyjnym w Londynie, nie miałam problemu z determinacją. *Szóstka* ukształtowała we mnie pewność siebie, swego rodzaju „elitarność” myślenia o sobie (co jest zaletą, choć czasami też wadą☺)

Skąd u Pani zamiłowanie do wspinaczki wysokogórskiej? Co fascynuje Panią w górach?

Fascynacja zrodziła się przypadkiem i pogłębiała z czasem. Kocham przestrzeń, zieleń, bliskość natury i możliwość zwolnienia tempa - zwłaszcza na wysokości, co jest potrzebne (przynajmniej mnie) do nabrania perspektywy wobec siebie, do stawiania pytań o to, co dalej. Ludzie gór mnie fascynują - są tak inni od mieszczuchów; zadowoleni, uśmiechnięci, doceniający małe rzeczy, pełni radości.

Jak takie hobby (styl życia) wpływa na człowieka? Czego uczy?

Dla mnie góry oznaczały niesamowitą transformację wewnętrzną; dały możliwość naprawienia stosunków z innymi ludźmi, z rodziną; umożliwiły zmianę skryptów myślowych, których nauczyłam się w Polsce, w tamtym systemie edukacji, biorąc pod uwagę naszą religię i brak dywersyfikacji w prawie wszystkich dziedzinach życia. Góry nauczyły mnie, czym tak naprawdę jest sukces, zmieniły moje nawyki żywieniowe (od schabowych do raw food i weganizmu bezglutenowego), wpłynęły na styl ubierania, ale też ukształtowały światopogląd (odejście od kościoła katolickiego, a wejście w filozofię Tybetu i buddyzmu). To one ukształtowały mój stosunek do przeszłości i przyszłości. Myślę, że bycie „człowiekiem gór” pozwala na głębokie przemyślenie sensu życia i ewentualną zmianę jego stylu.

W 2009 roku udzieliła Pani wywiadu do szkolnej gazety. Co się zmieniło od tamtego czasu?

Jakie wyzwania udało się zrealizować? Czy było warto?

Weszłam na 3 ośmiotysięczniki, zrobiłam Marathon des Sables, przejechałam na rowerze parę ekspedycji, napisałam (i wydałam w dwóch językach) książkę, zostałam Executive Director w City of London, odeszłam z korporacji i przekwalifikowałam się na Leadership coacha, znalazłam partnera - mam nadzieję, że na resztę życia☺, zostałam mamą. Ponadto wspomogłam budowę trzech szkół w Nepalu dla 450 dzieci, byłam na trzech TED-ach, rozwinęłam karierę w zakresie przemówień inspiracyjnych ...

Czy było warto? Zrobiłabym to wszystko jeszcze raz, pomimo łez, fizycznego bólu, wylanej krwi i potu, urazów tkanki miękkiej, rehabilitacji, spania na lotniskach, w zimnie i gorącu. Moje dotychczasowe doświadczenia życiowe pozwoliły mi osiągnąć niesamowity balans pomiędzy sobą, rodziną i pracą zawodową. Osiągnęłam spokój ducha, stan głębokiego zadowolenia z tego, gdzie jestem, z mojego wieku, wyglądu. Patrząc na drogę przede mną z niezwykłym spokojem i pogodą ducha.



Napisała Pani książkę. Skąd pomysł? Do kogo ją Pani kierowała?

Książka, tak jak góry, była przypadkiem. Kiedyś kolega powiedział mi, że powinnam napisać coś na podstawie zapisków z ekspedycji, bo to się nieźle czyta i po roku pracy okazało się, że mam gotowych 214 stron. Był to jeden z tych niesamowitych momentów w życiu - bo jako dyslektyczka i przysłowiowa „noga” z ortografii - bardzo wcześnie uwierzyłam, że nie umiem pisać, a wszystko co stworzyłam, było regularnie wyśmiewane (za młodu w domu i w szkole).

Później pewnie z tysiąc razy usłyszałam: „nie, nie wydamy Pani tej książki” ... i wtedy zapadła decyzja o wydaniu jej przez własną firmę, po angielsku. Następnie... bicie serca, kiedy zdecydowano się wydać polską edycję oraz poszukiwanie tłumacza, który oddałby ducha książki, a nie tylko technicznie dobrze ją przetłumaczył.

Niesamowity też był moment, kiedy już gotowa leżała na stole, a ja byłam przerażona faktem, że tak bardzo intymnie opisałam 4.5 roku mojego życia oraz związek z górami. Kolejny „fikołek” mentalny potrzebny był do tego, aby zacząć patrzeć na to, jak na produkt, który teraz się sprzedaje, inspirując innych.

Co poradziłaby Pani młodym ludziom, kończącym teraz liceum?

Wszystko jest możliwe. Największym hamulcem jest wasza wyobraźnia (lub jej brak) i nawyki myślowe, społeczne, które „mówią” wam, co macie robić, co wypada ... Warto spędzić trochę czasu na

zastanowieniu się, co tak naprawdę w duszy i sercach wam gra, a potem pójść w to na 100%.

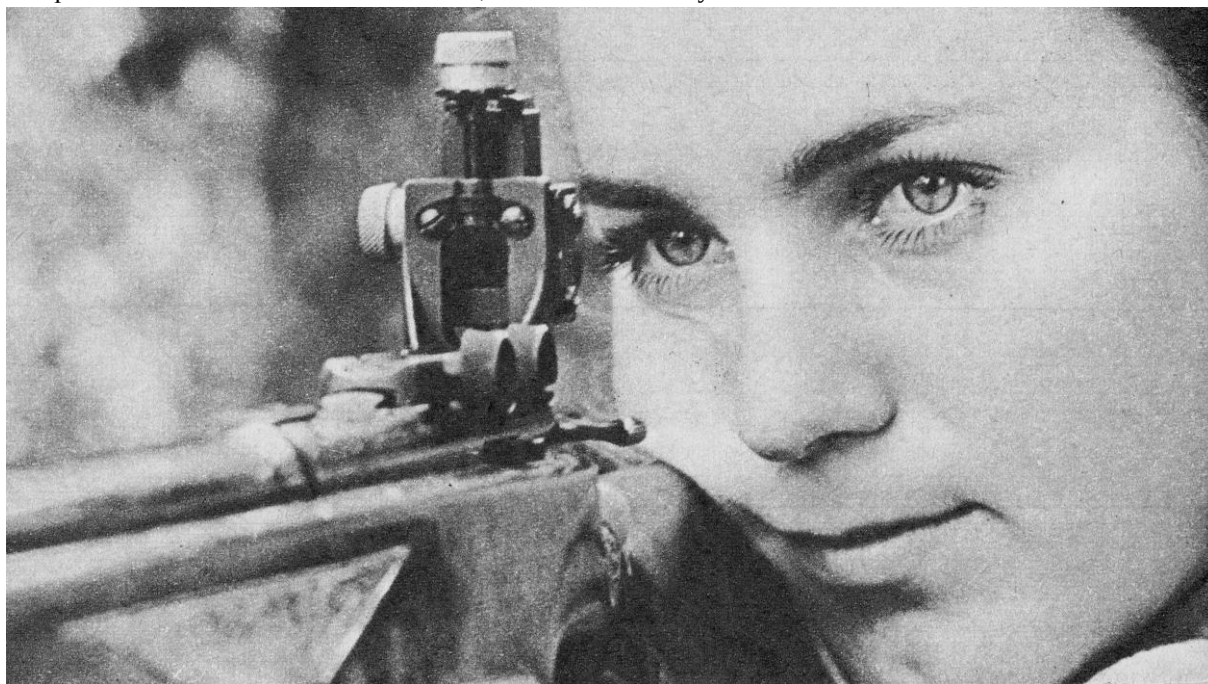
Plany, marzenia?

Pogłębianie samowiedzy, a także utrzymanie poziomu szczęśliwości w związku, w zawodzie, macierzyństwie; osiągnięcie poczucia absolutnego spełnienia. Poza tym podróże do niesamowitych miejsc, których wciąż jest jeszcze tyle do „odkrycia i zanurzenia się w nie”. Może druga książka...☺

Anna Małkiewicz

Warto mieć pasję!

Anna Małkiewicz - absolwentka 1965 r.; szczecińska sportsmenka, zasłynęła jako strzelczyni w dyscyplinie karabinek sportowy. Zespołowa rekordzistka świata i mistrzyni Europy z roku 1971 z Suhl; indywidualna i zespołowa rekordzistka Polski z roku 1966; wielokrotna Mistrzyni Polski.



Jak Pani wspomina pobyt w Szóstce?

Był początek lat sześćdziesiątych. *Szóstka* już wtedy była jednym z najlepiej ocenianych liceów w Polsce. Dlatego sukces na egzaminach wstępnych bardzo mnie ucieszył. Cztery następne lata, które spędziłam w murach szkoły w klasie łacińskiej, były dla mnie bardzo dobrym czasem, źródłem przyjaźni pielęgowanych do dnia dzisiejszego, początkiem przygody za sportem.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Pani w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pani czasów?

Już na samym początku edukacji w szkole średniej miały miejsce zdarzenia, które ukształtowały moją przyszłość. Krótco po egzaminach wstępnych zorganizowano dla nas integracyjny obóz sportowy w Resku, który wspominam bardzo miło. Mogliśmy poznać uczniów z naszej i starszych klas oraz nauczy-

cieli uczących w szkole. Zajęcia z koszykówki spodobaly mi się szczególnie. "A może sport?" - pomyślałam. W pierwszej klasie wszystko potoczyło się szybko. Nasz nauczyciel PO, pan prof. Małkiewicz (to tylko zbieżność nazwisk!), wprowadził mnie w świat strzelectwa sportowego. Tak, wówczas uczniowie uczyli się na lekcjach strzelania z karabinka! Odbывały się zawody szkolne, w których odnosiłam coraz większe sukcesy. Szybko zaczęły się poważne treningi, wyjazdy na zawody międzyszkolne, w tym międzynarodowe. A później trafiłam do Kadry Narodowej. Mistrzostwo Europy i Rekord Świata były ukoronowaniem historii, która zaczęła się właśnie w *Szóstce*.

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pani i dlaczego?

Pamiętam wszystkich uczniów z mojej klasy. Wiele było osób o wybitnych zdolnościach, z późniejszymi sukcesami w życiu zawodowym. Byli wśród nich m. in. późniejsi lekarze, aktor pantomimy, poseł na sejm, profesor KUL... Ale nie dlatego ich wspominam. Przede wszystkim byli wspaniałymi kolegami i koleżankami. Wówczas zawarte przyjaźnie pielęgnujemy z wieloma osobami do dnia dzisiejszego. Organizujemy spotkania klasowe i wspólne wyjazdy.

Nauczycieli wspominam również z wielkim sentymentem, szczególnie wymienionego już nauczyciela PO, pana prof. Małkiewicza oraz panią prof. Janiszewską, bardzo lubianą i szanowaną nauczycielkę łaciny. Prof. Janiszewska, wspaniała pedagog, wielu uczniów zachęciła do studiowania medycyny.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pani jest?

Oczywiście, przede wszystkim, jak wspomniałam, pobyt w szkole utorował mi drogę do sportu wyczynowego, który na pewno miał wpływ na ukształtowanie mojej osoby. Długie, wyczerpujące treningi hartowały charakter. Sukcesy cieszyły i motywowały do dalszej pracy. Porażki uczyły pokory.

Dlaczego wybrała Pani swój zawód? Jak do tego doszło?

W tamtych czasach nie było opcji indywidualnego toku nauczania. Stąd zajęcie się na poważnie sportem skutkowało niestety słabszymi wynikami w nauce. Ponadto przy tak intensywnych treningach i licznych wyjazdach trudno byłoby mi podjąć wymagające studia. Pomimo to znalazłam kierunek, który mi odpowiadał. Od zawsze lubiłam przyrodę, dlatego wybrałam rolnictwo na Akademii Rolniczej w Szczecinie. W moim przypadku wchodziły w grę tylko inżynierskie studia zaoczne, które trwały aż pięć i pół roku!

Jak osiągnięte sukcesy wpłynęły na Pani dalsze życie?

Sport wiązał się z ogromnym wysiłkiem i wieloma wyrzeczeniami. Oprócz walki z własnymi słabościami, musiałam pokonywać wiele problemów, które współczesnym młodym ludziom mogą się wydawać kuriozalne. Niedostatek sprzętu, spartańskie warunki treningów, symboliczne wynagrodzenie. Nieraz tylko dzięki własnej pomysłowości i inwencji udawało się skompletować wyposażenie. Dlatego w tych czasach uprawianie sportu na światowym poziomie, to był naprawdę sukces. Nie bez znaczenia był fakt, że wówczas niewiele kobiet uprawiało tę dyscyplinę sportową i to z takimi wynikami. Dopiero w 1984 r. strzelectwo sportowe stało się kobiecą dyscypliną olimpijską! (W 1968 r. panie zadebiutowały na igrzyskach, ale rywalizowały razem z mężczyznami). Pomimo tych wszystkich przeciwności wspominam te czasy z wielkim sentymentem. Osiągnięcia rekompensowały podjęty trud i dawały satysfakcję. Podróżowało się po świecie. Zdobywało się popularność, czego efektem były chociażby laury w plebiscytach sportowych.

Jakie wrażenie zrobił na Pani w tamtych czasach pobyt za granicą?

Trzeba pamiętać, że były to lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Rzadziej niż dziś podróżowało się za granicę, nie tylko ze względów politycznych, ale też ekonomicznych. Pierwsze sukcesy utorowały mi drogę do Kadry Narodowej, a wraz z nią otworzyło się dla mnie okno na świat. Świat odmienny od znanej mi rzeczywistości: dostatni, kolorowy, otwarty, różnorodny. Miałam wyjątkową okazję poznać wiele fascynujących osób i miejsc.

Co chciałaby Pani powiedzieć młodym ludziom, uczniom *Szóstki*?

Warto mieć pasję!

Plany, marzenia?

Żyć spokojnie i szczęśliwie, ciesząc się rodziną, w tym trójką wnucząt.



Wojciech Masacz

Najważniejszą rolą jest dla mnie rola ojca

Wojciech Masacz - aktor, lektor; urodzony w Szczecinie, studiował aktorstwo w PWST w Krakowie, od 2004 występuje w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. Jako lektor współpracował m. In. z telewizją TVN, Radiem Kraków, Radiem Centrum, telewizją Multimedia Amazing.



Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Kiedy wracam pamięcią do lat liceum, przede wszystkim widzę twarze moich kolegów i koleżanek. *Szóstka* kojarzy mi się przede wszystkim z nimi. Trafiłem do VI LO w połowie lat 90. Były chwile radosne, były też chwile bardziej gorzkie, natomiast z perspektywy czasu w głowie chcę zostawić te najlepsze. *Szóstkę* będę przede wszystkim pamiętał jako szkołę młodości; niepowtarzalnego okresu - okresu niepozabawionego problemami. Każdy etap życia ma inne radości i inne kłopoty. Charlie Chaplin powiedział, że życie ludzkie widziane z daleka jest komedią, ale jest tragedią, kiedy przyjrzymy się mu z bliska. I tak to chyba wygląda w rzeczywistości.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Nie chcę uprawiać kombatantstwa. Przede wszystkim to się działo, że byliśmy młodszy, że ja byłem młodszy i że zdałem egzamin i dostałem się do

liceum. Nie wiem, jak jest teraz, nie śledzę tego, moja córka jest jeszcze w przedszkolu, ale wtedy były egzaminy i to dosyć konkretne. Kiedy zobaczyłam swoje nazwisko na liście przyjętych, to bardzo się ucieszyłem z tego powodu.

A poza tym, to jest taki ważny etap, chyba dla każdego w tym wieku, przejścia z podstawówki do liceum, czyli z takiego wieku dziecięcego do młodzieżowego. To jeszcze nie dorosłość, ale już czuć jej zapach, już prawie ten dowód czuje się w kieszeni. Oczywiście, były wydarzenia historyczne, ukształtowała się konstytucja, były przemiany ustrojowe, niekoniecznie miłe i niekoniecznie uczciwe, moim zdaniem. Były lata rozkwitu i upadku Stoczni Szczecińskiej - mnóstwo ludzi straciło wtedy pracę. Pamiętam, że to również było czasem tematami naszych rozmów. Natomiast dla mnie najistotniejsze było to, że byliśmy na początku drogi, mogliśmy być kim chcieliśmy, mogliśmy snuć nasze marzenia, nic nie było zamknięte, *the future was wide open* (to ukłon w stronę profesora Chmiela-pozdrawiam serdecznie☺). To było absolutnie fantastyczne, niepowtarzalne uczucie - nie wiedzieć nic, nie wiedzieć, kim będziemy. Poznałem w życiu kilka osób, które od początku wiedziały, kim chcą zostać, kim chcą być - też dobrze, tylko śmiertelnie nudno. Natomiast ja kompletnie nie wiedziałem, było mi z tym fantastycznie i myślę, że ta niewiedza to trochę taka przewaga. To znaczy, że ponieważ nie wiem, kim mogę zostać, to mogę być kimkolwiek zechcę, mogę być każdym. Oczywiście wielka w tym zasługa moich rodziców - że ufali mi, wspierali i pozwalali na poszukiwania. Bez nich nie byłbym tym, kim jestem. Bardzo im za to dziękuję.

Początek drogi jest fantastyczny. No i co tu dużo mówić, młodość też. I jest jeszcze coś takiego jak odwaga ludzi młodych, że się nie zastanawiają, nie kalkulują albo raczej mało. A jeśli w tym wieku zaczynają kalkulacje, to są już mentalnymi zgredami, już nie żyją, czy może raczej nie potrafią. Jeżeli już na starcie planuje się całe swoje życie, a jedynymi marzeniami są zapchane konto i wyjazd dwa razy w roku na Kanary, to oznacza, że ktoś jest... (nie będę kończył, bo na myśl przychodzi mi tylko niecenzuralne

słowa). Na to zgięcie karku, cwaniactwo, konformizm, lęki, obawy przyjdzie być może jeszcze czas. Życie toczy się różnie. Ale na miłość Boską nie na starcie. Najpierw trzeba spróbować. Pojechać gdzieś, coś przeczytać, zobaczyć. Popęlić błędy, zgubić się, potem znaleźć. I tutaj też jest istotna rola pedagogów - nie powinni tych skrzydeł podcinać... (z tym bywało różnie, ale może o tym nie mówmy☺)

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Uczniów musiałbym wymienić kilkadziesiąt, bo byliśmy zgraną paczką. Różniliśmy się trochę oczywiście, jedni bardziej interesowali się muzyką, inni książkami. Ja akurat sporo czytałem☺ Jedni bardziej interesowali się kinem, a inni dziewczynami, sportem; niektórzy wszystkim po trochu. Niektórzy interesowali się też nauką; byli też tacy... Spośród kolegów muszę wymienić Michała Ślósarkę, który był w równoległej klasie, połączyła nas miłość do kina; chodziliśmy tam po kilka razy w miesiącu. Dodatkowo nasi rodzice byli przekonani, że jak się spotykamy, to na pewno jesteśmy bardzo zajęci intelektualnymi, twórczymi wspaniałymi czynnościami i że absolutnie żadne złe rzeczy nam nie przyjdą do głowy. No i w sumie mieli rację, rzeczywiście myśmy głównie gadali o tych filmach. Godzinami. Potem to przerodziło się w jeszcze większą pasję, Michał poszedł do filmówki, ja poszedłem do szkoły teatralnej i tak siedzimy w tym do dziś. W szkole teatralnej na jednym roku znalazłem się z Anią Cieślak, która w *Szóstce* była o rok niżej.

A jeżeli chodzi o pedagogów, to tutaj najwięcej zawdzięczam Pani Witkiewicz - polonistce, która próbowała nas zachęcić, z różnym skutkiem, do myślenia. Pamiętam fizyka - Pana Szufranowicza i Pana Chmiela, który też nas chciał zmusić do myślenia, tyle że po angielsku. Pan Tarnowski (historyk) z kolei pilnował, żebyśmy nie palili - dlatego odwiedzał nas na długich przerwach, które spędzaliśmy w parku obok bunkra - niezwykle ważnego dla nas miejsca spotkań, wymiany myśli i poglądów. Była jeszcze Pani Kowalska - matematyczka, u której w czasie lekcji, razem z moim kolegą Miłozsem, czasami śpiewaliśmy *You are so beautiful*, co ją doprowadzało do pięknego uśmiechu i rozpaczę też. A byliśmy nogami z matmy, więc często tylko to śpiewanie nam pozostawało.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Wpłynął, bo to niewątpliwie Pani Witkiewicz pierwsza zachęciła mnie do udziału w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim. Tam zauważyła mnie Iwona Mirońska-Gargas, instruktorka teatralna i pod jej

opieką pozostałem aż do zajęcia w tym konkursie drugiego miejsca w Polsce w 2000 r. Miłość do literatury, teatru, sztuki wyniosłem z domu, dzięki moim rodzicom. To oni bardzo dbali o to, abym poszerzał swoje horyzonty. Więc większa w wyborze mojego zawodu rola domu rodzinnego niż późniejszej edukacji. Ale możliwe, że gdyby nie zachęta mojej polonistki, nigdy bym nie spróbował stanąć na scenie i moje życie potoczyłoby się inaczej. Wybór mojej zawodowej drogi wiąże się z jeszcze jednym absolwentem *Szóstki* - Adamem Grudzińskim. Razem z kolegą Ślósarkiem chodziłem na spotkania Formacji Młodych Dokumentalistów, której Adam był założycielem. To na jego festiwalu stawiałem pierwsze kroki jako lektor, czytając listy dialogowe do filmów dokumentalnych. Dzięki Adamowi poznałem Hannę Banaszak i Jana Nowickiego, który dał mi ogromne wsparcie i błogosławieństwo - był pierwszą osobą w Krakowie, która mnie przesłuchiwała, jeszcze przed egzaminami do szkoły teatralnej. Pamiętam, jakby to było wczoraj, choć minęło dwadzieścia lat od momentu, kiedy stanąłem na deskach *Piwnicy pod Baranami*. Jan Nowicki to bardzo szczególna postać w moim życiu. Wielki aktor i, moim zdaniem, wielka osobowość. Tak więc mogę powiedzieć, że osoby z VI LO pomogły mi w podjęciu decyzji zdawania do krakowskiej szkoły teatralnej.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

W moim zawodzie zawsze fascynowało mnie przemijanie i kruchość - to znaczy, że teraz jestem, a za chwilę mnie po prostu nie ma. Mówi się, że na sukces aktora składa się 75% ciężkiej pracy, 20% talentu i 5% szczęścia. Ale biada temu, kto nie ma tych ostatnich 5%. Ja uważam, że to szczęście mam. Nie wybrałem tego zawodu ze względu na popularność, sławę czy pieniądze. Chciałem być przede wszystkim aktorem teatralnym, zupełnie nie myślałem o telewizji, serialach. Może trochę o filmie. W tym zawodzie jest bardzo dużo praktyki, mniej teorii i to też mi odpowiadało. Liczy się działanie, wejście na scenę, nawet za cenę popełnienia błędów. No i oczywiście magiczne miejsce - szkoła, dawniej PWST, obecnie AST w Krakowie. Mont Everest do zdobycia dla wielu. Co rok chyba około osiemdziesięciu, stu osób na jedno miejsce. To robiło wrażenie. PWST jest absolutnie fenomenalnym miejscem spotkań ludzi z różnych stron, środowisk; miejscem wymiany poglądów. Tu otwierasz się na innych ludzi i otwierasz się na inny sposób widzenia świata i siebie - to jest nie do przecenienia. Dwadzieścia osób na roku i to jeszcze podzielone na pół. Cztery grupy 5-6 osobowe; większość zajęć do końca czteroletniej edukacji zajęć

odbywała się w gronie 10-12 osób. To prawie taki indywidualny tok nauczania. Podczas pierwszego roku prawie nie wychodzi się ze szkoły - jest tyle zajęć, w tym - bardzo dużo ruchowych. Po pierwszym roku studenckiego życia w Krakowie schudłem 15kg. Dodatkowo znaliśmy się bardzo dobrze z wszystkimi rocznikami, ponieważ cała uczelnia, razem z wydziałem reżyserii i wokalnno-estradowym, to góra 120 osób. I Kraków... absolutnie genialne miejsce do studiowania. W moim sercu wciąż bije się o pierwszeństwo z rodzinnym Szczecinem. Nie chcę mówić zbyt wielkich słów, ale jestem w Krakowie zakochany do dziś, choć wiele się tam zmieniło. Moja mama zaraziła mnie miłością do tego miasta, *Piwnicy Pod Baranami*, *Starego Teatru*, Ewy Demarczyk, itd. I ja po latach stanąłem na krakowskim rynku. Nie mogłem w to początkowo uwierzyć. Kraków to było magiczne miejsce. Wystarczyło usiąść przy kawie w rynku, posiedzieć kilka godzin i mogłeś spotkać Miłosza, Szymborską, Mrożka. Z Dymną, Stuhrem miałeś potem zajęcia w szkole. Wieczorami mogłem natknąć się w knajpcie na Świetlickiego, Małńczuka, Sasnała, Dyjaka. Lata 2000-2004 to był piękny czas w Krakowie. Oczywiście można się też w tym wszystkim bardzo pogubić, ale to temat na inną opowieść.

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Co jest dla Pana ciekawsze - bycie aktorem czy lektorem (i dlaczego)?

Uwielbiam pracę z mikrofonem, czuję się za nim bardzo dobrze. Spełniam się jako lektor. Zacząłem już na studiach, współpracując z ogólnopolską telewizją. Praca samym głosem może wydawać się trudniejsza, ale mnie sprawia ogromną frajdę. Poza tym jest bardziej higieniczna dla głowy niż praca w teatrze, który wymaga ogromnego zaangażowania. Pracujemy w weekendy, święta, wieczory sylwestrowe. Wracamy z pracy najczęściej około 23:00. Czasami przeszkadza to w normalnym funkcjonowaniu. Dodatkowo, trzeba to przyznać, niewielu może utrzymać siebie czy swoje rodziny, pracując jedynie w teatrze. Tak to już jest. Nie chcę używać wielkich słów, ale chyba rzeczywiście aktorstwo trzeba kochać, bo inaczej bardzo szybko się można rozczarować codziennością tego zawodu. Mierzeniem się z przeciwnościami, ze stresem, wzlotami i upadkami. Cóż, trzeba ponosić konsekwencje własnych wyborów.

Czy łatwo być aktorem w dzisiejszych czasach? Aktorstwo teatralne czy telewizyjne?

I co ja mam na to odpowiedzieć? Jestem, żyję, chwilowo jeszcze dobrze się czuję, choć przekroczyłem niedawno 40. Pracuję w zawodzie, robię to, co lubię i jeszcze mi za to płacą. Wiadomo że zawsze można lepiej, więcej, ale w dzisiejszych czasach mieć

pracę, którą się lubi i która daje chleb, to już jest sukces.

Aktorstwo telewizyjne czy teatralne? Zdecydowanie teatralne, bo mądrzejsze. I żywe. Choć w telewizji lepiej płacą☺



Które z ról wspomina Pan najlepiej i dlaczego? Kogo chciałby Pan zagrać?

Najważniejszą rolę dla mnie, i najtrudniejszą zarazem, jest rola ojca, z którą próbuję się mierzyć każdego dnia. To jest rola mojego życia. Chciałbym być dla mojej córki wsparciem, chciałbym ją wychować na mądrą, fajną osobę, która wie, ile jest warta, a ponieważ jestem człowiekiem dość zabieganym i prowadzę niezbyt higieniczny tryb życia z racji uprawianego zawodu, chciałbym, żeby moja córka miała normalny, ciepły dom. To jest rola, którą chciałbym zagrać najlepiej w swoim życiu. A co do zawodowego, to ja nie mam jakichś specjalnych marzeń. Nigdy nie miałem. Jestem trochę nietypowym aktorem, ale ja nigdy nie miałem jakiś wielkich marzeń, żeby coś specjalnego zagrać. Ja nawet nie wiem, ile ról mam za sobą. Wydaje mi się, że przekroczyłem 50, ale głowy nie dam. Kilka z nich zrobiłem chyba nieźle. Ciekawa rola, którą miałem przyjemność zagrać, to rola Bogumiła Niechcica w *Nocach i dniach* Seba Majewskiego. Mam za sobą niezłego Azazela w *Mistrzu i Małgorzacie* Gabriela Gietzkyego, lata temu - Tamburmajora w *Woyzecku* Mai Kleczewskiej.

Jakieś rady dla tych, co marzą o aktorstwie?

Próbujcie, po prostu próbujcie... Musicie być bardzo zdeterminowani i kompletnie zwariowani, że chcecie - szczególnie w dzisiejszych czasach. Przy-

promina mi się spotkanie z Panem Janem Nowicki tuż po rozpoczęciu pierwszego roku w Krakowie. Zapytał mnie z uśmiechem, czy się dostałem i czy spełniły się moje marzenia. Odpowiedziałem, że tak. Popatrzył na

mnie chwilę, na moment twarz mu spoważniała i powiedział: „To teraz cztery lata studiów i potem zobaczysz jak to jest”.

Przemysław Mijał

Czy warto studiować prawo?

Przemysław Mijał - radca prawny, doktor nauk prawnych, obecnie Dziekan Rady Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie; autor i współautor ponad 60 publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, artykułów oraz wydawnictw dydaktycznych dla studentów i aplikantów radcowskich.

Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Uczęszczanie do VI LO i czas z tym związany wspominam niezmiennie jako okres bardzo wesoły, ale jednocześnie taki, w którym kształtowała się moja osobowość, charakter i temperament. Po prostu jeden z najlepszych okresów w życiu, bo konieczność uczestnictwa w lekcjach i nauki do klasówek, a potem matury, przynajmniej w moim przypadku, jakoś bardzo w tym wszystkim nie przeszkadzała. Atmosfera w szkole była niesamowita i bardzo przyjazna. W zasadzie przychodziłem do szkoły i ludzi, którzy do niej chodzili, spotkać się z nimi, a nie na lekcje, które stanowiły otoczkę tego wszystkiego... istotną, ale też nie sprawiającą jakichś specjalnych kłopotów.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Jakichś konkretnych zdarzeń nie jestem w stanie wskazać. Raczej kojarzę i odbieram tamte lata jako ciąg ciekawych wydarzeń, fajnych ludzi, nowych doznań i niepowtarzalnych eventów. Każdy dzień przynosił coś nowego, coś niezwykłego. Świat był raczej czarno-biały. Nieczęsto chodziło się na kompromisy i raczej nie brało jeńców. Pamiętam, że funkcjonowała Rada Pięciu, która była przedstawicielstwem samorządu uczniowskiego, inicjatorem wydarzeń i pomysłów, które nie zawsze wychodziły na przeciw oczekiwaniom rady pedagogicznej.

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Wspomnień o uczniach jakoś specjalnie snuć nie muszę, bowiem z każdym, z kim chcę, utrzymuję kontakty towarzyskie, mniej lub bardziej intensywne, do dnia dzisiejszego. Wielu spotkałem i nadal spotykam również na niwie zawodowej. Szkoła nie była duża, więc w zasadzie kojarzyło się ludzi ze wszyst-

kich roczników, z którymi przyszło przebrnąć ten okres edukacji w VI LO. Czas liceum ma to do siebie, że budują się w nim trwałe międzyludzkie więzi pozabawione pozorności i iluzoryczności. Potem oczywiście każdy z nas się nieco zmienia i w różnym stopniu przystaje do konturów, w których się mieścił w szkole... zawsze ma jednak szansę wrócić do starych czasów, jeśli proza życia nazbyt go odmieniła. Każdy z nas był na swój sposób indywidualnością, każdy to szanował i to było fajne. Tak to wspominam. Nauczyciele... byli bardzo różni, każdy na swój sposób specyficzny, ale też zmieniali się pod naszym wpływem, bo trzeba przyznać, że łatwo z nami nie mieli.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Tak jak wspominałem, oprócz nauki i wszelkich rozrywek związanych z edukacją w szkole średniej, pobyt w VI LO niewątpliwie kształtował nasze postawy i kreował spojrzenie na życie oraz otaczającą nas wtedy rzeczywistość. Mieliśmy wówczas mnóstwo czasu na rozmowy, analizy, nawiązywanie wzajemnych relacji, toczenie sporów o to, co nas różniło i podejmowanie współpracy w sprawach, które były dla nas wspólne. *Szóstka* skupiała ludzi z różnych funkcjonujących wówczas subkultur, które spotykały się w kultowym szkolnym klubie i przy dźwiękach muzyki szukały kompromisów w sprawach szkolnych i pozaszkolnych. Każdy z nas w jakiś sposób dokonywał też ważnych wyborów dotyczących jego przyszłości, zwłaszcza w kontekście dalszej edukacji na studiach, która w jakiejś mierze determinowała jego zawodową i życiową przyszłość. Mnie VI LO z pewnością nauczyło spoglądania na życie przez pryzmat szerokich perspektyw, dlatego - pomimo czteroletniej edukacji w kasie o profilu biologiczno-chemicznym - zdecydowałem się jednak spróbować swoich sił na

studiach prawnych. Trochę na zasadzie eliminacji i niezamykania sobie horyzontów i perspektyw. Uznawałem bowiem, i dalej tak myślę, że kończąc wydział prawa, zawsze można robić coś innego, niż tylko wykonywać jedną z sześciu profesji prawni-

czych, zaś kończąc te studia tego „innego” można się nauczyć bardzo szybko, jednocześnie posiadając już prawniczy blichtr.



Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Doszło do tego metodą eliminacji innych moich rozlicznych pomysłów na życie... Uznawałem, że nie należy „szufladkować się” w jakiejś jednej specyficznej profesji, tylko poszukiwać takiej formuły wykształcenia, które pozwoli zajmować się czymkolwiek. Człowiek i jego potrzeby się zmieniają, a w szybko obecnie pędzącym świecie podlegają ewolucji. O tym, że akurat będę prawnikiem, przekonałem się dość późno, bowiem w okolicach czwartego roku studiów. Z kolei o tym, że będę wykonywał zawód radcy prawnego, dopiero jakiś czas po ich ukończeniu, podejmując rozliczne próby przebrnięcia przez, średnio wówczas obiektywne, egzaminy wstępne na aplikacje prawnicze i procesowania się o ich konstytucyjność z samorządem radcowskim. W międzyczasie prowadziłem zajęcia ze studentami, dalej ucząc się i powoli przekonując, że prawo mnie jednak interesuje. Wszystkie te doświadczenia w końcu pozwoliły mi odpowiedzieć sobie na bardzo ważne, a w zasadzie najważniejsze, w tym kontekście pytanie – co chcę w życiu robić... i dopiero wówczas zacząłem to robić ;-)

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Jak ocenia Pan przyszłość swojego zawodu? (czy za kilka lat będzie tak, że bez radcy prawnego ani rusz?)

Okres największej fascynacji pracą to zdaje się już przeminął, ale nadal bardzo lubię to, co robię i to zdaje się jest recepta na dobre samopoczucie w pracy. Przyznaję, że niekiedy zdarzają się chwile zwątpienia, zwłaszcza jak uczony ustawodawca, w sposób bezrefleksyjny wciąż dokonuje zmian regulacji prawnych, nie dając nawet szansy na przyjęcie się w praktyce tych od niedawna istniejących. To z kolei powoduje, że nie ma szans na wpadnięcie w rutynę, bo zmiany w prawie wymuszają permanentną edukację i obserwowanie rzeczywistości. Oczywiście istnieją również wady. Jeśli ktoś się zdecyduje na wykonywanie jednej z sześciu prawniczych profesji (mowa tu o: radcy prawnym, adwokacie, notariuszu, sędzim, prokuratorze i komorniku) musi liczyć się z tym, że jego kompetencje zawodowe ograniczone są granicami kraju. Niestety, nie są to zawody międzynarodowe, w tym rozumieniu, że nie bardzo można je wykonywać poza granicami kraju, jak to mam miejsce chociażby w przypadku kierowców, kafełkarzy, lekarzy czy

inżynierów. Uprawnienia prawników kończą się na ogół na granicy w Kołbaskowie i decydując się na zmianę miejsca zamieszkania, trzeba liczyć się z jednoczesną koniecznością zmiany profesji. Przyszłość zawodu jest uzależniona od zwiększania się kultury prawnej społeczeństwa, które być może kiedyś zrozumie, że prawnik świadczy usługę powszechną, nie różniącą się od tej mechanika samochodowego czy fryzjera, a niekiedy również niekoniecznie droższą. Dobrze jest też wiedzieć, że do prawnika najlepiej pójść zanim podpisze się umowę, a nie dopiero kiedy zostanie nam wypowiedziana. Wyczekuję tych czasów...

Czy w dzisiejszych czasach warto iść na prawo? Komu by Pan polecał ten kierunek?

Zawsze warto, w każdych czasach. To wykształcenie kierunkowe, które daje szeroką perspektywę postrzegania rzeczywistości i umiejętność rozwiązywania problemów oraz podejmowania wyzwań. Sprawność w tych materiałach, poparta znajomością przepisów, pozwala na odnalezienie się na rynku pracy i realizowanie się w zasadzie w nieograniczonej ilości branż. Znajomość prawa w tym z pewnością nie przeszkodzi, powinna pomóc. Znam również ciekawe fuzje tych studiów z innymi fakultetami. Jeden z kolegów z mojej klasy jest absolwentem medycyny oraz prawa i, o ile wiem, z powodzeniem realizuje się zarówno jako lekarz oraz prawnik. Spotykałem też studentów, którzy łączyli prawo z ekonomią (to duet dość powszechny), ale także ze studiami inżynierskimi, co już stanowi nie lada wyzwanie intelektualne. Na prawo powinien pójść każdy, kto kończąc szkołę średnią, nie ma sprecyzowanych oczekiwań i planów na przyszłość, a z kolei nie bardzo ma ochotę ograniczać sobie perspektywy.

Jakie są „ścieżki awansu” radcy prawnego? Co może Pan jeszcze osiągnąć, jak się rozwijać?

Uzyskanie uprawnień radcy prawnego w zasadzie wieńczy dzieło awansu zawodowego w tej profesji prawniczej. Oczywiście niezależnie od tego, choć najlepiej jednak w ścisłym powiązaniu z wykonywa-

niem zawodu radcy prawnego, możliwym jest podejmowanie wyzwań naukowych i powolne przedzieranie się przez ścieżkę naukową, uzyskując stopień doktora, potem habilitację i wreszcie tytuł profesora. Uważam, że połączenie praktyki prawniczej z równoległe wykonywaną działalnością naukową i aktywnością dydaktyczną jest optymalnym rozwiązaniem. Jeśli ktoś potrafi to połączyć, bez krzywdy dla któregoś z tych filarów, jest już wystarczająco dobrym i spełnionym prawnikiem.

Studia prawnicze a rzeczywistość - jak się ma jedno do drugiego?

Studia prawnicze do rzeczywistości mają się słabo, o ile podczas studiów – oprócz oczywiście pewnego obligatoryjnego kanonu wiedzy teoretycznej, niezbędnego w edukacji ogólnie wykształconego człowieka – nie dba się o kształcenie praktyczne adeptów prawa. Mam niestety wrażenie, że obecnie tak się dzieje i stało się to jednym z powodów mojej rezygnacji z edukacji studentów na wydziale prawa kilka lat temu. Nie będziemy kształcić dobrych prawników, jeśli podczas studiów nie będą oni uczeni rozwiązywania problemów, a te biorą się w niezliczonych ilościach z praktyki. Uczynienie ze studiów prawniczych li tylko szkoły doktrynalnej prawa zdecydowanie oddala studia od rzeczywistości i jednocześnie odrealnia studentów od teraźniejszości. Ludziom potrzebni są prawnicy potrafiący rozwiązać ich problemy, a nie cytujący z pamięci opasłe tomy kodeksów.

Plany, marzenia?

Moje plany i marzenia (raczej wyłącznie plany, bo staram się być jednak realistą) podlegają ciągłej weryfikacji. Nie mam jakichś długoterminowych celów czy wyzwań, bo raduje mnie raczej obecna chwila i bieżące sukcesy. Jeśli uznaję, że na czymś mi zależy... po prostu staram się to zrobić. Chodzi o to, żeby budząc się każdego dnia, człowiek miał poczucie, że idzie tam, gdzie chce iść i robi to, co naprawdę lubi robić. To przekonanie powinno być wystarczającym paliwem do działania na długie lata, przynajmniej u mnie tak działa.

Joanna Napieralska

Nie lubię niepotrzebnych dźwięków

Joanna Napieralska - reżyser dźwięku; profesor Wydziału Reżyserii Dźwięku Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie; członkini Polskiej Akademii Filmowej i Europejskiej Akademii Filmowej. Dwukrotna laureatka Nagrody za dźwięk na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni oraz laureatka Polskiej Nagrody Filmowej w kategorii najlepszy dźwięk.

Jak Pani wspomina pobyt w Szóstce?

Ogólnie dobrze. To był trudny czas, bo *Szóstka* miała renomę i była wybierana przez osoby chcące się uczyć. Czuło się presję, żeby nie obijać się, nie odpuszczać sobie; dotyczyło to większości przedmiotów. Była to szkoła skoncentrowana na zadaniach dydaktycznych, mniej – na życiu towarzyskim. Były oczywiście wycieczki, wyjazdy na narty, ale przede wszystkim liczyła się nauka.

Którzy nauczyciele zapisali się szczególnie w Pani pamięci?

Jak myślę o *Szóstce*, to przypomina mi się pani prof. Łazarska – polonistka. Myślę, że wywarła na mnie największy wpływ; jej lekcje służyły nie tylko poznawaniu literatury, ale też kształtowaniu świadomości, erudycji, moralności, poglądów filozoficznych. Ona otworzyła mnie na zagadnienia około literackie - i za to jestem wdzięczna.

Lekcje polskiego były stresujące, ale bardzo rozwijające; toczyliśmy ciekawe i głębokie dyskusje, często wykraczające poza materiał; poznawaliśmy poglądy Pani profesor, jej stosunek do danych zagadnień, ale też poznawaliśmy siebie, bo dyskusje żywo się rozwijały. W ramach języka polskiego organizowaliśmy dramy - to było bardzo twórcze zajęcia (raz byłam nawet reżyserem takiej dramy). Na tych lekcjach dużo się nauczyłam i czerpię z tego do dzisiaj. Lubię, jak zdania zawierają tylko te słowa, które są niezbędne, aby wyrazić jakąś myśl; nie lubię „łania wody”. Tego uczę moich studentów, ale sama nauczyłam się tego właśnie w liceum.

Innym, bardzo wymagającym nauczycielem była rusycystka - pani prof. Klimaszewska; dużo pracy w domu, bardzo wysoki poziom; może nawet za bardzo... Kiedy jednak zdawałam na studia (reżyseria dźwięku - kierunek bardzo wymagający), na ostatnim etapie trzeba było napisać wypracowanie dotyczące kultury muzycznej i zdać egzamin pisemny z języka obcego. Napisanie odpowiedzi na zestaw pytań z j. rosyjskiego (na co przeznaczono 1,5h) zajęło mi 15 minut. Dla mnie te zadania były po prostu śmieszne.

Czy obecnie wykorzystuje Pani ten język?

W zeszłym roku pracowałam z reżyserem Sergeyem Dvortsevym, który postawił warunek, że będziemy rozmawiać po rosyjsku (choć znał angielski). Musiałam sobie trochę przypomnieć słownictwo, korzystając z aplikacji na telefon. Ze zrozumieniem reżysera nie miałam większego problemu, by zacząć mówić musiałam pobyt parę dni w Moskwie.

Wracając do nauczycieli...

Pani prof. Słótko - światła osoba, wspaniała chemiczka; żałuję, że chemii nie wykorzystywałam w dalszym życiu, ale dobrze ją pamiętam.

Za to matematyk prof. Kutkiewicz był specyficzny, stawiał dwóje w tempie ekspresowym. Np. kazał wyprowadzić twierdzenie Talesa i klaskał do 10. Miał jednak jakąś swoją moralność. Czwórki i piątki dostawali ci, którzy potrafili nauczyć się sami. Wskazywał zadania ze zbioru, jeśli się je opanowało, to maturę zdawało się bez problemu.

I jeszcze - prof. Bronisława Kaczor, którą uwielbiałam, prowadząca zajęcia z plastyki, a która jest malarką. Na jej lekcjach nauczyłam się trochę malować, trochę rysować; rozbudziła we mnie zmysł estetyczny.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły w Pani pamięci?

Niesamowita była wycieczka do Anglii, na którą pojechała grupa uczniów, która coś z angielskiego umiała i potrafiła się zachować. Opiekunami byli prof. Siudziński - dyrektor, jego żona oraz prof. od angielskiego („Kajzerek”). Najpierw przeprawa promem, potem jazda autokarem i mieszkanie w eleganckim pensjonacie - dla nas to była egzotyka; niesamowite przeżycie jak na ówczesne czasy (przełom lat 70-tych i 80-tych).

Czuliśmy się jakby nas ktoś zabrał do raju. I chociaż Anglia nie jest takim krajem, który dzisiaj nas oszołamia, to wtedy byliśmy zauroczeni. Na śniadanie dostawaliśmy płatki kukurydziane z mlekiem z kartonu (!) oraz obrane ze skórek grejpfruty i pomarańcze w wielkich puszkach. Do wyboru był także porridge :). Za to zszokował nas obiad - zimne plasty

baraniny z sosem miętowym, który w naszym przekonaniu smakował jak pasta do zębów. Ale uczniowie brytyjscy reprezentowali niższy poziom wiedzy ogólnej, jak pytali gdzie leży Polska, a my złośliwie odpowiadaliśmy, że w Afryce Południowej, to kiwali ze zrozumieniem głowami☺

Teraz też z poziomem wiedzy nie jest najlepiej, niestety również w Polsce...

Tak... Przypomniła mi się ciekawa historia. Podczas swojego wykładu zaprezentowałam studentom fragment *Przedwiośnia* w reżyserii F. Bajona i zapytałam o głównego bohatera. Cisza. Więc pytam, kto czytał *Przedwiośnie* i wtedy nieśmiało wysuwa się jedna rączka - to był Japończyk (który u nas studiował kompozycję). Jedyna na sali osoba, która czytała powieść Żeromskiego i wiedziała jak się nazywa bohater filmu...

Jak to się stało, że wybrała Pani swój zawód (reżyser dźwięku) po profilu biologiczno-chemicznym?

Od początku uczęszczałam do szkoły muzycznej, najpierw podstawowej, potem średniej, więc nie wyobrażałam sobie, aby w moim życiu nagle zabrakło muzyki. Nie mogłam być pianistką, bo w Szóstce było zbyt dużo obowiązków, abym mogła poświęcić wystarczającą ilość czasu na ćwiczenie; poza tym czułam, że na świecie jest wiele interesujących rzeczy poza siedzeniem przy instrumencie; na to, aby być lekarzem, za mało czasu poświęcałam biologii, bo zajmowałam się muzyką. Zaczęłam szukać rozwiązania - poszłam do czytelnicy w *Szóstce*, wzięłam informator dla maturzystów i tam znalazłam reżyserię dźwięku - wydział w ówczesnej Akademii Muzycznej im. Fr. Chopina w Warszawie (oraz informację, że po tym kierunku można pracować w filmie). Wcześniej myślałam, żeby studiować reżyserię filmową, ale w tamtych czasach trzeba było mieć ukończony już jakiś fakultet, czyli były to de facto studia podyplomowe. Trzeba też było robić zdjęcia, a ja wtedy tego nie umiałam (tak mi się przynajmniej wydawało).

Jakie predyspozycje są potrzebne w Pani zawodzie?

Najważniejsze to bardzo dobry słuch (pod względem medycznym), w wieku 20 lat nie wolno mieć żadnych uszczerbków w zakresie pracy tego narządu; potrzebna jest też wrażliwość muzyczna. Dawniej obowiązkowy był dyplom szkoły muzycznej, teraz nie, ale egzaminy są na tyle trudne, że bez dyplomu niełatwo je zdać.

Pracę przy którym filmie wspomina Pani najbardziej?

To jeden z pierwszych filmów, które robiłam, *Weiser* Wojciecha Marczewskiego (2001). Praca nad

udźwiękowieniem trwała 6 miesięcy. Poza tym to był mój pierwszy film udźwiękowiany na komputerach, a nie w tradycyjnej montażowni (technologia cyfrowa a nie taśmy analogowe). To był szalony przeskok. A trzeci powód – to mój pierwszy międzynarodowy film fabularny (była to europejska koprodukcja, a zgranie dźwięku odbyło się w Szwajcarii). Reżyser też znakomity. Przeszłam tam chrzest bojowy, a praca zakończyła się sukcesem, bo film został nagrodzony za dźwięk, za montaż. Do tej pory darzę go sentymentem. Jestem dumna z tego, co zrobiłam.



Jak wygląda praca nad dźwiękiem, czy reżyser ma jakąś wizję, którą trzeba zaakceptować, czy daje wolną rękę dźwiękowcom?

To zależy od konfiguracji osobowości, które się spotykają. Zazwyczaj reżyser ma dużo do powiedzenia, ale bywa też, że daje wolną rękę operatorowi dźwięku. Takim reżyserem był np. K. Kieślowski (pracowałam jako asystentka przy *Dekalogu*). Darzył zaufaniem osoby, z którymi współpracował. Ale są też tacy, którzy będą współuczestniczyć we wszelkich pracach i śleć nad każdym dźwiękiem.

Poza współpracą z K. Kieślowskim asystowała Pani przy *Lawie* T. Konwickiego...

Wtedy pracowaliśmy na taśmach analogowych, ja przygotowywałam dźwięki wszystkich ptaków, obrzędu dziadów na cmentarzu. Pamiętam, że nagrania grzmotów, które słychać w scenie Balu u Senatora, zdobyłam z BBC. Ten film też dostał nagrodę za dźwięk.

Pracowałam również przy filmie *Na Srebrnym Globie* A. Żuławskiego – wtedy pierwszy raz współ-

pracowałam ze swoim późniejszym mężem. Po tym filmie nigdy razem nie pracowaliśmy, ale, kiedy mąż był już śmiertelnie chory, o czym wtedy nie wiedzieliśmy, ten film trafił do nas do rekonstrukcji – i wtedy po raz drugi (i ostatni) pracowaliśmy razem. To była taka klamra. Coś bardzo wzruszającego.

Jak widać, filmy głęboko przeplatają się z moim życiem. Ostatnio robiłam rekonstrukcję filmu *Dziewczynka z hotelu Excelsior* Antoniego Krauze, ten film jest o śmierci, a trafił do mnie, tuż przed tym, jak dotknęła mnie trudna sytuacja osobista – udar i śmierć mojej mamy.

Praca nad filmem dokumentalnym a fabularnym.

Z filmów fabularnych powinien wymienić jeszcze *Różyczkę* w reż. Jana Kidawy-Błońskiego, to film ważny dla mnie - jest w nim bardzo trudna scena, scena zamieszek przed uniwersytetem w 1968 roku. Scena ta zmontowana została zarówno ze zdjęć archiwalnych, jak i fragmentów fabularnych, przedstawiających tłum studentów, milicjantów, przechodniów i funkcjonariuszy. A im więcej postaci w kadrze, tym więcej pracy dla montażystów i reżyserów dźwięku. Każdemu bohaterowi trzeba było zrobić kroki, odgłosy bicia pałkami, szarpania, upadków, do tego petardy, samochody, krzyki, skandowania tłumu studentów, gwar, no i oczywiście najważniejsze - dialogi, muzyka i dźwięki specjalne (tzw. sounddesign). 128 śladów dźwięku zostało w tej scenie przygotowanych do zgrania, którego trudnym elementem było połączenie dźwięków archiwalnych z dźwiękami współczesnymi tak, by się nadmiernie nie różniły. Do imitacji bijatyki wykorzystaliśmy dwukilogramowy płat wołowiny. Ten nagrodzony na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni film jest ważny w mojej karierze.

Jeśli idzie o filmy dokumentalne, to było ich bardzo dużo, np. *Miejsce urodzenia* w reż. Pawła Łozińskiego - film o pisarzu żydowskim Henryku Grynbergu; *Król Hugo i jego poddana* w reż. Franco de Pena, *Iskierka* w reż. Wiesławy Piećko (absolwentki LO VI w Szczecinie). W większości filmów dokumentalnych stosuję, prócz dźwięków realistycznych, także dźwięki eksperymentalne, których połączenia nawiązują do muzyki elektroakustycznej. W filmie o Aleksandrze Wolszczanie pt. *Gwiazdor. Aleksander Wolszczan* w reż. Jana Sosińskiego, było sporo takich dźwięków, a nawet całe ich otoczenie muzyczne frazy. Podczas wstępnego montażu użyto muzyki eksperymentalnej Eugeniusza Rudnika. Potem się okazało, że niektóre fragmenty nie mogą być użyte w filmie ze względów formalnych. W związku z tym powstały spore dziury do uzupełnienia. Nie mogąc dopasować niczego odpowiedniego, postanowiłam sama coś

stworzyć. W tym filmie jest sporo moich kompozycji, które ilustrują wizję kosmosu, o której opowiada bohater - słynny astronom i najznakomitszy chyba absolwent *Szóstki*.

Pamiętam również pracę nad utytułowanym dokumentem muzycznym *Solo* w reż. M. Pisarka (o współczesnym kompozytorze, dramaturgu i grafiku Bogusławie Schaefferze), ten film dostał pięć międzynarodowych nagród; jest to bardzo udana wizualna ekspresja muzyki współczesnej. Podsumowując, dokumenty stanowią osobną ścieżkę w mojej karierze; lubię pracę nad nimi.

Gdy miała Pani zdecydować: dokument czy film fabularny?

Każdy z nich ma plusy i minusy. Fabuła, to jest fabryka, tam na planie jest 100-200 osób, są zasady, konwenanse i trzeba je znać. Pracuje się w rozpędzonej machinie. Trzeba umieć sobie zjednać ekipę i trzeba pracować szybko, skutecznie i bezbłędnie (pamiętajmy, że dzień zdjęciowy jest niezwykle drogi). Ale ta praca potrafi też być kreatywna.

A w dokumencie ekipa jest mała 2-3 osoby, jest większy szacunek wobec siebie. Ale dokument wymaga wrażliwości i samodzielności, nikt nie powie kamera i nikt nie powie stop. Tu trzeba samemu zdecydować, co jest warte zarejestrowania, trzeba być czujnym. Trzeba być trochę współautorem filmu. Warunki też są trudniejsze, nieraz stoi się z mikrofonem kilka godzin, ujęcia są długie. Norma długości ujęcia, tzw. wywiadu, to 1,5 h. Można oczywiście użyć statywu, ale ja z tego nie korzystam, ponieważ uważam, że każde 2 cm mają znaczenie; bohater się rusza, jak się przesunie, to jestem niezadowolona z dźwięku.

Lubię udźwiękować te filmy, które sama sobie nagrałam w okresie zdjęć.

Ile trwa przeciętnie praca nad udźwiękowieniem jednego filmu?

To zależy, fabuła - około 2 miesięcy, a to jest bardzo mało czasu. To oznacza pracę w grupie, przynajmniej 3-4 osoby. Dokument udźwiękawia się szybciej - 3-4 tygodnie, niektórzy kończą w 2 tygodnie, ale według mnie to za mało.

Na ile cyfryzacja zmieniła Pani pracę?

Bardzo, po pierwsze - więcej można poprawić, ale ma to też negatywne skutki - dźwięk można na planie nagrać gorzej, nie ma już takiej dbałości o to, aby był jak najlepszy. Cyfryzacja spowodowała też pewną degradację zawodu. Teraz każdy może kupić sprzęt i dać ogłoszenie: „Nagrania dźwięku”. Ale to nie zawsze oznacza jakość artystyczną i technologiczną. Nastąpiła też era mikrofonów bezprzewodowych, tzw. mikroportów, pozornie nie trzeba więc tyle

umieć i tak się starać, żeby nagrać dźwięk, jak to miało miejsce w czasach wyłączności mikrofonu na tycze.

Pozornie, bo praca z mikroportami zarówno na planie jak i w postprodukcji także nie jest łatwa. W technologii cyfrowej pewne rzeczy robi się dłużej, bo jest więcej możliwości, więcej narzędzi. Czy lepiej?

Jakie jest zatem teraz zainteresowanie studiami na reżyserii dźwięku?

Nie tak duże jak kiedyś, ale ciągle jest, ponieważ ciągle jest praca. Wiele osób zaczyna zajmować się dźwiękiem, nie mając początkowo odpowiednich kwalifikacji, tak więc konkurencja dla absolwentów

wydziałów reżyserii dźwięku rośnie. To też skutek cyfryzacji.

Przy jakim filmie chciałaby pani pracować, z jakim reżyserem?

Z Romanem Polańskim, choć boję się, że to marzenie już nie zdąży się spełnić. Myślę, że potrafiłabym sprostać jego oczekiwaniom, bo bardzo odpowiada mi wysmakowany dźwięk w jego filmach. Nie ma w nim elementów niepotrzebnych, a te, które są, są przemyślane i dopracowane. Minimalizm i jakość, to jest także i moja strategia.



Adam Popławski

Adam Popławski - adwokat, absolwent prawa na Uniwersytecie Szczecińskim; członek Europejskiego Stowarzyszenia Adwokatów Karnych (European Criminal Bar Association), profesjonalny mediator - zajmuje się pozasądowym rozwiązywaniem sporów z zakresu prawa cywilnego, gospodarczego i rodzinnego. Prywatnie mąż Joanny i tata Marka. Pasjonat kolarstwa szosowego.



Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

To szkoła, która przygotowała mnie do ciężkiej pracy, która mnie czeka. Wiedziałem, że wybiorę potem trudne studia, wymagające wyrzeczeń (nie zdawałem sobie sprawy, że aż tyle). Dlatego uważam, że *Szóstka* mnie w pewien sposób zahartowała, wiele się od nas wymagało i to mi później pomogło. Byłem po prostu przyzwyczajony do wysiłku intelektualnego.

Jakie zdarzenia, osoby z tamtych lat utkwily Panu w pamięci?

Ciepło wspominam koleżanki i kolegów, z wieloma mam kontakt do dziś. Spotykamy się, pomagamy sobie wzajemnie. Uczniowie *Szóstki* tworzą zgraną społeczność; szkoła nie jest duża, więc ludzie się kojarzą, rozpoznają na ulicy. A czasem wspierają się na niwie zawodowej.

Dobrze też, z perspektywy czasu, oceniam dyscyplinę, która tam panowała, wysokie wymagania (z przedmiotów rozszerzonych i nie tylko) oraz wdrażanie do samodzielnego poszukiwania wiedzy. Takie podejście przygotowuje człowieka do tego, że w życiu nie wszystko przychodzi łatwo i bez wysiłku.

Co jeszcze pamiętam? - strach przed matematyką, niestandardowy sposób nauczania historii przez prof. Okonia i wspaniałą wycieczkę do Hiszpanii.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Ten zawód zawsze mnie fascynował; można powiedzieć, że od dziecka miałem okazję go obserwować, gdyż ojciec moich przyjaciół był adwokatem. Dlatego też w liceum wybrałem profil humanistyczny (przedmioty ściśle nie należały do moich ulubionych). Teoretycznie mógłbym wybrać politologię lub - myśląc przyszłościowo - informatykę, ale wiedziałem, że to nie byłoby to.

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Dlaczego wybrał Pan advokaturę?

Ponieważ sprawy karne są znacznie ciekawsze.

Jak wygląda dziś życie prawnika?

Na pewno inaczej. Założenie i prowadzenie kancelarii wymaga wysiłku. Działamy jak przedsiębiorcy, ale jest nam o tyle trudniej, że nie możemy nigdzie się reklamować (możemy tylko informować o prowadzeniu swojej działalności), więc na początku potrzebne jest wsparcie rodziny - i to duchowe, i finansowe.

Poza tym, nie jest tak, że jak skończysz studia, to otwierają się przed tobą bramy raju - prestiż, szacunek, pieniądze. Dziś prawnik to wykonawca usług. Opowieści prawników starszego pokolenia to już przeszłość. Ludzie są bardziej świadomi, przygotowani - aspekty prawne nie stanowią dla nich jakiegś mistycznej tajemnicy.

Po studiach człowiekowi się wydaje, że zaraz nawiąże współpracę z jakimś przedsiębiorstwem, będzie mieć stałe zlecenia, ale to tak nie działa. Najpierw trzeba sobie wyrobić markę, zdobyć praktykę. A to niełatwe.

Jak Pan ocenia studia prawnicze w kontekście przygotowania do zawodu?

Średnio, przede wszystkim dlatego, że przygotowują teoretycznie, a nie praktycznie. Człowiek kończy studia, ma dużą wiedzę, ale nie wie, jak ją wykorzystać. Uważam też, że powinien najpierw wszystkiego z zakresu prawa popробować, żeby odkryć, co jest mu najbliższe. Na Zachodzie jest inaczej, tam kancelarie współpracują z uniwersytetami, wybierają

sobie najlepszych studentów, można o wiele więcej się nauczyć. U nas zderzenie prawnika z rzeczywistością bywa czasem brutalne - to, co mu się wydaje, a to, co robi - to dwa różne światy.

Jak się mają seriale (polskie, zagraniczne) z życia zawodowego prawników do rzeczywistości? Przynoszą więcej szkody czy pożytku?

Dla prawników, jeśli je w ogóle oglądają, są raczej zabawne. Filmowe wizje rozpraw i tego, co

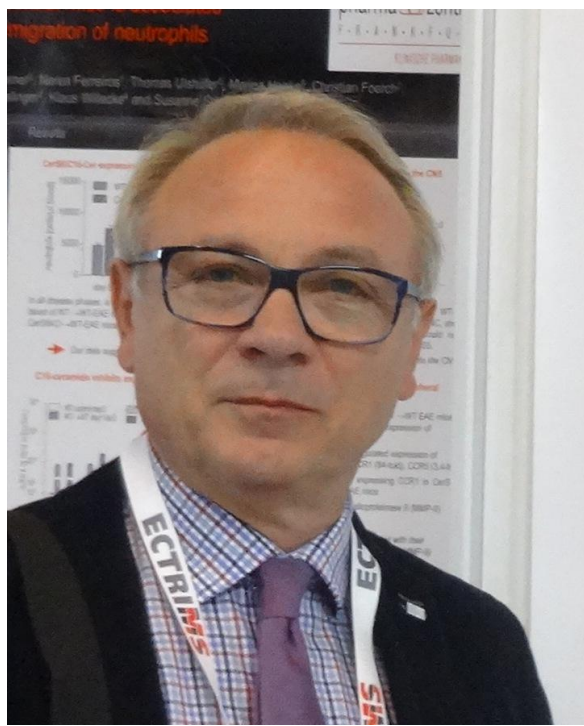
dzieje się na sali, są dalekie od rzeczywistości. Ani *W garniturach*, ani *Sędzia Anna Maria Wesołowska* (ani też książkowa Joanna Chyłka) nie zawierają zbyt wiele prawdy. Jest nawet taka strona internetowa, na której gromadzi się błędy z seriali o tematyce prawniczej.

Praca prawnika to przede wszystkim porady, pisanie wniosków, odwołań i apelacji. Wystąpienia na sali stanowią niewielki procent.

Andrzej Potemkowski

Mózg nadal fascynuje tajemniczością i nieprzewidywalnością

Andrzej Potemkowski - specjalista neurolog, autor wielu publikacji i rozdziałów podręczników na temat otępień i stwardnienia rozsianego; profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Szczecińskiego i kierownik Zakładu Psychologii Klinicznej i Psychoprofilaktyki Instytutu Psychologii, organizator cyklicznej konferencji międzyuczelnianej *Dzień Mózgu*.



Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Z *Szóstki* mam same miłe wspomnienia. Dotyczą one moich wspaniałych nauczycieli, atmosfery w szkole oraz Koleżanek i Kolegów. Fakt, że moja córka jest absolwentką *Szóstki* wiele mówi...

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Z tego okresu najbardziej w pamięci utkwiły mi dwa wydarzenia. Pierwszym, niezwiązanym ze

szkołą, były wydarzenia z 1971 roku. W dniu rozpoczęcia wydarzeń grudniowych wielu uczniów - dzieci stoczniovców otrzymywało telefony - oczywiście przez sekretariat, żeby czym prędzej wracały do domu. W południe klasa była prawie pusta, a w szkole położonej na górze słychać było odgłosy strzałów, których nikt z nas nie umiał skomentować. Drugim - było otrzymanie, za najlepsze wyniki w nauce, medalu im. Stefana Czarnieckiego - patrona szkoły, który otrzymałem jako pierwszy absolwent. Był to dla mnie wielki zaszczyt. Pamiętam też inne nietypowe wydarzenia - ale taka jest dziwna pamięć - np. wichurę, która wyróciła prawie połowę drzew w parku, mecze piłkarskie międzyklasowe, zajęcia z PO (przysposobienie obronne), które odbywały się na terenie obecnego osiedla 26 Kwietnia.

Kogo (z uczniów, nauczycieli) wspomina Pan i dlaczego?

Praktycznie wszystkich nauczycieli wspominać bardzo dobrze; o żadnym nie miałem krytycznej opinii, natomiast o wszystkich dobre zdanie. Wspominać nauczycieli (do których wszyscy zwracaliśmy się per Pani czy Pan Profesor), dzięki którym ich przedmioty lubiłem w sposób szczególny - Prof. Awtuszewskiego - polonistę, Prof. Romańczyk - biologickę, Prof. Słowno - chemiczkę, Prof. Pacewicza - matematykę, Prof. Biegańską - "od fizyki", Prof. Szczeglewskiego - historyka, Prof. Brzozowską, Prof. Mariana Taczka i jego żonę Zofię (z którymi potem przez lata mieliśmy kontakt, ponieważ pracowali w Pomorskiej Akademii Medycznej), prof. "Wacka" Taczka

i prof. Małkiewicza. To, że wymieniałem tylko tych, nie znaczy, że nie chciałbym wymienić pozostałych, dobrze pamiętam ich twarze, natomiast - co wynika ze specyfiki pamięci - nazwiska uleciały...

Czy pobyt w naszej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Z pewnością lata licealne mocno kształtują człowieka, uczą obowiązkowości, stylów pracy - ja do nauczycieli miałem rzeczywiście szczęście, to dzięki nim wiedziałem, jakim być człowiekiem i jaką drogę życiową wybrać... miałem rzeczywiście szczęście. Po kilku latach od ukończenia *Szóstki*, a było to gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych, udało mi się "w podziękowaniu" dla Szkoły, "załatwić" dla pracowni biologicznych kilkanaście profesjonalnych mikroskopów z Uniwersytetu w Rostocku, z którym współpracowałem wtedy naukowo.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Co do wyboru zawodu miałem dylemat - zostać lekarzem czy też architektem - w zasadzie trudno wyjaśnić podstawy procesów decyzyjnych wyboru zawodu - mówi się o powołaniu, do czego ja nie bardzo mam przekonanie; także racjonalne analizy często zawodzą. Wybór zawodu przypomina wybór partnera życiowego - tu też nie daje się jasno odpowiedzieć na pytanie, jak do tego doszło - to się po prostu czuje, a potem wie; oczywiście zdarzają się porażki związane z podjętymi decyzjami.

A może to i geny - córka bowiem jest lekarzem, a syn architektem...

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Czy zamieniłby ją Pan na inną? Jak wygląda praca na uczelni?

Co mnie fascynuje w pracy? Mimo że pracuję już ponad 40 lat w zawodzie lekarza i nauczyciela akademickiego, nie czuję wcale czegoś, co dotyka wielu moich kolegów - mianowicie wypalenia zawodowego. Mózg, którego chorobami się zajmuję, nadal fascynuje swoją tajemniczością i nieprzewidywalnością... Równie wiele satysfakcji daje nauczanie. Moja Mama, która była nauczycielem, a potem na Uniwersytecie Szczecińskim wykładała nauczanie początkowe, gdy zaczynałem swoją pracę powiedziała mi - "Synu zapamiętaj! W języku polskim twój zawód to nauczyciel, czyli musisz nauczyć, a nie tylko uczyć. Jest bowiem w innym języku słowo "uczyciel"... i to mi wystarczyło, bym zrozumiał, jak podejść do zawodu nauczyciela... Dlatego każdy wykład traktuję jako swoiste wystąpienie sceniczne - musi być wiele treści, ciekawa forma audiowizualna. Ponieważ kocham sztukę, szczególnie tę nowoczesną, abstrakcyjną, o której obecnie młodzi ludzie prawie nic nie wiedzą,

więc w wykłady wplatałam obrazy malarzy współczesnych.

Miałem okazję pracować na dwóch uniwersytetach - wcześniej w Pomorskiej Akademii Medycznej - obecnie uniwersytecie, a od 11 lat na Uniwersytecie Szczecińskim w Instytucie Psychologii, gdzie staram się wytłumaczyć adeptom psychologii, czym jest mózg. Szczególnie lubię wykłady fakultatywne *Mózg - Sztuka - Psychologia* - zapraszam na te wykłady wszystkich Szóstkowiczów - wystarczy spojrzeć na harmonogram wykładów i się pojawić. Dla wykładowcy to wielka satysfakcja widzieć nowe twarze... Podsumowując i odpowiadając na pytanie - mojej pracy na inną bym nie zamienił.

Jak ocenia Pan współczesnych studentów?

Oceniam ich różnie - ale będąc tyle lat w zawodzie, widzę też transformację pokoleniową - z wcześniejszej fascynacji na obecny pragmatyzm. Niknie zaangażowanie w sprawy organizacyjne uczelni, rośnie w to, co może się przydać i daje punkty - do stypendium, do notki w CV. Oczywiście, nadal są fascynaci studiów, czyli wszechstronnego zgłębiania wiedzy, a nie tylko zaliczania egzaminów. W Instytucie mamy tzw. godziny na konsultacje, kiedy to student może przyjść i o coś zapytać, może wyjaśnić coś, co było dla niego trudne na wykładzie. Gdy zaczynałem pracę, przychodzili studenci, dyskutowali, pytali - w ostatnich dwóch latach nie był ani jeden - co wcale nie znaczy, że teraz na wykładach tematy omawiamy tak, że wszystko jest jasne.

Jak zaczęła się Pana przygoda z neurologią? Dlaczego akurat tę dziedzinę wiedzy Pan wybrał?

Moja przygoda zaczęła się w prosty sposób. Oglądałem w kinie *Delfin* film Zanussiego *Iluminacja*, a za mną siedział Prof. Jerzy Kulczycki, którego synowie też są absolwentami *Szóstki*. Po filmie Profesor powiedział: „Wie pan, w medycynie praktycznie prawie wszystko wiemy o naszych narządach, tylko mózg opiera się tajemnicy; dobrze radzę - niech pan wybierze neurologię”. Postanowiłem trzymać się tej rady i naprawdę nie żałuję. Mimo że w nauce lata 90-te ubiegłego stulecia uznano za Dekadę Mózgu, to narząd ten niełatwo się bada, nie można bezpośrednio obserwować toczących się w nim procesów i dlatego nadal pozostaje mnóstwo pytań związanych z pracą, ale i z chorobami mózgu. Dlatego co roku organizuję międzyuczelnianą konferencję *Dzień Mózgu*, podczas której poruszmy, na poziomie popularnonaukowym, wiele zagadnień związanych z mózgiem; mamy wspólnych wykładowców z całej Polski. Ponad tysięczna liczba słuchaczy daje mi wielką satysfakcję. W przyszłym roku konferencja odbędzie się 17 kwietnia, a gościem będzie m.in. Prof. Jan Miodek.

Jak ocenia Pan miejsce neurologii w dzisiejszym świecie? Jak Pan myśli, dlaczego dziś tak wielu młodych ludzi chce zostać psychologami? Czym różni się praca neurologa, psychiatry i psychologa?

W zasadzie choroba każdego narządu - serca, nerek, stawów, czy zwykły katar powodują reakcje psychologiczne związane z nimi, a wszystko to dzieje się w mózgu. Jedni są odporni na stresy - mówimy, że mają nerwy ze stali, natomiast ci ze "słabymi nerwami" wszystko nadmiernie, często niepotrzebnie, przeżywają. Stąd tyle depresji w trudnym, współczesnym świecie. To powoduje społeczne potrzeby, żeby komuś o swoich wewnętrznych problemach móc powiedzieć, ale i wysłuchać rady, dlatego chyba psychologia, jako kierunek studiów, jest tak popularna. To trudny kierunek, ale bardzo ciekawy. Od 11 lat mamy ten kierunek dostępny w Szczecinie na Uniwersytecie Szczecińskim i do studiowania tu serdecznie namawiam.

Człowiek z problemami natury psychologicznej bądź poczuciem jakiegoś problemu psychiatrycznego woli najpierw zjawić się u neurologa. Naszym zadaniem jest wykluczyć zmiany w strukturach mózgu, które mogą powodować objawy psychiczne -

wtedy rzeczywiście potrzebny jest psychiatra, który w zasadzie bez wsparcia psychologicznego nie może w pełni pomóc choremu.

Co chciałby Pan przekazać uczniom naszej szkoły? Plany, marzenia?

Szóstkowicze zawsze byli aktywni - społecznie, naukowo, w kulturze, sztuce, sporcie, patrzcie więc, co dzieje się wokół - nigdy nie pozostawajcie obojętni i nigdy nie traćcie poczucia oddziaływania na rzeczywistość, na teraźniejszość, ale i przyszłość - jaka ona będzie, tylko od Was będzie to zależało. Gdy rozmawiam z ciężko chorymi ludźmi, tłumaczę im, że mimo choroby można nadal pozostać szczęśliwym i życzę Wam - nigdy nie traćcie poczucia szczęścia, żyjcie wartościowo! Z waszej perspektywy życie wydaje się długie, ale zobaczycie jak szybko mija, więc dbajcie o to, żeby to było życie spełnione, a nie pełne czasu spędzonego na obserwowaniu nie wiadomo czego na ekranie smartfona, rozmawiajcie ze sobą, dyskutujcie - można też prowadzić wymianę zdań dzięki smartfonom - ale lepiej twarzą w twarz. I pamiętajcie, zawsze miejcie marzenia - bo starość zaczyna się wtedy, gdy miejsce marzeń zajmują wspomnienia - wspomnienia Szóstki są fajne, ale marzenia fajniejsze.

Joanna Ramęda-Pilip

W mojej pracy lubię kontakt z ludźmi

Joanna Ramęda-Pilip - w VI LO w latach 1994-1998; ukończyła prawo na Uniwersytecie Szczecińskim (w czasie studiów odbyła jeden semestr na Uniwersytecie w Bari we Włoszech w ramach programu Socrates - Erasmus oraz jeden semestr na Uniwersytecie Warszawskim w ramach programu Most); od 2010 r. prowadzi własną kancelarię notarialną w Szczecinie

Jak Pani wspomina pobyt w Szóstce?

Pobyt w *Szóstce* wspominam jako jeden z najmielszych okresów w moim życiu. Był to z jednej strony okres młodości bez troski, a z drugiej - początek dorosłości i uczenia się odpowiedzialności za swoje postępowanie. To właśnie w *Szóstce* poznałam wielu ludzi, z którymi zawarłam przyjaźnie i znajomości trwają do dnia dzisiejszego, z którymi spotykam się zarówno prywatnie, jak i na drodze zawodowej. Są to ludzie, na których można zawsze polegać, a do tego wspinali towarzysze wakacyjnych wyjazdów czy spotkań towarzyskich. W związku z tym, że *Szóstka* jest niedużą szkołą, panowała tam niepowta-

rzalna atmosfera, która sprzyjała zawieraniu znajomości w obrębie wszystkich roczników.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Pani w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pani czasów?

W mojej pamięci z tamtego okresu zachowało się wiele wspomnień związanych z wymagającymi nauczycielami, przerwami spędzonymi w szkolnym klubie, którego moja klasa była opiekunem, kiedy byliśmy w 2 klasie, wyjazdami na letnie i zimowe obozy czy piątkowymi popołudniami, kiedy po ciężkim tygodniu spotykaliśmy się poza szkołą z kolegami i koleżankami z klasy.

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pani i dlaczego?

Spośród nauczycieli najbardziej w pamięć zapadli mi - nasz polonista Marian Grzesiuk, a także nauczyciel historii Dariusz Okoń i nauczycielka matematyki Barbara Kowalska. Byli to nauczyciele wymagający, ale też mający specyficzne poczucie humoru (choć wówczas nie zawsze było nam do śmiechu), które do dziś na wesoło wspominamy ze znajomymi ze szkoły.



Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pani jest?

Niewątpliwie pobyt w szkole wpłynął na dalsze moje życie. Wymagający nauczyciele przygotowali mnie do dalszej drogi w zdobywaniu wykształcenia i radzeniu sobie ze stresem, a spotkani ludzie i zawiązane przyjaźnie zdefiniowały w pewnym stopniu mój krąg towarzyski.

Dlaczego wybrała Pani swój zawód? Jak do tego doszło?

Na studia prawnicze zdecydowałam się, mając plany niezwiązane z zawodem stricte prawniczym.

Dopiero w czasie studiów zrozumiałam, że chciałam wykonywać zawód prawniczy, ale wtedy myślałam o aplikacji adwokackiej albo radcowskiej. Na skutek okoliczności, na które nie miałam wpływu, nie mogłam po ukończeniu studiów zdać egzaminu na żadną z wymienionych aplikacji, gdyż przez parę lat w związku ze zmianami legislacyjnymi nie było naboru na te aplikacje, dlatego podjęłam udaną próbę dostania się na aplikację notarialną. Nie starałam się na aplikację sądową czy prokuratorską, gdyż wiedziałam, że nie odnajdę się dobrze w tych zawodach. Brakowałoby mi bezpośredniego kontaktu z ludźmi - klientami i z pewnością są to zawody, w których ma się znacznie mniejszy wpływ na wykonywaną pracę, niż przy wykonywaniu wolnego zawodu prawniczego.

Co fascynuje Panią w swojej pracy? Dlaczego wybrała Pani bycie notariuszem, a nie np. sędzią?

W mojej pracy lubię to, że mam kontakt z ludźmi, że mam możliwość rozwiązywania różnych problemów, szukania wyjścia ze skomplikowanych prawnie sytuacji. Jednak jest to też praca obciążona ogromną odpowiedzialnością i obciążona dużą ilością obowiązków wobec Państwa, których niedopełnienie obwarowane jest poważnymi konsekwencjami, dlatego wbrew powszechnej opinii jest to zawód stresujący i to z pewnością jest jego minusem. Niemniej jednak lubię swój zawód i nie zamieniłabym go w tej chwili na żaden inny.

Czy w dzisiejszych czasach warto być prawnikiem? Jakie cechy, predyspozycje są potrzebne w tej pracy?

W dzisiejszych czasach bycie prawnikiem jest niewątpliwie dużo trudniejsze niż jeszcze kilkanaście lat temu. Myślę, że dawniej zawody prawnicze cieszyły się większym szacunkiem i poważaniem wśród społeczeństwa, a ponadto na skutek deregulacji i szerszego otwarcia dostępu do wolnych zawodów prawniczych (czego zawsze byłam zwolennikiem) rynek usług stał się trudniejszy dla początkujących prawników. Mimo tego uważam, że zawody prawnicze przynoszą wiele satysfakcji i warto je wybierać, jeśli posiada się odpowiednie predyspozycje. A jeśli chodzi o te predyspozycje, to każdy z zawodów prawniczych wymaga innych predyspozycji, choć z pewnością wspólne dla wszystkich będą odporność na stres, chęć ciągłego pogłębiania wiedzy, otwarty umysł oraz sympatia, wyrozumiałość i cierpliwość dla ludzi.

Jak wygląda dzień z życia notariusza?

Mój dzień to spotkania z klientami, rozmowy telefoniczne, odpisywanie na korespondencję mailową, a przede wszystkim odczytywanie przygotowanych wcześniej umów i ich podpisywanie z klientami.

Niestety, mój dzień pracy nie kończy się wraz z opuszczeniem murów kancelarii, gdyż zazwyczaj zabieram do domu umowy przygotowane przez moich pracowników w celu ich sprawdzenia, a sprawdzam je zazwyczaj po położeniu moich dzieci spać, czyli późnym wieczorem.

Jak się mają seriale (polskie, zagraniczne) z życia zawodowego prawników do rzeczywistości? Przynoszą więcej szkody czy pożytku?

Seriali niestety nie oglądam, więc trudno mi się ustosunkować do tego pytania, ale pamiętam serial z czasów moich studiów o młodej pani adwokat - Ally

McBeal, który mimo że odbiegał mocno od prawniczej rzeczywistości, był lubiany wśród studentów prawa. Myślę, że o ile oglądający taki serial nie będzie zapominał, że jest to tylko film, takie seriale nie wyrządzają żadnej szkody.

Plany, marzenia?

Chciałabym, żeby moja praca nadal przynosiła mi wiele satysfakcji, a przy tym - żeby była mniej stresująca i żeby nasz ustawodawca był bardziej rozsądny i przewidujący. A poza tym, na tę chwilę, żeby nic się nie zmieniało.

Sergiusz Sachno

Młody człowiek nie kształtuje się w próżni

Sergiusz Sachno - urodził się w Chinach; studiował socjologię na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie filozofię i socjologię na Uniwersytecie Karola w Pradze. Fotografiami zajmuje się od 1972 roku. Prace swoje prezentował na kilkudziesięciu wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju oraz uczestniczył w wielu pokazach fotografii za granicą, m in. w Sydney, Tokio, Montrealu, Toronto, Nowym Jorku, Vancouver, Pradze, Amsterdamie i Berlinie.



Jak Pan wspomina pobyt w Szóstce?

Przede wszystkim *Szóstka* była otwarta na myślenie. Plasowała się w czołówce polskich liceów. Moja przygoda z *Szóstką* zaczęła się koszmarkiem. W 1960 obowiązywały egzaminy wstępne. Niestety, w siódmej klasie praktycznie nie mieliśmy matematyki. Nieustające zastępstwa. Po latach pani sekretarka zdradziła mi, że dostałem ocenę niedostateczną

z matematyki. Uratowała mnie pani polonistka, podobno grożąc odejściem ze szkoły, jeśli „*ten chłopiec, który napisał przepiękną pracę na wolny temat nie zostanie przyjęty*”. Zresztą ten „sukces” powtórzyłem na maturze, jako jedyni na cztery klasy, ja i Czarek Kurpiewski otrzymaliśmy oceny bardzo dobre z tematu wolnego. Co roku mieliśmy laureatów i finalistów olimpiad przedmiotowych. Byłem w jednej z nich.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Wstyd się przyznać, ale nie wagarowałem. Jako jednak nudziłem się w domu, a w *Szóstce* się działo. Uwielbiałem zajęcia z WF-u. Zdobywaliśmy przeróżne mistrzostwa szczecińskich szkół. Jak wielu z nas trenowało w Pogoni Szczecin, kilku - w AZS-ie. *Szóstka*, chyba jako jedyne liceum w Polsce, miała basen, a tam się działy cuda. Co miesiąc chodziliśmy do filharmonii na poranki edukacyjne. Bardzo często organizowano bilety do teatrów. Udało nam się zaprosić na spotkanie do klasy Zbyszka Cybulskiego, były to niezapomniane dwie godziny. Mieliliśmy program „olimpijski”, czyli sport i wysoka kultura.

Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Mimo że minęło 50 lat od matury, nadal pamiętam wszystkich nauczycieli i wiele słów, wskazówek kierowanych do nas. Był to nauczycielski wunderteam. Dla mnie gwiazdą był profesor Henryk Libront. Lekcje historii przypominały niezłe kryminały. Dowiadaliśmy się kto był sprawcą, jakie miał intencje i kto na tym zyskał. Przybliżył nam Pawła Jasienicę i jego narrację historii. Przedstawiał zdarzenie i zadawał pytanie - „co z tego wynika?”. Nie pozwalał przysnąć, trzeba było stale myśleć i być w pogotowiu do dyskusji. Po takich lekcjach bez problemu napisałem egzamin pisemny z historii na bardzo dobry na socjologię na Uniwersytecie Warszawskim. Było nas piętnastu na jedno miejsce i dwie piątki.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Miałem to szczęście, że rodzina, nauczyciele, a następnie wykładowcy uczelniani byli nie tylko autorytetami w przekazywaniu wiedzy, ale również moralnymi. I proste słowa Władysława Bartoszewskiego „warto być przyzwoitym” mam stale w pamięci. Młody człowiek nie kształtuje się z próżni.

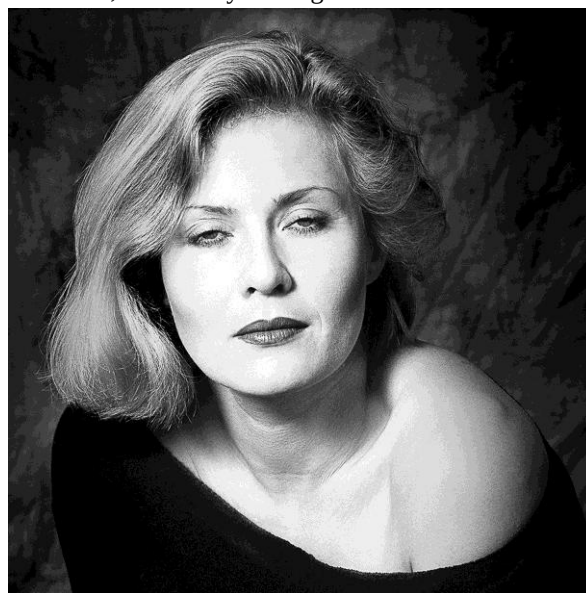
Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

Byłem pasjonatem socjologii. Niestety, po słynnym Marcu 68 zostałem relegowany ze studiów, jak wielu znanych dziś publicznie moich kolegów. Po nieco dramatycznych perypetiach w Polsce, a potem przy przekraczaniu granicy, znalazłem się w samym sercu Praskiej Wiosny. Spotkałem się z niezwykle ciepłym przyjęciem przez wykładowców i kolegów Uniwersytetu Karola. Umożliwiono mi dokończenie studiów filozofii i socjologii. Niestety, sytuacja polityczna zmieniła się diametralnie i nikt z nas nie podjął pracy w zawodzie z powodów politycznych. Pracowa-

liśmy najczęściej fizycznie, co dla wytrenowanego sportowca było niejako przedłużeniem treningów.

Jak zaczęła się Pana przygoda z fotografią?

Wieczory spędzaliśmy czeskim zwyczajem w gospodzie przy piwie, prowadząc inteligencko egzystencjalne dysputy. Czesi są narodem egalitarnym i nikogo nie dziwiło, że przy jednym stole przy piwie biesiadowali wykładowcy i studenci słynnej akademii filmowej FAMU, Akademii Teatralnej i my, filozofowie. W końcu też kupiłem aparat, by lepiej zrozumieć, o co im w tym wszystkim chodzi. Szybko zostałem przez filmowców uznany za talent fotograficzny, a młode aktorki zamawiały się na sesje. Pisałem też krótkie opowiadania, gotowe scenariusze. Wykładowcy namówili mnie na studia reżyserskie. Niestety, nie otrzymałem wymaganej zgody ambasady polskiej, która chciała za dużo wiedzieć o środowisku, w którym się obracam; nie doszliśmy do porozumienia. Nie każdy musi być reżyserem, a ja się dziś spokojnie golę przed lustrem. W 1976 roku wróciłem do Polski. Chciałem podjąć pracę jako socjolog, ofert było sporo. Ale zawsze okazywało się, że mam kancerę w papierach. I dzięki Bogu. Postanowiłem zostać wolnym strzelcem, zawodowym fotografem.

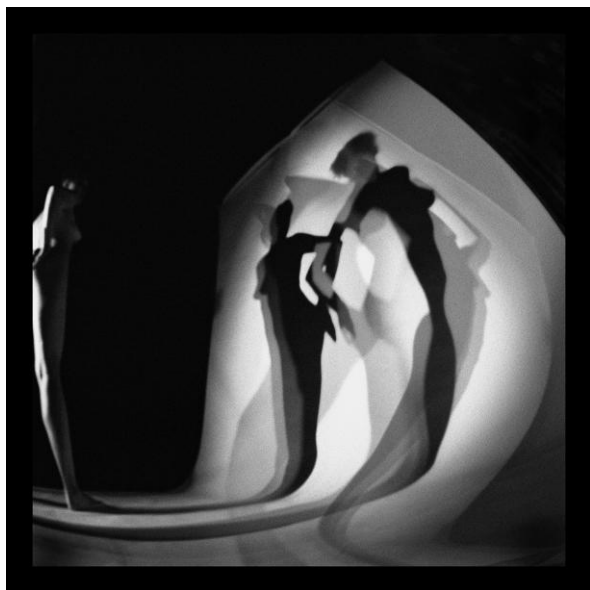


Zdj. Z cyklu AKTORZY Grażyna Szapolowska

Co fascynuje Pana w swojej pracy? Czego uczy człowieka praca z obiektywem?

W pracy dobrze się bawię i jeszcze mi za to płacą. A poważnie, to każdy dzień jest inny, każdy temat zmusza do uruchomienia szarych komórek. Staram się unikać rutyny, nowy temat traktować jak wyzwanie twórcze, jak udział w konkursie. Rywalizację mam w genach. Niemniej zawsze mam z tyłu głowy, że nie jesteś najlepszy i jeszcze wiele przed tobą. Praca z obiektywem daje niezwykłą szansę zbliżyć się do człowieka, odkryć go dla siebie, ale i często dla

niego samego. Wręcz wniknąć w jego podświadomość. Tę umiejętność zdobywa się poprzez ciekawość świata we wszystkich jego przejawach, przez kontakt z kulturą, a także intuicję i tzw. urok osobisty fotografa.



Zdj. Z cyklu *Nagi Cień*

Które projekty uznaje Pan za najciekawsze, najważniejsze? Dlaczego? Może jakieś wspomnienia z projektu *Aktorzy*.

Bez wątpienia projekt *Nagi cień*, który był też moją pracą doktorską obronioną w łódzkiej Filmówce,

jest najbardziej nowatorski w dziedzinie aktu i nie spotkałem niczego podobnego w historii fotografii. Tytuł roboczy *Akt poza kadrem*, kogoś kto nie widział wystawy, powinien zafrapować. Projekt *Aktorzy* jest formalnie bardziej zachowawczy. Intencją moją było zarejestrowanie własnej, subiektywnej prawdy o kondycji psychicznej, intelektualnej, zawodowej portretowanego. Jednym słowem dotrzeć do głęboko ukrytej prywatności, ale też nie zranić. *Aktorzy* zaakceptowali i docenili moje starania.

Jak wygląda praca fotografa i wykładowcy?

Jak ocenia Pan współczesnych studentów?

Praca profesora na uczelni artystycznej umożliwia realizację programu autorskiego. Pozwala na dużą swobodę i indywidualną pracę z młodym utalentowanym człowiekiem. Zmuszam ich do poszukiwania w sztuce siebie i nie toleruję naśladowania profesora, aby go zadowolić. Muszą wypracować własny, indywidualny styl. To piękna przygoda, szczególnie kiedy uczeń przerasta po latach mistrza.

Studenci są tacy sami, jak my kiedyś. No, może nie do końca tak. Są inaczej ubrani i mają laptopy...

Plany, marzenia?

Aby zachować w sobie ciekawość dziecka do końca dni swoich...

Więcej na: www.sachno.pl, zapraszam.

Agnieszka Tałasiewicz

Podatki – przepis na sukces

Agnieszka Tałasiewicz - w *Szóstce* w latach 1986-1990. Prawnik, doradca podatkowy, Partner Zarządzający Kancelarią EY Law. Mieszka w Podkowie Leśnej. Mąż Mieszko, czworo dzieci: Olga (18), Michał (15), Krzysztof (9), Antoni (8).

Jak Pani wspomina pobyt w *Szóstce*?

Czasy naszego liceum wspominam z perspektywy lat bardzo dobrze. Tu poznałam swojego męża i od drugiej klasy liceum jesteśmy parą - 32 lata razem, 25 lat po ślubie, z czwórką fantastycznych dzieci. Najbliższe były mi te przedmioty, które najbardziej lubiłam, czyli matematyka i historia. Wydaje mi się, że prof. Szumocka i prof. Szczepańska były bardzo dobrymi nauczycielkami, które mogły sobie pozwolić na dystans i pewien luz w uczeniu i wychowywaniu nas. Pamiętam, że kiedyś prof. Szczepańska przylapała mnie i mojego męża na grze w szachy w czasie

lekcji. Zadała nam za karę trudne zadania do rozwiązania i kiedy je sprawdziła, postawiła nam czwórki z plusem. I to - dla nas, piątkowych matematyków - była faktycznie dotkliwa i perfidna kara.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Pani w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pani czasów?

Nasza nauka w liceum przypadła na ostatnie lata komunizmu - byliśmy pierwszym rocznikiem, który zdawał maturę w nowej rzeczywistości politycznej i gospodarczej. Paradoksalnie wiele licealnych wspomnień zawdzięczamy „folklorowi” czasów komuny.

Byliśmy z naszym wychowawcą, profesorem Grzesiukiem, na wykopkach, gdzie nasi klasowi koledzy (na czele z moim obecnym mężem) gaśnicami bronili nas przed atakiem młodych mężczyzn ze wsi, w której mieszkaliśmy. Mieliśmy niezapomniane lekcje PO z prof. Małeckim, na których uczyliśmy się strzelać, w wymiarze pozwalającym mi dziś wygrywać konkursy strzelnicze z moimi współpracownikami, również płci męskiej. Mieliśmy swoje białe i czarne protesty manifestujące się strojem całej klasy. Działo się!



Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pani i dlaczego?

Tak jak mówiłam wcześniej, bardzo dobrze wspominam prof. Szumocką i prof. Szczepańską. Natomiast wśród uczniów w sposób naturalny wspominam najbardziej moje dwie przyjaciółki: Anię Zjawieńską i Patrycję Piotrowską (teraz Goździowską). Ania w czasie liceum bardzo interesowała się tańcem towarzyskim - osiągając świetne wyniki - i dziś prowadzi szkołę tańca towarzyskiego. Natomiast z Patrycją - córką znanego himalaisty - rozwijałyśmy swoje młodzieńcze zainteresowanie górami. Naszym dużym licealnym osiągnięciem było przeprowadzenie wywiadu z Wandą Rutkiewicz i jego publikacja w *Głosie Szczecińskim*.

Dlaczego wybrała Pani prawo? Skąd zainteresowanie podatkami? Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pani jest?

W liceum interesowałam się historią oraz matematyką i okazało się, że oba te przedmioty znalazły

swoje połączenie w studiach prawniczych. Matematyka, bo regulacje prawne muszą być logiczne od strony formalnej, a znajomość historii jest naturalnym wymogiem rozpoczęcia studiów prawniczych. Prawo było dla mnie kompromisem pomiędzy bardzo skrajnymi zainteresowaniami i brakiem jednego dominującego talentu. Również dziś wydaje mi się, że prawo to jedno z najlepszych studiów „ogólnokształcących” pozwalających pracować w bardzo różnych dziedzinach. A do podatków przekonała mnie moja ówczesna szefowa, która bardzo barwnie przedstawiła mi przyszłość doradztwa podatkowego, które w połowie lat dziewięćdziesiątych było zupełnie nową profesją. I tak zamiast radcą prawnym czy adwokatem zostałam doradcą podatkowym - jednym z pierwszych, który zdał państwowy egzamin w tym zakresie.

Studia na UJ i w Barcelonie. Co różni uczenie polską od hiszpańskiej? Co Pani dała możliwość studiowania w Krakowie, a co w Barcelonie?

Studia prawnicze na UJ dały mi możliwość rozwinięcia wiedzy na temat polskiego systemu prawa, przy czym była to wiedza teoretyczna. Z kolei studia w Barcelonie miały zupełnie inny charakter - były to studia w szkole biznesowej, czyli bardzo praktyczne. Oczywiście nie bez znaczenia jest to, że studiując tam, byłam już bardziej doświadczona. Dzięki temu, że studiowałam w Polsce, Hiszpanii, czy Holandii mogłam zauważyć, że podstawowa różnica między studiami w Polsce a studiami za granicą polega na tym, że polski system edukacji stawia na teorię, podczas gdy na studiach zagranicznych priorytetem jest praktyka. Choć muszę przyznać, że zauważam pewien rozwój w polskim szkolnictwie. Zatrudniając młode osoby do zespołu, coraz częściej dostrzegam u nich praktyczne umiejętności niezbędne w pracy prawnika, a nie tylko wiedzę teoretyczną.

Dziennik Gazeta Prawna i Rzeczpospolita wielokrotnie uznały Panią za najlepszego doradcę podatkowego w kategorii Spory przed sądami administracyjnymi. To motywuje do dalszej pracy, czy stanowi pewne obciążenie?

Każda z tych nagród jest oczywiście motywująca, ale to, co mnie najbardziej inspirowało w pracy, to pomaganie klientom w trudnych sytuacjach oraz podejmowanie ciekawych projektów z zespołem. Jeśli działania w obu tych zakresach owocują zdobywaniem kolejnych nagród przeze mnie, czy przez EY jako moją firmę, to dla mnie ogromna satysfakcja. Mimo wielu zdobytych tytułów nie mam poczucia, że jestem najlepsza w Polsce, to po prostu daje radość, ale nigdy nie było moim marzeniem. A już na pewno w czasach licealnych nawet mi się nie śniło. Pojawia się oczywiście obciążenie psychiczne, bo fakt, że jest

się utytułowanym prawnikiem i doradcą podatkowym powoduje, że rosną oczekiwania klientów co do skuteczności moich działań w ich sprawach. A przecież wiadomo, że żadne nagrody nie gwarantują wygranej w sądzie. Dlatego nie ulegam tej presji, a prowadząc sprawy swoich klientów, zawsze szukam skutecznych rozwiązań i nigdy się nie poddaję.

Co Panią fascynuje w codziennej pracy? Jak wygląda dzień z życia prawnika?

To, co jest najciekawsze w mojej pracy to rozwiązywanie problemów klientów i faktyczna pomoc w trudnych sprawach. Im bardziej skomplikowana sprawa, tym większą czuję z tego radość. Ale codzienna praca prawnika to nie tylko rozwiązywanie wyjątkowo trudnych spraw i budowanie wyrafinowanej strategii procesowej, jak w amerykańskim filmie. To szereg innych aktywności - od analiz podobnych spraw, którymi zajmowaliśmy się w przeszłości, po dzielenie się swoją wiedzą, poprzez edukację młodzieży czy publikację swoich opinii/komentarzy w mediach, aż po aktywne uczestnictwo w międzynarodowych konferencjach. Każda z tych aktywności jest bardzo ciekawa, ale największa adrenalina pojawia się jednak w sądzie podczas odczytywania wyroku przez sąd.

Jest Pani Partnerem Zarządzającym i Szefem Zespołu Postępowań Podatkowych w EY. Jak udaje się Pani to łączyć z życiem rodzinnym?

Muszę przyznać, że to chyba największe wyzwanie, ponieważ jestem mamą czwórki dzieci. Na szczęście mój mąż, którego poznałam w liceum, podchodzi do mojej pracy z dużą otwartością. Nauczyliśmy się też dobrej organizacji naszego codziennego życia, co przy sześciuosobowej rodzinie nie jest łatwe. Przykładowo, w okresie wakacyjnym, tworzymy tabelę, dzięki której wiemy kto, gdzie i kiedy jest w danym momencie lub ma zaplanowany wyjazd.

Z pewnością można nazwać Panią kobietą sukcesu. Przepis na sukces?

Ważne jest to, aby robić w życiu to, co się lubi, być w zgodzie ze sobą i mieć poczucie, że kształtujemy otaczającą nas rzeczywistość. A dodatkowo trzeba umieć łączyć życie zawodowe i prywatne we właściwej proporcji. Nie wyobrażam sobie mojego życia bez pasji, czyli bez mojego ogrodu, wyjazdów w góry, czy wycieczek rowerowych. To wszystko powinno się uzupełniać.



Mieszko Tałasiewicz

Filozofia łączy wiedzę humanistyczną i naukową

Mieszko Tałasiewicz - ur. w 1973 r., w *Szóstce* w latach 1986-1990. Filozof, profesor nauk humanistycznych, dziekan Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego; mieszka w Podkowie Leśnej. Żona Agnieszka, czworo dzieci: Olga (18), Michał (15), Krzysiek (9) i Antek (8). I pies Jess (10).

Jak Pan wspomina pobyt w *Szóstce*?

Nigdy nie byłem miłośnikiem szkoły jako instytucji edukacyjnej, ani w podstawówce, ani w li-

ceum. Interesowałem się wieloma rzeczami i dużo uczyłem - dzięki czemu miałem z reguły dobre oceny - ale po swojemu. Szkołę starałem się brać w nawias

i żyć poza nią. A jednak to właśnie w szkole spotkało mnie jedno z najważniejszych wydarzeń mojego życia. W *Szóstce* poznałem Agnieszkę Purczyńską, która później została moją żoną i matką czworga moich dzieci. Właśnie obchodzimy 25-lecie małżeństwa, z apetytem na kolejne 25-lecie (i nieśmiałą nadzieją na jeszcze jedno). Chodziliśmy do jednej klasy, wpadliśmy sobie w oko pod koniec pierwszego roku, na jakimś zalesianiu czy jednym z czynów społecznych, do których wtedy zaganiano młodzież. Od listopada w drugiej klasie – to był rok 1987 – byliśmy już parą, z czasem dość rozpoznawalną w skali szkoły, zarówno dzięki coraz dłuższemu stażowi, jak i spektakularnej urodzie Agnieszki, która z burzą rudych włosów sięgających daleko dalej niż do pasa (żeby to zgrabnie ująć), rzadko pozostawała niezauważona. W szkole spędzaliśmy czas na jawnym praktykowaniu różnych akceptowalnych w sferze publicznej form kontaktu cielesnego i na grze w szachy pod ławką. Nie przykładaliśmy się do oficjalnej nauki i raczej staraliśmy się przebywać w szkole możliwie krótko, choćby ze względu na ograniczenia związane z publicznym charakterem szkolnej przestrzeni. Poza szkołą, cóż, nie było tych ograniczeń, a poza tym czytaliśmy książki. Dużo książek.

Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Panu w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pana czasów?

Dobrze pamiętam pierwszą lekcję matematyki. Ze względu na moją prywatną historię szkolną (poszedłem do podstawówki jako sześciolatek, a potem jeszcze przeskoczyłem z 5 do 7 klasy) rozpoczynałem naukę w liceum jako – rocznikowo – trzynastolatek. Nauczycielka przeglądała dziennik, żeby zebrać jakieś informacje o nowych uczniach, nagle przerwała, spojrzała po klasie i zagrzmiała: - A który to taki gówniarz?! Zmartwiałem ze zgrozy, ale cała klasa spojrzała w przeciwną stronę, na cherubinkowatego kolegę. Kiedy w końcu okazało się, że chodzi o mnie, nie bardzo chcieli wierzyć. Z wyraźnie sypiącym się wąsem wyglądałem raczej na jednego z najstarszych w klasie. I temat zniknął. W tamtych czasach nie wierzono dziennikom, zwłaszcza jeśli naoczne doświadczenie mówiło co innego.

Z historią powszechną wiąże się drugie wspomnienie. W trzeciej klasie, wiosną 1989, już po Okrągłym Stole, szkoła szykowała się do obchodów 1 maja. Dyrekcja tradycyjnie i z przyzwyczajenia straszyła nas obniżeniem stopni ze sprawowania za nieobecność na obowiązkowym pochodzie klasy robotniczej, tak jakby zupełnie nie docierało do nich, co się dzieje w kraju. Zapowiedziałem publicznie, że na żaden pochod się nie wybieram, bo to jest dzień usta-

wowo wolny od pracy i zamierzam go spędzić na wycieczce do Puszczy Wkrzańskiej. Co więcej, zacząłem namawiać i organizować kolegów, żeby też się postavili. W trybie karnym wezwano do szkoły mojego Ojca, który zamiast położyć uszy po sobie, oświadczył zdębiałej pani dyrektor, że mocą władzy rodzicielskiej nad nieletnim on mi wręcz zabrania pójścia na ten pochod, a jeśli szkoła ośmieli się wyciągnąć jakiekolwiek konsekwencje dyscyplinarne wobec mnie, pozwie ją do sądu. Przez pewien czas sprawa pozostawała w zawieszeniu, ale potem przyszły wybory czerwcowe i sprawa ucichła. Kiedy rok później zdawałem maturę, po komunie nie było już śladu, a mój Ojciec był kandydatem na wojewodę szczecińskiego w nowym rządzie Tadeusza Mazowieckiego. O pochodzie pierwszomajowym nikt nie wspominał.



Kogo, z uczniów, nauczycieli, wspomina Pan i dlaczego?

Dobrze wspominam prof. Szufranowicza, fizyka, prof. Szczepańską, matematyczkę, i prof. Szumocką, od historii. Prof. Szufranowicz był mi najbliższy, ze względu na moje zainteresowania naukowe, a także z powodu przejawianego przezeń pewnego dystansu do rzeczywistości szkolnej, który bardzo mi odpowiadał. Wyraźnie go mierziło komunistyczne uwikłanie niektórych nauczycieli, z rezerwą też traktował szkolne obyczaje. Kiedy zorientował się, że moje kompetencje w fizyce przekraczają program szkolny, zwolnił mnie z klasówek i w czasie sprawdzianów kazał mi

sprawdzać prace uczniów z innych klas. Czułem jego wsparcie i sympatię i to mi w szkole pomagało.

Prof. Szczepańska była chodzącą dobrocią (choć miewała szorstkie momenty, jak ten, o którym wspomniałem wcześniej). Na swój sposób była wybitnym nauczycielem. Nie interesowała się specjalnie najlepszymi uczniami, ale za to potrafiła znaleźć magiczną drogę do umysłów uczniów słabszych i pokazać im, że wcale nie są słabi, ba, że są całkiem dobrzy. Dzięki niej ludzie, którzy na początku panicznie bali się matmy, zdawali maturę na 4 albo lepiej i szli na studia inżynierskie. To wielkie dzieło. Kto wie, czy społecznie nie jest to ważniejsze niż hodowanie wielkich talentów, o którym się wciąż trąbi. Ma w każdym razie większy wpływ na podniesienie średniego poziomu kompetencji w społeczeństwie.

Prof. Szumocka, Królowa Śniegu, piękna i chłodna, prowadziła historię w bardzo nowoczesny sposób, ukazując w wykładach niemal w uniwersyteckim stylu współzależność historii politycznej, historii idei i historii gospodarczej. Wdrażała nas też do prac quasi-badawczych, skłaniała do poszukiwania i opracowywania źródeł historycznych. W ramach jednego z takich zadań opracowaliśmy z kolegą Oliwerem Poteruchą temat strajków na Wybrzeżu w 1970 roku. Wśród źródeł mieliśmy przechowywane przez moich Rodziców ulotki strajkowe, *Głos Szczeciński* - organ PZPR! - wydany na powielaczu (bo drukarnia strajkowała) i wiele innych niedwuznacznie autentycznych „pamiątek” (Tata był uczestnikiem tych wydarzeń). Zrobiliśmy to naprawdę solidnie, ale zastanawialiśmy się, co prof. Szumocka na to powie. Nic nie powiedziała. Uśmiechnęła się - co było u niej rzadkie - i do końca szkoły starała się nie postawić nam niższej oceny niż 5-. No, jak już nic nie umieliśmy, to 4+. Zdaliśmy w jej oczach egzamin na historyków i nie musieliśmy nic więcej udowadniać.

Z kolegami i koleżankami żyłem w zgodzie, lubiłem ich i myślę, że byłem lubiany. Ze względu na związek z Agnieszką i koncentrację aktywności raczej poza szkołą nie byłem jednak członkiem żadnego ściślejszego kręgu. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się oboje z Patrycją Piotrowską, notabene córką znanego himalaisty Tadeusza Piotrowskiego. Dziewczyny potem studiowały razem prawo w Krakowie, teraz pracują w tej samej branży i do dzisiaj utrzymujemy przyjacielskie stosunki.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pan jest?

Szóstka, przy różnych swoich wadach, które zapewne dzieliła z innymi szkołami tamtych czasów, miała też charakterystyczne dla siebie dobre strony. Jedną z nich było to, że chyba jako jedyna szkoła ze

Szczecina należała do ekskluzywnego ogólnopolskiego Stowarzyszenia Szkół Twórczych, założonego przez dr Danutę Nakoneczną. Nawiasem mówiąc, z tego stowarzyszenia - a w każdym razie z jego ducha - wywodzi się też warszawskie liceum Witkacego, w którym w tym roku rozpoczął naukę mój syn Michał, co sugeruje trwałość preferencji szkolnych w rodzinie... Dzięki tej afiliacji najlepsi uczniowie mogli spotykać się z najlepszymi uczniami innych dobrych szkół na rozmaitych obozach i warsztatach, co wyraźnie poszerzało horyzonty. Szkoły Twórcze współpracowały też z (działającym do dzisiaj) Krajowym Funduszem na Rzecz Dzieci. I właśnie szkole zawdzięczam to, że zostałem stypendystą Funduszu, a to już poszerzyło moje horyzonty bardzo wyraźnie. To był bardzo elitarny klub na skalę ogólnopolską, a jego dawni stypendyści są dziś wśród najwybitniejszych uczonych w kraju. Te doświadczenia skrytykowały moje przekonanie, że powinienem związać swoją przyszłość z nauką.

Dlaczego wybrał Pan swój zawód? Jak do tego doszło?

To, że będę naukowcem, rozumiało się samo przez się od zawsze. To, że zostałem akurat filozofem, zdecydowało się w sumie dość przypadkowo. W szkole interesowałem się fizyką i historią (poza szkołą także biologią, chemią i literaturą), jako stypendysta Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci w maturalnej klasie wzięłem udział w warsztatach fizycznych realizowanych w Instytucie Fizyki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, siłą rozpędu po maturze zdałem na fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Radziłem sobie nieźle, choć bez fajerwerków, ale doskwierało mi to, że - jak się na studiach coraz wyraźniej okazywało - codziennością fizyka nie jest bynajmniej zgłębianie tajemnic przyrody, lecz raczej usilne wdrażanie się do stosowania znanych już ludzkości, ale trudnych i wymagających technik i narzędzi badawczych. Do tego zabrakło mi cierpliwości - i nie byłem gotów na rezygnację ze swoich zainteresowań humanistycznych i pozanaukowych. Agnieszka studiowała w Krakowie i potrzebowałem czasu na pielęgnowanie naszego związku. Z pozostałości musiałem jeszcze wykroić czas na książki i sport. Wakacje spędzaliśmy w górach. Na fizykę po prostu zabrakło miejsca w moim życiu. Filozofię znalazłem zaś jako kierunek, który łączy perspektywę humanistyczną i naukową z umiarkowanym obciążeniem zajęciami. Kiedy tam trafiłem - spodobało mi się, a im głębiej w filozofię wchodziłem, tym bardziej mi się podobała. Miałem dużo szczęścia, że kiedy kończyłem studia (1995), dokonywał się akurat przełom pokoleniowy i od razu miałem szansę na etat na uczelni. Szansę tę dał mi mój

późniejszy promotor i mistrz, prof. Jacek Jadacki, obecnie jeden z nestorów polskiej filozofii i jej najwybitniejszych przedstawicieli. To on miał decydujący wpływ na to, jak potoczyło się moje życie zawodowe.



Co fascynuje Pana w fizyce, a co w filozofii? Która dziedzina jest Panu bliższa i dlaczego?

Cóż, filozofia jest mi znacznie bliższa - uprawiam ją zawodowo od ćwierćwiecza. Fascynuje mnie w niej całkowita wolność intelektualna w połączeniu z żelazną racjonalnością. W filozofii ceni się łamanie paradygmatów - pod warunkiem, że ma się na to dobre uzasadnienie. Nie ma przy tym paradygmatu dobrego uzasadnienia, trzeba więc dobrze uzasadnić, że mamy dobre uzasadnienie... Żeby to zrobić, trzeba wypracowywać własne metody argumentacji, co wymaga twórczej rekonstrukcji sytuacji problemowej w każdym badaniu. Rzecz w naukach szczegółowych zupełnie nieznośna - nie dałoby się tak uprawiać żadnej z nich, w szczególności fizyki. W naukach szczegółowych takie przewartościowanie paradygmatu zdarza się raz na kilka pokoleń i jest dziełem geniuszy, których nazwiska przechodzą potem do historii.

Prof. Szufranowicz wspomniał, że był Pan ciekawym uczniem, ponieważ podchodził do fizyki w filozoficzny sposób. Jak mógłby Pan to rozwinąć?

Nie jestem pewien, czy wiem, co prof. Szufranowicz miał na myśli. Ja sam w szkole jeszcze wcale o filozofii nie myślałem, co więcej - nie miałem o niej zielonego pojęcia (kojarzyła mi się po prostu z marksizmem). Zainteresowałem się filozofią dopiero na studiach. Raczej nie dociekałem w szkole jakichś fundamentalnych kwestii, prędzej mogło chodzić o to,

że oczekiwałem pewnej spójności pomiędzy różnymi porcjami wiedzy. Pamiętam, jak skarżyłem się Szufranowiczowi, że pani od biologii opowiada nam o tym, jak to w procesie fotosyntezy fotony zwalniają w chlorofilu i oddają mu część swojej energii kinetycznej. A gdzie stałość prędkości światła?! - pytałem. A gdzie zasada niepodzielności kwantu energii?! A Szufranowicz wznosił oczy ku niebu, wzdychał i ojcowsko tłumaczył mi, że wprawdzie biologia jako sfera rzeczywistości rządzi się prawami fizyki, ale „biologia” - jako przedmiot szkolny - już znacznie mniej. Powiedziałbym więc, że to raczej prof. Szufranowicz podchodził do sprawy „filozoficznie”.

Kiedyś spotkałam się z opinią, że każdy uczeń szkoły średniej powinien realizować taki przedmiot jak filozofia. Co Pan o tym sądzi?

Na pewno każdy powinien spotkać się z pewnymi elementami filozofii. Po pierwsze, pewne wątki i postacie z historii filozofii należą do kanonu ogólnego wykształcenia. Każdy maturzysta powinien wiedzieć, kto to był Sokrates, Platon, Arystoteles, św. Augustyn, św. Tomasz, Kartezjusz, Hobbes, Kant, Hume, Locke - i powiązać z tymi nazwiskami choćby ogólnikowe charakterystyki ich stanowisk filozoficznych (ja tego po maturze nie potrafiłem). Po drugie, każdy powinien mieć świadomość hipotetycznego charakteru wszelkiej wiedzy naukowej i rozumieć, że kwestionowanie paradygmatów jest warunkiem koniecznym rozwoju każdej dyscypliny: musi dostrzegać wątki filozoficzne w fizyce, biologii czy matematyce. Odrębną kwestią jest to, czy te wątki powinny być realizowane w ramach przedmiotu „filozofia”, czy pozostać rozproszone w programach języka polskiego, historii, WOS, fizyki, matematyki czy biologii. To zależy od konkretnych rozstrzygnięć programowych i od indywidualnych kompetencji nauczycieli. Wyobrażam sobie, że można to zrobić dobrze (lub źle) na oba sposoby.

Na stronie UW można znaleźć informację, że prowadzi Pan seminarium *Wybrane problemy filozofii języka - przegląd współczesnej literatury*. Brzmi ciekawie. Czego ono dokładnie dotyczy?

W różnych latach różnych rzeczy. To jest zaawansowane seminarium (chwilowo zresztą zawieszone ze względu na moje obciążenie organizacyjne związane z funkcją dziekana), na którym pracuje się nad dość szczegółowymi problemami. Najogólniej mówiąc, staramy się ugryźć z różnych stron problem odniesienia przedmiotowego wyrażenia, czyli tego, w jaki sposób inteligibilne sensy wyrażenia mogą reprezentować rzeczywistość pozajęzykową, o której w języku mówimy. Dokładne sformułowanie naszych tematów wymagałoby jednak odwołania się do sporej

porcji wiedzy filozoficznej. W ogólnikowym sformułowaniu może się to wydawać oderwane od życia, a jednak zgłębiamy w ten sposób także podstawy działania automatycznych systemów językowych, co można wykorzystać także w badaniach nad sztuczną inteligencją.

Czy warto studiować filozofię? (powszechne mniemanie - po tym kierunku nie ma pracy).

Zawsze warto studiować to, czym człowiek się pasjonuje. W ten sposób najlepiej rozwijamy swoją osobowość i potrafimy wydobyć z siebie to, co w nas najcenniejsze. Wybór studiów wyłącznie pod kątem liczby gotowych ofert na rynku pracy to jest przepis na wielką życiową porażkę. Jeśli ktoś marzy o filozofii, powinien ją studiować. Zresztą, dobry filozof nie ma problemów z pracą. Na najlepszych, którym odpowiada połączenie umiarkowanych dochodów i ogromnej intelektualnej swobody, czeka kariera

akademicka na międzynarodową skalę - gdyż filozofia polska była i jest solidnie zakorzeniona w globalnym środowisku naukowym. Inni znajdują pracę we wszystkich niemal gałęziach gospodarki (często w roli przedsiębiorców), dzięki niezwyklej umiejętności wychodzenia poza utarte schematy, myślenia „out of the box”. W dzisiejszych czasach ta umiejętność to prawdziwy skarb. Filozof nie dostaje gotowej ciepłej posady - ale jest kimś, kto potrafi wykreować dla siebie zajęcie szyte na miarę.

Plany, marzenia?

Coraz bardziej doskwierają mi obowiązki urzędowe. Chciałbym wrócić do uprawiania filozofii w pełnym wymiarze. Marzy mi się urlop naukowy, wypełniony myśleniem, pisanie i rodzinnym chodzeniem po górach (dla równowagi ciała i umysłu).



Helena Wesółowska

Fascynuje mnie to, co natura sama stworzyła

Helena Wanda Wesółowska (d. Nowysz) - od 1985 r. do chwili obecnej pracuje na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego; zajmuje się systematyką i biologią pajaków skaczących; opublikowała ponad 100 prac naukowych. Pasjonuje się literaturą, malarstwem impresjonistycznym i muzyką poważną.

Jak to się stało, że została Pani uczennicą Szóstki?

Jest rok 1964, właśnie kończę szkołę podstawową i trzeba zdecydować się, jaką następną szkołę

wybrać. Jest dla mnie oczywiste, że będzie to liceum ogólnokształcące, ale które? Wtedy w Szczecinie było ich sześć (tak!). Z mojej podstawówki tradycyjnie większość wybiera liceum nr II. Ponieważ zawsze

byłam indywidualistką, wybieram *Szóstkę*. Czemu – jako powód podaję fakt, że tutaj pierwsza lekcja zaczyna się o godz. 8.20 (najpóźniej w mieście), stąd rano można chwilę dłużej pospać. Prawdziwa przyczyna była taka, że wówczas Szkoła nasza cieszyła się opinią „trzymania” wysokiego poziomu nauczania przedmiotów ścisłych, a te właśnie mnie interesowały. Zdaję egzamin wstępny (tak to się wówczas odbywało) i na kolejne cztery lata staję się uczennicą klasy „a” – z językiem łacińskim.



Jakie zdarzenia z tamtych lat utkwiły Pani w pamięci? Co się w szkole działo ciekawego za Pani czasów?

Szkoła była trochę inna niż dziś. W przyziemiu mieścił się niewielki basen, była duża kuchnia, na zajęciach technicznych uczyliśmy się gotować, była nauka szycia i tym podobnych umiejętności, ale też obróbki metalu. Przerwy często spędzaliśmy na boisku lub w parku. Ten ostatni był też ulubionym miejscem wagarów. Na piętrze obok pracowni fizycznych znajdował się radiowęzeł i na dużej przerwie (trwała 20 min.) koledzy umilali nam czas, odtwarzając ulubione przeboje (*Czerwone Gitary, Karin Stank, Trubadury, Niemen, Beatlesi*). Kiedyś tak się rozochociliśmy śpiewając chórem piosenkę *Cicha woda*, przebój jeszcze z lat 50., że nie chcieliśmy wrócić do klas na lekcje...

Jak Pani wspomina pobyt w *Szóstce*? Kogo z nauczycieli wspomina Pani i dlaczego?

Szkołę wspominam z wielkim sentymentem. Nauczyciele byli różni, jednych bardzo lubiliśmy, innych mniej, ale generalnie byli w porządku. Z rozrównieniem wspominam uwielbianą przez nas łacinniczkę, panią Janiszewską. Starsza już wtedy pani, szczupła i wysoka, popalająca fajkę, potrafiła nas zmrozić samym wzrokiem, podnoszenie głosu było

zbędne. Gdy zaczynała nas „dręczyć” zawilosciami gramatycznymi, w klasie zapadała cisza; naszą niewiedzę kwitowała sarkastycznymi żartami. Kiedy zaś zaczynała opowiadać o starożytnych Rzymianach, ich obyczajach i kulturze, siedzieliśmy zasluchani jak zaczarowani. Bardzo lubiłam świetnego matematyka, pana Pacewicza. Niestety, już po roku porzucił naszą klasę i przedmiot przejął po nim słynny Mynus (nazwisko zamilczę). Nie byłam w stanie zaakceptować metod dydaktycznych, jakie prezentował i nigdy przedtem ani potem do nikogo nie czułam takiej awersji. Mimo wszystko nie zdołał we mnie zabić sympatii do samej matematyki i do dziś twierdzę, że matematyka jest królową nauk. Pomysły, żeby to nie był przedmiot obowiązkowy na maturze uważam za wielką pomyłkę. Dziś, w dobie nieprawdopodobnego rozwoju techniki, nieznamość matematyki to kalectwo. Dobrze wspominam ówczesnego dyrektora Szkoły, pana Ciesiula. Potrafił dyplomatycznie załagodzić każdy spór, a w naszych konfliktach z nauczycielami – bo przecież również się zdarzały – zawsze stawał po naszej stronie. Z innych pracowników mile zapisali się też w mojej pamięci państwo Baczyńscy. Mieszkali na terenie szkoły, pan był „złotą rączką”, a do pani biegaliśmy z przeróżnymi drobnymi kłopotami.

Czy pobyt w tej szkole w jakimś stopniu wpłynął na to, kim Pani jest?

Choć należałam do najliczniejszej grupy uczniów, tzw. „zdolnych leserów”, to szkoła dała mi solidną podbudowę do dalszego kształcenia. W czasach kiedy byłam uczennicą, *Szóstka* była dość luzacką szkołą. Nie obowiązywała tu ostra dyscyplina, dryl był tu nieznanym zjawiskiem. To bardzo niepedagogiczne, co teraz powiem, ale można było w środku dnia nie przyjść na jakąś nielubianą lekcję (oczywiście w granicach rozsądku) i na ogół nie powodowało to reperkusji, pytań dlaczego, itp. Wbrew pozorom, u większości z nas wyrabiała to samodyscyplinę, uczyło odpowiedzialności za swoje wybory. Chcesz się uczyć – jest taka możliwość, nie chcesz – sam zobaczysz co z tego wyniknie i poniesiesz konsekwencje. No i ta wspaniała droga do szkoły; do dziś żartuję, iż fakt, że chodziłam do szkoły pod górkę, zahartował mnie i pozwolił stawiać czoła wszystkim późniejszym trudnościom. Z czasów szkolnych pozostał mi zwyczaj szybkiego chodzenia, na górze osiągałam niezłą prędkość.

Młodość to trudny okres w życiu, wtedy podejmujemy ważne życiowe decyzje, a racjonalnych przesłanek do tego mamy bardzo niewiele. Nasze liceum pomogło mi wybrać dobrze.

**Jak zaczęła się Pani przygoda z biologią?
Skąd zainteresowanie arachnologią?**

Biologia interesowała mnie „od zawsze”. Fascynowało mnie to, co natura sama stworzyła, osiągnięcia człowieka są przy tym bardzo mizerne. Te zainteresowania z pewnością wzmacniali charyzmatyczni nauczyciele. W *Szóstce* działało koło biologiczne, prowadzone przez moją wychowawczynię, panią Janus – tu zawsze działo się coś ciekawego. Stąd potem wybór studiów biologicznych, gdzie spotkałam grupę podobnych zapaleńców. W szkole była sprzyjająca atmosfera dla potencjalnych biologów – jeden z kolegów z mojej klasy jest znanym w świecie badaczem chrząszczy, dziś pracuje w Kanadzie.

To, że zostałam akurat arachnologiem, to trochę przypadek. Moje zainteresowania przyrodnicze były bardzo rozległe. W szkole byłam oczarowana światem roślin, na studiach funkcjonowałam wśród ornitologów (moja praca magisterska dotyczyła ptaków). Jednak gdy podjęłam pierwszą pracę, szukałam zajęcia bardziej kameralnego, dyscypliny mniej terenowej, która pozwoliłaby mi pogodzić pracę i zobowiązania rodzinne. Mój ówczesny szef był arachnologiem i zaraził mnie swoją pasją. Ponieważ – będąc dziewczyną – bardzo bałam się pajaków, stwierdziłam, że to nawet zabawne, a poznanie „wroga” pozwoli mi zwalczyć ten irracjonalny strach. Inna rzecz, że grupa pajaków, którą się zajmuję, jest sympatyczna, są małe, na ogół mierzą zaledwie kilka milimetrów, nie budują sieci łownych, a wiele z nich to przepiękne zwierzęta.

Co fascynuje Panią w swojej pracy? Jak wygląda praca na uczelni?

Praca na uczelni to nie tylko kształcenie studentów, ale też – a może przede wszystkim – praca badawcza. I to ona właśnie daje największą satysfakcję. To jest trochę tak, jakby całe życie zajmować się swoim ulubionym hobby. Odkrywanie czegoś po raz pierwszy, opisywanie gatunków, których dotąd nikt nie znał, obserwowanie z bliska ich uroku i finezyjnej budowy daje niesamowitą frajdę. Z drugiej strony uczy wielkiej pokory i pozwala dostrzec rzeczywistą pozycję człowieka wśród innych istot. Niestety, na uczelni jest też wiele (zbyt wiele) niechętnych obowiązków, nazwijmy je ogólnie administracyjnymi.

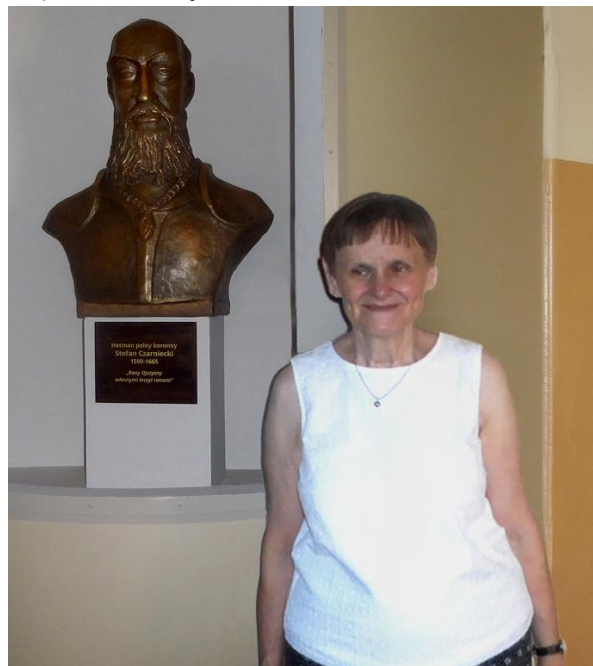
Jak ocenia Pani współczesnych studentów?

Dawniej na studia dostać się było trudno, tylko około połowa mojej klasy maturalnej zdobyła indeksy, niektórzy zdawali egzaminy wstępne na studia (tak, tak) kilkakrotnie. A jeszcze nie wszyscy, którzy zostali studentami pierwszego roku, te studia kończyli, odsiew był znaczny, ok. 30%. A więc studia były elitarne. Dziś, kiedy właściwie każdy może studiować,

niestety obserwujemy dewaluację wykształcenia. Ilość nie przechodzi w jakość, poziom obecnych studentów jest zdecydowanie słabszy. Choć oczywiście i dziś spotyka się jednostki wybitne – i z nimi właśnie my, wykładowcy, pracujemy z radością. Z drugiej strony dziś wielu studentów stara się (lub musi) łączyć studia z pracą, co niestety też nie wpływa korzystnie na ich wiedzę. Ale widzę też, że młodzi ludzie starają się myśleć pragmatycznie o swojej przyszłości, zdobywają wiele innych umiejętności, kończą rozmaite kursy, szkolenia.

Czego człowiek może się nauczyć, obserwując świat pajęczaków? Jakie plany, marzenia ma Pani na przyszłość?

Przyroda zachwyca mnie równie mocno jak w młodości. Pająki to dla mnie takie okienko, przez które dostrzegam piękno świata. Im więcej się dowiadujemy o życiu, tym więcej nowych zagadek do rozwiązania widzimy.



Chciałabym, by ludzie przestali traktować Ziemię instrumentalnie. My nawet nie wiemy, ile gatunków żyje z nami na naszej planecie, a bezrefleksyjnie uniemożliwiamy im egzystencję, przekształcając środowisko, niszcząc lasy, zatruwając wodę i powietrze, zaśmiecając wszystko dookoła. To, co kształtowało się na drodze ewolucji przez kilka miliardów lat, człowiek zniszczył w zaledwie kilka tysięcy lat, a nasze pokolenie odegrało w tym wyjątkowo niechlubną rolę. Chciałabym mieć nadzieję, że ludzie zrozumieją, że zasoby planety są poważnie uszczuplone i trzeba rozsądnie z nich korzystać, że pojemność Ziemi jest ograniczona i trzeba powstrzymać wzrost populacji ludzi (w ciągu ostatnich 70 lat liczba ludzi na Ziemi wzrosła ponad trzykrotnie, jest nas już blisko

8 miliardów). Człowiek jest częścią przyrody i skazując ją na zagładę, wydaje też wyrok na siebie. Moje marzenie – żeby ludzkość się opamiętała, zanim będzie za późno.

Wyjeżdżając na studia byłam pewna, że opuszczę Szczecin tylko na 5 lat. Marzyłam, że może potem zostanę nauczycielką biologii w swoim dawnym liceum... Życie zdecydowało inaczej, nigdy już nie wróciłam tu na stałe. Ale często odwiedzam Szczecin, czasami znajduję czas na spacer w pobliżu szkoły i z nostalgią patrzę na owalne okienko na górze, przy którym lubiłam wystawać. 50 lat po maturze udało się naszej klasie spotkać ponownie. Nie było

łatwo się odnaleźć, część rozproszyła się po świecie, dziewczyny zmieniły nazwiska. Kiedy się rozstawaliśmy w 1968, nie było maili, komórek, portali społecznościowych (naprawdę!) – straciliśmy ze sobą kontakt. Spotkanie było wzruszające, wspominaliśmy zabawne momenty z lat szkolnych, opowiadaliśmy anegdoty o naszych dawnych nauczycielach...

Dziś mogę powtórzyć za Tuwimem:

Szkoło! Szkoło! Gdy cię wspominam,
tęsknota w serce się wgryza,
oczy mam pełne łez!

...*Galia est omnis divisa in partes tres...*

ZŁOTA SETKA ABSOLWENTÓW

Część I

W ramach obchodów 70 rocznicy utworzenia VI LO w Szczecinie zwróciliśmy się do Naszych Absolwentów z prośbą o nominowanie do Złotej Setki ciekawych osobowości spośród Szóstkowiczów. Nie wprowadziliśmy żadnych kryteriów, ponieważ uważamy, że o człowieku mogą decydować nie tylko osiągnięcia naukowe, ale również sportowe, artystyczne, realizowane pasje lub działalność społeczna. Poniżej zamieszczamy listę zgłoszonych absolwentów – w kolejności alfabetycznej.

Nie jest ona ukończona; do setki zostało jeszcze kilkanaście miejsc - czekamy zatem na kolejne zgłoszenia, które opublikujemy.

Spółeczność VI LO

1. **Bernardelli Michał** – ukończył VI LO w 1998 r. Stopnie doktora nauk matematycznych ze specjalnością matematyka stosowana oraz magistra na kierunkach informatyka i matematyka uzyskał na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie pracuje na stanowisku adiunkta w Zakładzie Metod Probabilistycznych Instytutu Ekonometrii Kolegium Analiz Ekonomicznych Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Interdyscyplinarność jego prac naukowych opiera się w głównej mierze na wykorzystaniu aparatu informatycznego i matematycznego do rozwiązywania problemów ekonomii matematycznej. Jego najnowsze publikacje związane są z problematyką Big Data, zastosowaniami modeli Markowa, analizie konwergencji, modelowaniu ekonometrycznemu oraz wykorzystaniu metod numerycznych w naukach ekonomicznych. Realizuje się też w działalności sportowej, pełniąc funkcje m.in. prezesa Klubu AZS SGH, kierownika Centrum Wychowania Fizycznego i Sportu SGH, przewodniczącego Komisji Polskiego Związku Lekkiej Atletyki ds. Biegów Ulicznych i Przełajowych oraz członka zarządu Akademickiego Związku Sportowego.
2. **Białkowska Mira** – ukończyła VI LO w 1969 r. W młodości, z zespołem wokalnym i chórem studenckim, koncertowała w kraju (nagroda na Festiwalu Kołobrzesckim) i poza jego granicami. Pracowała jako pedagog i nauczyciel muzyki, uczyła gry na fortepianie, prowadziła chór i zespół wokalny, zespół fle-tów prostych; zajmowała się profilaktyką uzależnień. Po przejściu na emeryturę zajęła się muzykoterapią i pisanem. Napisała ponad 300 fraszek, kilkadziesiąt wierszy, scenariuszy i tekstów piosenek. Jest członkiem chóru Soli Deo i grupy literackiej Vena w Nowym Dworze Mazowieckim. We *Fraszkowej uczcie* (2016) zamknęła swoje najciekawsze spostrzeżenia na temat naszego życia i nas samych. Píše zarówno dla dorosłych (*Wcale mi nie zależy, O co chodzi?, Nareszcie z górki!*), jak i dla dzieci (*Bajeczki Babci Mireczki*).
3. **Bieńko Franciszka** – ukończyła VI LO w 1964 r. Absolwentka Wydziału Mechanicznego Politechniki Szczecińskiej. Po studiach i wyjściu za mąż [za Jacka Cegielskiego] wyjechała do Gdyni. Przez 14 lat wykładała w Wyższej Szkole Morskiej. W czasie stanu wojennego została wyrzucona z uczelni. Jako jeden z czołowych polskich samorządowców była w latach 1992-94 delegatką do Rady Europy. W 1997 r. została posłem Ziemi Gdańskiej na Sejm RP. Przez dwie kadencje w latach 1990 – 1998 pełniła funkcję prezydenta Gdyni, a od 1999 roku - ministra zdrowia. Jako prezydent Gdyni zaczęła tworzyć nową komunikację miejską, wymieniła przestarzały system zaopatrzenia dzielnic w wodę, oczyściła plażę i otworzyła ją dla mieszkańców i turystów, dokończyła po 25 latach Estakadę Kwiatkowskiego, powołała do życia pierwszy komunalny bank w Polsce. Zmarła w 2000 roku.
4. **Błażejczyk Grzegorz** – ukończył VI LO w 2011 r. Absolwent biologii w SGGW w Warszawie oraz biologii ze specjalizacją z zakresu biologii komórki i organizmu na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracował także w Nematologicznym Centrum Diagnostyczno-Szkoleniowym w Muzeum i Instytucie Zoologii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, gdzie zajmował się preparatyką nicieni. Obecnie pracuje jako nauczyciel biologii w IX Liceum Ogólnokształcącym z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Bohaterów Monte Cassino w Szczecinie. Prowadzi stronę internetową *ciekawabiologia@cba.pl*.
5. **Boruta Dominik** – ukończył VI LO w 1998 r. Radca prawny, absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego. Specjalizuje się w prawie zamówień publicznych i prawie gospodarczym, rozwiązywaniu sporów sądowych i arbitrażowych, prawie obrotu nieruchomościami oraz w prawie podatkowym. Specjalista z zakresu procedury cywilnej i administracyjnej. Partner Kancelarii Prawnej Boruta i Wspólnicy.
6. **Brzoza Włodzimierz** – ukończył VI LO w 1964 r. Absolwent Wydziału Elektroniki na Politechnice Warszawskiej. Doktor inżynier informatyki. W 1976 roku wyjechał do Danii. Ze względów lingwistycznych przyjął nowe imię i nazwisko - Waldemar Birk. Biznesmen, poliglota, przez wielu nazywany człowiekiem renesansu. Pracował jako programista, analityk, potem project manager i handlowiec. Do jego osiągnięć zawodowych należą strategiczne zarządzanie projektem ISZTAR – zintegrowanej taryfy celnej w Polsce, czy współautorstwo m.in. *Strategii implementacji systemu Schengen w Polsce, Strate-*

gii wdrożenia wywiadu kryminalnego w Polskiej Policji i Strategii implementacji systemu zarządzania jakością w laboratoriach DNA Polskiej Policji. Oprócz pracy dla wielkiego biznesu i realizacji projektów informatycznych wartych miliony euro – np. system celny w Danii, czy polski system podatkowy Poltax (gdzie był m.in. pomysłodawcą numeru NIP) był współzałożycielem i prezesem realizującej międzynarodowe projekty Grupy Kapitałowej TenderHut. Zmarł w 2018 roku.

7. **Cieślak Anna** – ukończyła VI LO w 1999 r. Absolwentka wydziału aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. W 2005 zadebiutowała na dużym ekranie rolą w filmie Franco de Peny *Your name is Justine*. Za rolę w tym filmie otrzymała wiele nagród m.in.: Nagrodę Prezydenta Gdyni za Najlepszy Debiut na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni i Nagrodę za główną rolę kobiecą na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mons. W kolejnych latach współpracowała m.in. z Władysławem Pasikowskim, Filipem Bajonem czy Ryszardem Bugajskim. Największą popularność przyniósł jej film *Dlaczego nie!* Ryszarda Zatorskiego, w którym zagrała główną rolę ambitnej i uroczej Małgosi. Karierę teatralną rozpoczęła w 2005 w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie spektaklami *Miarka za miarkę* Szekspira w reżyserii Heleny Kaut-Howson i główną rolą Niny Zariecznej w *Mewie Czechowa*, spektaklu wyreżyserowanym przez Andrzeja Domalika. Później współpracowała z wieloma uznanymi reżyserami m.in. z Eugeniuszem Korinem, Michałem Zadara, Jacquiem Lassallem czy Andrzejem Sewerynem, któremu partneruje na deskach Teatru Polskiego w Warszawie. W 2014 zdobyła nagrodę za najlepszą główną rolę kobiecą w słuchowisku *Salome* w reżyserii Dariusza Błasczyka – na Festiwalu Polskiego Radia i Teatru Telewizji „Dwa Teatry” w Sopocie. Jest ambasadorką Fundacji La Strada, działającej przeciwko handlowi ludźmi i niewolnictwu.
8. **Ćwiek Tomasz** – ukończył VI LO w 1996 r. Absolwent ekonometrii menadżerskiej. Przez krótki czas pracował jako redaktor radiowy, później prezenter telewizyjny (prowadził m.in. główne wydanie *Kroniki* w TVP Szczecin). Był menadżerem aktora Krzysztofa Czczota i znanego szczecińskiego rysownika Henryka Sawki.
9. **Deboa Aleksander** – ukończył VI LO w 1998 r. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego oraz London Institute of English and Technology w Londynie i studiów podyplomowych na Wydziale Ekonomii i Zarządzania Uniwersytetu Szczecińskiego *Zarządzanie Personalem w Firmie*. Prowadzi obsługę prawną przedsiębiorstw z polskim i zagranicznym kapitałem, w tym z branży rolnej i przewozowej. Specjalizuje się w gospodarczych postępowaniach sądowych, prawie kontraktowym i prawie podatkowym. W pracy zawodowej radcy prawnego wykorzystuje doświadczenie nabyte w II Wydziale Cywilno-Odwoławczym Sądu Okręgowego w Szczecinie, gdzie przed odbyciem aplikacji radcowskiej był zatrudniony w charakterze asystenta sędziego.
10. **Dubiński Jacek** – ukończył VI LO w 1971 r. Absolwent Wydziału Budowy Maszyn i Okrętów Politechniki Szczecińskiej; starszy mechanik okrętowy, od 1981 r. – w Polskiej Żegludce Morskiej oraz u obcych armatorów (pływał głównie na tankowcach). Przewodniczący Związku Zawodowego Marynarzy (od 2002), przewodniczący Federacji Związków Zawodowych Marynarzy i Rybaków (od 2004), przewodniczący Zachodniopomorskiej Rady OPZZ. Członek Zespołu Międzynarodowego Centralnej Rady Dialogu Społecznego, członek Zespołu Trójstronnego ds. Żeglugi i Rybołówstwa. Wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Rady Dialogu Społecznego Województwa Zachodniopomorskiego.
11. **Ferber Grzegorz** – ukończył VI LO w 1971 r. Znany szczeciński architekt, wykładowca na Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym, na Wydziale Budownictwa i Architektury. Po roku 1996 - prezes Stowarzyszenia Architektów Polskich (SARP) – Oddział Szczecin, przewodniczący Zachodniopomorskiej Okręgowej Izby Architektów, fundator i prezydent Fundacji *Animatica*, naczelny redaktor i przewodniczący Międzynarodowej Rady Artystycznej pisma *Prezes stowarzyszenia Wielki Szczecin*, prezes Konsorcjum Biur Projektowych *Śródołże*. Pomysłodawca terminu *Śródołże*, którego po raz pierwszy użył w tekście opublikowanym w *Gazecie Wyborczej*, pisząc o spójnej wizji zagospodarowania terenu Łasztowni i przyległych do niej wysp. Wybrane projekty: projekt zagospodarowania terenów dla Akademii Rolniczej w Szczecinie, projekt zagospodarowania terenów dworca Szczecin Główny, projekt zabudowy czterech kwartałów na terenie szczecińskiego Podzamcza

- 12. Gańczak Filip** – ukończył VI LO w 2000 r. Absolwent dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jest dziennikarzem i naukowcem. Tytuł doktora uzyskał w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Autor książek: *Polski nie oddamy. Władze NRD wobec wydarzeń w PRL 1980-1981*, która była nominowana do Nagrody Historycznej im. Kazimierza Moczarskiego, *Filmowcy w matni bezpieczeństwa*, która była nominowana w konkursie Książki Historycznej Roku oraz”. Przez dwa lata był korespondentem *Newsweek Polska* w Berlinie współpracował z niemieckim pismem *Welt am Sonntag*. Publikował w prasie zagranicznej (*Die Welt*) i polskiej (*Polityka*, *Focus Historia*, *Wprost*). Pracuje jako redaktorem w Instytucie Pamięci Narodowej w Warszawie.
- 13. Gil Robert Julian** – ukończył VI LO w 1978 r. Absolwent Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, którą ukończył z wyróżnieniem. Profesor doktor habilitowany. Od 2001 jest kierownikiem Kliniki Kardiologii Inwazyjnej Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie. W latach 1997-2004 pełnił funkcję Przewodniczącego Sekcji Kardiologii Inwazyjnej Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego, a przez następne 3 lata był członkiem jej Zarządu (jako Past-President). Od 2015 r. wchodzi w skład Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Posiada specjalizację z zakresu chorób wewnętrznych II stopnia oraz kardiologii. Ma w swoim dorobku ponad 200 publikacji; współautor 30 rozdziałów książek poświęconych kardiologii interwencyjnej oraz ponad 300 doniesień zjazdowych z zakresu elektrofizjologii klinicznej, niewydolności serca oraz kardiologii inwazyjnej. Współautor wytycznych Asocjacji Interwencji Sercowo-Naczyniowych Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Recenzent naukowy wielu publikacji naukowych w Polsce (*Kardiologia Polska*, *Cardiology Journal*, *Postępy Kardiologii Interwencyjnej*, *Polski Przegląd Kardiologiczny*) oraz za granicą (m.in. *EuroIntervention*, *American Journal of Cardiology*). W 2000 r. uzyskał prestiżowy tytuł Fellow of European Society of Cardiology. Od 2001 roku regularnie bierze czynny udział (ang. Faculty member) w organizowanych na świecie prestiżowych Kongresach (ESC) oraz Warsztatach Kardiologii Interwencyjnej (EuroPCR, TCT, CBS).
- 14. Giżewski Jerzy** – ukończył VI LO w 1978 r. Absolwent Wydziału Lekarskiego Pomorskiej Akademii Medycznej. Doktor nauk medycznych. Autor publikacji Studenckiego Towarzystwa Naukowego PAM na temat Zasad Samodzielnego Badania Piersi u Kobiet, której praktycznym skutkiem było opublikowanie pierwszej w Polsce ulotki instruktażowej dla kobiet o samodzielnym badaniu piersi w profilaktyce nowotworowej. Od 1985 do 2000 roku pracownik naukowo-dydaktyczny w Klinice Ginekologii Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Autor publikacji naukowych z dziedziny ginekologii i położnictwa, kierował szkoleniami podyplomowymi w zakresie diagnostyki i leczenia niepłodności małżeńskiej. Czynnie uczestniczy w krajowych i zagranicznych kongresach naukowych poświęconych ginekologii i położnictwu. Specjalizuje się w nowoczesnej profilaktyce zdrowotnej kobiet, diagnostyce ultrasonograficznej 2-4D, diagnostyce i leczeniu niepłodności małżeńskiej, endokrynologii ginekologicznej oraz nowoczesnym prowadzeniu ciąży.
- 15. Górski Dominik** – ukończył VI LO w 1968 r. Absolwent Akademii Rolniczej w Szczecinie. Do 1988 r. - pracownik instytutów naukowych zajmujących się uprawą roślin. W 1980 wstąpił do *Solidarności*, był członkiem komisji uczelnianej i regionalnej komisji wyborczej. Po wprowadzeniu stanu wojennego organizował pomoc dla ukrywających się działaczy opozycji, zajmował się redakcją drugoobiegowego biuletynu *Z podziemia*. W 1989 był wśród założycieli lokalnego Obywatelskiego Komitetu Porozumiewawczego Ziemi Szczecińskiej, pracował w spółce prawa handlowego. Pełnił funkcję pełnomocnika wojewody, a w latach 1990-1991 członka zarządu miasta Szczecin. Od 1990 do 2002 - radny miejski, w III kadencji - przewodniczący rady miejskiej. Należał do Unii Wolności, kandydował z jej list w wyborach parlamentarnych w 2001 r. Od 1991 - dyrektor Centrum Szkoleniowego Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1998 roku został konsulem honorowym Królestwa Szwecji w Szczecinie.
- 16. Hałas Jacek** – ukończył VI LO w 1976 r. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych, muzykant (akordeon, lira korbowa, flety pasterskie, drumla, fortepian), śpiewak, tancerz, aktor, kompozytor, niespokojny duch. Współtwórca interesujących formacji muzycznych (*Kapela Hałasów*, *Reportaż*, *Bractwo Ubogich*, *Ket Jo Barat*, *Muzykanci*, *Lautari*, *Kwartet Wiejski*, *Schola Węgajty*); uczestnik międzynarodo-

wych projektów artystycznych, teatralnych oraz filmowych (z *A3Teatr*, *Teatr Strefa Ciszy*, *Teatr Cinema*, *Dom Tańca*, *Tikkun*, *Azaran*, *Xięga*, *Vandrelyst*, *Nomadzi Kultury*). Założyciel Domu Tańca Poznań oraz Domu Tańca Szczecin. Zajmuje się tradycjami wędrownych śpiewaków, tańcem korowodowym i wirowym, muzyką tradycyjną Europy wschodniej, działalnością warsztatową i edukacyjną. od lat poszukuje śladów pieśni dziadowskich w żywej tradycji, zapisach etnografów, domowych archiwach. Razem z żoną Alicją jako "Nomadzi Kultury" od 2005 podróżują po Europie z własną Jurtą, gdzie prezentują efekty swych poszukiwań oraz przedsięwzięcia realizowane wspólnie z artystami z całego świata.

17. **Honczarenko Krystyna** – ukończyła VI LO w 1961 r. Neurolog-neuropatolog, profesor w Klinice Neurologii PUM. Wykładowczyni na studiach neurokognitywistycznych w PUM. Była konsultantka wojewódzka w dziedzinie neurologii dla województwa gorzowskiego oraz konsultantka regionalna dla województwa zachodniopomorskiego. Główna inicjatorka powstania Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Chorobą Parkinsona w Szczecinie. Przewodnicząca Oddziału Szczecińskiego Polskiego Towarzystwa Neurologicznego. Zainteresowania naukowe: diagnostyka i leczenie choroby Parkinsona, zmiany w układzie nerwowym w nowotworach narządów wewnętrznych i chorobach układowych tkanki łącznej. Pionierka Szczecina.
18. **Jachimowicz Dariusz** - absolwent z 1985 r. Kulturoznawca, menedżer kultury. Od kilkunastu lat zajmuje się zarządzaniem instytucjami i projektami z zakresu kultury, edukacji i działań pro-społecznych w Polsce i za granicą. Współpracował m.in. z *Fundacją Kultury* w Warszawie, *Teatrem Ósmego Dnia* w Poznaniu, *Fundacją Pogranicze*, *Laboratorium Dramatu*, *Arts Management Training Initiative Scotland* (Herriot-Watt University of Edinburgh). Wspólne projekty realizował m.in. z Fundacją *Muzyka Kresów* z Lublina, *Fondation Marcel Hicter* (Bruksela), *The Felix Meritis Foundation* (Amsterdam), *Stowarzyszeniem Dzieci Holocaustu* w Warszawie, *Forum Kultury Pro Publico Bono*. Kierował *Domem Pracy Twórczej* w Wigrach (2002-2006), koordynował kandydaturę Lublina do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury (2007-2008). Współtwórca Szkoły Zarządzania Kulturą Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie do dziś prowadzi zajęcia ze studentami w zakresie zaawansowanych metod zarządzania i stabilizowania instytucji kultury. Obecnie współpracuje z Biurem Kultury m. st. Warszawy nad budową i rozwojem zintegrowanego systemu informacji o kulturze i wydarzeniach kulturalnych stolicy Polski.
19. **Józwa Robert** – ukończył VI LO w 1979 r. Doktor nauk medycznych; ordynator Oddziału Kardiologii, Kardiologii Inwazyjnej i Intensywnego Nadzoru Kardiologicznego SPWSZ w Szczecinie.
20. **Kazimierski Piotr** – ukończył VI LO w 1989 r. Absolwent Zarządzania Finansami w Zachodniopomorskiej Szkole Businessu oraz Wydziału Nawigacyjnego Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Od 2015 r. Prezes Zarządu Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Baltona S.A. Pełni również funkcje zarządcze w większości spółek zależnych. Przed dołączeniem do Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Baltona S.A. pracował jako Dyrektor Sprzedaży Produktów Skarbowych w Banku Handlowym w Warszawie S.A., gdzie był odpowiedzialny za produkty skarbowe, strukturyzowane i portfel produktów oferowany zamożnym klientom Banku, jak również wprowadzanie nowych usług i produktów. Wcześniej pracował na stanowisku Dyrektora Sprzedaży w SG Securities Polska S.A., zastępcy Dyrektora Sprzedaży w CA IB Securities S.A. oraz Domu Maklerskim BIG.
21. **Klein Zuzanna** – ukończyła VI LO w 2008 r. Absolwentka Akademii Sztuki w Szczecinie na Wydziale Malarstwa i Nowych Mediów. Dyplom zrealizowała w 3. pracowni malarstwa prof. Wojciecha Łazarczyka. W 2017 roku obroniła dyplom magisterski w pracowni prof. Piotra Kurki na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Główne media, w których się porusza to malarstwo poszerzone o video, obiekt, fotografię. Jej przykładowe wystawy to: *Granice malarstwa*, *Uważają nas za żywych*, *Gdyby nie Tapeta*, *Zaczynam powiedzieć od dołu*.
22. **Konieczny Jan** – ukończył VI LO w 1964 r. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W 1972 r. wyjechał do Francji, gdzie ukończył studia na Wydziale Filozofii paryskiej Sorbony (związane doktoratem). Autor wielu naukowych tekstów do różnych specjalistycznych wydawnictw. Bły-

skotliwy erudyta, tłumacz, eseista i poeta. Aktywny działacz Stowarzyszenia im. Jana Pawła II. Redaktor pisma *Polonia en France* oraz autor wielu interesujących artykułów do *Głosu Katolickiego* w Paryżu. Działacz na rzecz zbliżenia Francji i Polski. Od dnia powstania Federacji Polonii Francuskiej pełnił funkcję Członka Krajowej Rady, a w latach 2005-2012 jej Sekretarza. Zmarł w Paryżu w 2013 roku.

- 23. Koryzna Kacper** – ukończył VI LO w 1998 r. Absolwent PAM w Szczecinie, doktor nauk medycznych. W 2010 r. ukończył prestiżowe Curriculum Implantologiczne na Uniwersytecie im. J.W. Goethego we Frankfurcie nad Menem, a w 2013 roku uzyskał najwyższy światowy tytuł w zakresie implantologii stomatologicznej „Master od Science of Oral Implantology”. Tytuł ten przyznawany jest najlepszym światowym implantologom, którzy mogą poszczycić się wybitną wiedzą w zakresie implantologii stomatologicznej oraz bogatym doświadczeniem w tym zakresie. Wykwalifikowany specjalista z wieloletnią praktyką w dziedzinie implantologii, regeneracji i przeszczepach kości oraz protetyce 3D. Jego praca to pasja, którą konsekwentnie realizuje, szkoląc się za granicą (m.in. w Niemczech i Tajlandii) i wykorzystując najbardziej zaawansowane technologie na świecie. W 2017 r. Koryzna Clinic, której jest właścicielem, otrzymała statuetkę Luksusowa Marka Roku.
- 24. Korzeniowski Krzysztof** – ukończył VI LO w 1960 r. Absolwent warszawskiej AWF. Wybitny wioślarz (do 1968 r. reprezentant AZS Szczecin) i trener wioślarstwa. Po Igrzyskach Olimpijskich w Monachium w 1972 r. wyemigrował do Kanady. Przez cztery lata pracował tam z kadrą kobiet. Jego podopieczne zdobyły w 1977 r. pierwsze medale Mistrzostw Świata Seniorów w dwójce i ósemce. Po tych sukcesach przeniósł się do USA i rozpoczął pracę w programie wioślarstwa kobiet na Uniwersytecie Princeton oraz w reprezentacji narodowej USA. Pracował (ze znaczącymi sukcesami) z reprezentacjami takich krajów jak USA, Chiny, Włochy i Holandia (w 1999 r. męska ósemka Holendrów uzyskała najlepszy światowy rezultat). W 2001 r. powrócił do USA i dalej kontynuował pracę z amerykańską reprezentacją. Pracował z wieloma osadami, ale także ustanowił Program Certyfikacji Trenerów i opracował zasady pracy trenerskiej na pierwszym poziomie. Wydał wiele opracowań trenerskich i wyprodukował kilka filmów szkoleniowych dla amerykańskiego wioślarstwa. Od 2010 r. jest Dyrektorem Szkolenia Trenerów Wioślarstwa w USA. W 2016 r. został odznaczony Medalem Za Wybitne Zasługi Dla USRowing.
- 25. Krzeziński Andrzej** – ukończył VI LO w 1968 r. Absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Szczecińskiej; od 1972 r. pracował w Stoczni Szczecińskiej najpierw jako elektryk, później - inżynier gwarancyjny (osoba kontrolująca pracę załogi przy obsłudze urządzeń statkowych), a następnie jako zastępca dyrektora do spraw produkcji w Stoczni Nowa. Zmarł w 2015 r.
- 26. Kubacki Bogusław** – ukończył VI LO w 1996 r. Ukończył szkołę podstawową ze średnią 6,0 na świadectwie jako jedyny w województwie, a w 1996 r. otrzymał złoty medal dla najlepszego maturzysty. Absolwent Wydziału Lekarskiego PAM oraz prawa na Uniwersytecie Szczecińskim. Pracuje jako lekarz rodzinny, a z zamiłowania jest historykiem. Z powodzeniem łączy pracę lekarza z prowadzeniem wykładów z prawa medycznego.
- 27. Kulczycki Piotr** – ukończył VI LO w 1972 r. Absolwent studiów matematycznych w Warszawie, przez kilka lat pracował w Instytucie Maszyn Matematycznych. Trudnił się również metaloplastyką i tokarstwem w drewnie. Założyciel i współwłaściciel firmy informatycznej *BlueSoft* (współpracującej z Orange oraz Zoetisem), a także właściciel firmy *3Oceans Sp. z o.o.*, będącej armatorem żaglowca *STS Fryderyk Chopin* oraz oldtimerów *Polonia* i *Wielkopolska*. Człowiek absolutnie poświęcony edukacji morskiej; jego *Niebieska Szkoła* może być wzorem, jeśli chodzi o pracę edukacyjną. Laureat siódmej edycji (w 2018 r.) Nagrody im. Kapitana Leszka Wiktorowicza, która jest przyznawana za wybitne osiągnięcia w dziedzinie wychowania morskiego.
- 28. Kurzaj Radosław** – ukończył VI LO w 1995 r. Przygodę z fotografią zaczął w latach 80. jako młody chłopak. Rozpoczął od pracy reklamie, potem była architektura, a w końcu to, co najciekawsze, czyli ludzie. W wieku 23 lat nieoczekiwanie trafił do Stanów, gdzie opublikował kilkanaście albumów.

Książki z jego zdjęciami sprzedawane są w Niemczech, Japonii i Wielkiej Brytanii. W Szczecinie zrobiło się o nim głośno, kiedy w 2010 r. w Alei Kwiatowej pokazał wystawę *Początek*, przedstawiającą 150 fotografii osób związanych z Porozumieniami Sierpniowymi. Jest również autorem albumu *4'dimensionHarmony* z pięknymi zdjęciami, ilustrującymi jak powstawał budynek szczecińskiej filharmonii.

29. **Kurzawski Mateusz** – ukończył VI LO w 1996 r. Profesor nadzwyczajny PUM. Z wykształcenia biolog, absolwent Uniwersytetu Szczecińskiego, kierownik Zakładu Farmakologii Doświadczalnej i Klinicznej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Specjalizuje się w badaniach z pogranicza genetyki i farmakologii, a dokładnie: oceną wpływu różnic genetycznych na przebieg leczenia. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Farmakologicznego. Na swoim koncie ma liczne publikacje w pismach z tzw. listy filadelfijskiej. Laureat plebiscytu *Polacy z werwą*.
30. **Kwiecińska Barbara** – ukończyła VI LO w 1973 r. Magister inżynier kapitan żegluga wielkiej. Absolwentka Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Pracowała w PŻM-ie, gdzie uzyskała dyplom starszego oficera; następnie prowadziła wykłady w Akademii Morskiej. Powróciła na morze, zaczynając pracę jako II oficer (małe masowce), a później starszy oficer (chłodniowce). Po uzyskaniu dyplomu kapitańskiego dowodziła chłodniowcem *Dole Kalifornia*. Obecnie - kierownik Zakładu Nawigacji oraz Produkcji ds. Studiów Stacjonarnych Akademii Morskiej w Szczecinie.
31. **Lichota Anna** – ukończyła VI LO w 1992 r. Absolwentka zarządzania i marketingu Uniwersytetu Szczecińskiego, psychologii i socjologii organizacji London School of Economics oraz zarządzania międzynarodowego Uniwersytetu Rushmore (USA), gdzie uzyskała również doktorat, co otworzyło jej drzwi do kariery zawodowej w najważniejszych instytucjach finansowych świata, m.in. w jednym z londyńskich banków inwestycyjnych. Od 1996 r. mieszka w Londynie. Pracowała na wysokich stanowiskach w kilkunastu krajach świata. Obecnie - coach najwyższego szczebla zarządzania pod parolem firmy InsideOut oraz mówca inspiracyjny. Zaangażowana w działalność humanitarną (członkini zarządu The Attlee Foundation i All Bar None, współpracownik londyńskiego oddziału UNICEF, Sarwati Foundation w Nepalu, właścicielka fundacji wspierającej budowę szkół w Nepalu). Prywatnie - zapalona himalaistka. Jako trzecia Polka zdobyła Koronę Ziemi (na Mount Everest weszła w 2010 r.). Za swoje osiągnięcia uhonorowana nagrodą prezesa GE Commercial Finance, nominowana do tytułu Kobiety Roku polskiej prasy w Londynie oraz *Twojego Stylu* w Warszawie. Autorka książki *No i na co ci te góry? O tym jak Korona Ziemi dała mi szkołę życia*.
32. **Limanówka Bartosz** – ukończył VI LO w 2004 r. Absolwent Wydziału Lekarskiego Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, gdzie uzyskał doktorat z zakresu leczenia operacyjnego choroby zwyrodnieniowej odcinka szyjnego kręgosłupa. Lekarz specjalista w Klinice Neurochirurgii i Neurochirurgii Dziecięcej PUM; nauczyciel akademicki w Klinice Neurochirurgii i Neurochirurgii Dziecięcej PUM. Autor lub współautor licznych publikacji w czasopiśmie recenzowanych polskich i zagranicznych. Członek Polskiego Towarzystwa Neurochirurgów i Polskiego Towarzystwa Chirurgii Kręgosłupa.
33. **Majzner Piotr** – ukończył VI LO w 1985 r. Absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Szczecińskiej (specjalność: Aparatura elektroniczna). Od 1990 r. pracownik Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. W 2008 r. otrzymał wyróżnienie w kategorii prac doktorskich Ministra Infrastruktury za najlepszą pracę habilitacyjną, doktorską i inżynierską z dziedziny Transport. Od 1997 r. - członek Państwowej Komisji Egzaminacyjnej ds. operatorów urządzeń radiowych w służbie radiokomunikacyjnej morskiej i żegluga śródlądowej. Jest także członkiem Centralnej Morskiej Komisji Egzaminacyjnej. Publikuje w czasopiśmie naukowych polskich i zagranicznych; bierze czynny udział w Międzynarodowych Konferencjach Naukowo-Technicznych. Obecnie - kierownik Zakładu Komunikacyjnych Technologii Morskich Akademii Morskiej w Szczecinie.
34. **Malkiewicz Anna** – ukończyła VI LO w 1965 r. Absolwentka rolnictwa na Akademii Rolniczej w Szczecinie. Polska sportsmenka, zasłynęła jako strzelczyni w dyscyplinie karabinek sportowy. Ze-

społowa rekordzistka świata i mistrzyni Europy z roku 1971 z Suhl. Indywidualna i zespołowa rekordzistka Polski z roku 1966. Wielokrotna Mistrzyni Polski. Dwukrotnie zaliczana w plebiscycie *Kuriera Szczecińskiego* do grona najlepszych sportowców województwa szczecińskiego. W latach 70. członkini Kadry Narodowej. Otrzymała Złoty Medal za Wybitne Osiągnięcia Sportowe.

- 35. Masacz Wojciech** – ukończył VI LO w 1998 r. Absolwent Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. L. Solskiego w Krakowie. Od 2004 r. występuje w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu (*Azazello* w *Mistrzu i Małgorzacie* w reż. G. Gietzky'ego, Bogumił Niechcic w *Nocach i dniach* w reż. S. Majewskiego, Jacek Soplica w *Panu Tadeuszu* w reż. M. Grzybowski, Tamburmajor w *Woyzecku* w reż. M. Kleczewskiej). Jako lektor współpracował m.in. z telewizją TVN, Radiem Kraków, Radiem Centrum, telewizją Multimedia Amazing.
- 36. Michalski Włodzimierz** – ukończył VI LO w 1968 r. Absolwent polonistyki na Uniwersytecie Poznańskim. Poeta, tłumacz, autor tekstów piosenek i muzyki. Członek Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Twórca kabaretowy i uliczny pieśniarz w wielu miastach Niemiec, Austrii i Szwajcarii. Od 1997 r. we wsi Kąty Bystrzyckie w masywie Śnieżnika, razem ze swoją żoną - malarką Ewą Konikowską, uruchamia Małą Akademię Sztuki *Kąty Siedem i Pół*. Akademia staje się z czasem centrum kulturalnym regionu. Zmarł w 2009 roku.
- 37. Mijał Przemysław** – ukończył VI LO w 1986 r. Absolwent prawa Uniwersytetu Szczecińskiego. Radca prawny, doktor nauk prawnych. W latach 2002-2008 Rzecznik Dyscyplinarny do spraw Studentów Uniwersytetu Szczecińskiego. Członek Prezydium, Kierownik Szkoleń Zawodowych (2010-2013) i Wicedziekan (2013-2016) Rady Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie. Od 2013 r. Członek Krajowej Rady Radców Prawnych. Stały współpracownik Ośrodka Badań, Studiów i Legislacji przy KIRP (2014-2017). Od 2008 r. Członek Komitetu Redakcyjnego kwartalnika *Przegląd Prawa Konstytucyjnego*. Wykładowca na aplikacji radcowskiej, adwokackiej oraz notarialnej. Autor i współautor ponad 60 publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, artykułów oraz wydawnictw dydaktycznych dla studentów i aplikantów radcowskich. Obecnie Dziekan Rady Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie.
- 38. Moskwa Robert** – ukończył VI LO w 1984 r. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Wcześniej przez trzy lata studiował filologię polską na Uniwersytecie Szczecińskim. Jest współzałożycielem i dyrektorem wrocławskiego Teatru K2. Występował we Francji, grając w teatrze *Terre de Scene Int*. Jest zawodnikiem piłkarskiej Reprezentacji Artystów Polskich (RAP). Od siedemnastego roku życia trenuje karate, ma czarny pas Federacji Karate Shotokan oraz Fudokan. W 2014 r. zdobył złoty medal w Pucharze Europy Karate Shotokan NSKF.
- 39. Napieralska Joanna** – ukończyła VI LO w 1981 r. Absolwentka Wydziału Reżyserii Dźwięku Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie. W latach 1994-2006 pracowała w szczecińskim ośrodku Telewizji Polskiej. Od roku 2001 wykładowca Wydziału Reżyserii Dźwięku Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Członek Polskiej Akademii Filmowej i Europejskiej Akademii Filmowej. Dwukrotna laureatka Nagrody za dźwięk na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni oraz laureatka Polskiej Nagrody Filmowej, Orzeł w kategorii najlepszy dźwięk. Pracowała jako asystent operatora dźwięku m.in. przy *Dekalogu* K. Kieślowskiego oraz *Lawie* T. Konwickiego; jako operator dźwięku filmów fabularnych, np. *Różyczka*, *Weiser*, *Ucieczka z kina Wolność* oraz licznych dokumentów, np. *Ostatnia rola*, *Planeta śmieci*. Poza nagrywaniem dźwięku i udźwiękowianiem, zajmuje się również kompozycją dźwięku (np. *Gwiazdor*, *Aleksander Wolszczan*).
- 40. Poncyljusz Wojciech** – ukończył VI LO w 1988 r. Specjalista diagnostyki obrazowej i radiologii. W 2014 r. uzyskał tytuł naukowy profesora nauk medycznych w zakresie medycyny. Pracuje w Zakładzie Radiologii Zabiegowej PUM na stanowisku profesora nadzwyczajnego oraz prowadzi samodzielną pracownię neuroradiologii zabiegowej w szpitalu MSW w Szczecinie, w której wykonuje zabiegi w zakresie wewnątrznaczyniowego leczenia tętniaków mózgu i innych wad naczyniowych CUN oraz wczesnej fazy niedokrwiennego udaru mózgu. Przewodniczący Sekcji Neuroradiologii Zabiegowej Polskie-

go Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego, aktywnie działa na rzecz rozwoju zabiegów endowaskularnych w Polsce, organizując i wprowadzając nowoczesne metody diagnostyki i leczenia przezskórnego z zakresu radiologii i neuroradiologii zabiegowej. Pierwszy w Polsce wprowadził, zastosował i opublikował możliwości skutecznego leczenia ostrej fazy udaru niedokrwionnego mózgu technikami wewnątrznaczyniowymi. Jest recenzentem kilku radiologicznych czasopism o zasięgu międzynarodowym z IF i członkiem redakcji Polish Journal of Radiology. Członek The European Society of Minimally Invasive Neurological Therapy (ESMINT), Cardiovascular and Interventional Radiological Society of Europe (CIRSE) oraz European Congress of Radiology (ECR).

41. **Popławski Adam** - absolwent z 2007 r. Adwokat, absolwent prawa na Uniwersytecie Szczecińskim; członek Europejskiego Stowarzyszenia Adwokatów Karnych (European Criminal Bar Association), profesjonalny mediator - zajmuje się pozasądowym rozwiązywaniem sporów z zakresu prawa cywilnego, gospodarczego i rodzinnego.
42. **Potas Daniel** – ukończył VI LO w 1993 r. Polski muzyk, kompozytor, autor tekstów oraz instrumentalista klawiszowiec. Pasjonat oraz twórca muzyki filmowej i ilustracyjnej. Członek Akademii Fonograficznej ZPAV. Współzałożyciel zespołu *Moonlight*. Właściciel działającego od 20 lat studia nagrań Elvis van Tomato, zajmującego się multimediami i postprodukcją dźwięku. Współpracuje z wydawcami i producentami gier komputerowych, twórcami audiobooków czy multimediiów komercyjnych.
43. **Potemkowski Andrzej** - ukończył VI LO w 1972 r. Specjalista neurolog - autor wielu publikacji i rozdziałów podręczników na temat otępień i stwardnienia rozsianego. Redaktor książki *Psychologiczne aspekty stwardnienia rozsianego*. Członek Komitetu Doradczego Polskiego Towarzystwa Stwardnienia Rozsianego, Rady Naukowej IPiN, od 2008 profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Szczecińskiego i kierownik Zakładu Psychologii Klinicznej i Psychoprofilaktyki Instytutu Psychologii. Od 2005 roku członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, a od 2017 roku v-ce Prezes. W plebiscycie szczecinian został wybrany Lekarzem Roku 2013. Prezes Stowarzyszenia na rzecz wspierania wiedzy o chorobie Alzheimer. Organizator wielu konferencji naukowych, m.in. Szczecińskich Dni Alzheimerowskich oraz Dnia Mózgu w Szczecinie. Pasjonat sztuki nowoczesnej, fotografii, podróży.
44. **Proskurowski Andrzej** – ukończył VI LO w 1961 r. Absolwent Politechniki Warszawskiej (1967) i Royal Institute of Technology w Sztokholmie (doktorat w 1974). Specjalista w dziedzinie algorytmów graficznych i kombinatorycznych. Wykładowca informatyki na University of Oregon. Współpracuje z ośrodkami naukowymi z Australii, Kanady, Danii, Finlandii, Francji, Niemiec, Hongkongu, Islandii, Izraela, Włoch, Meksyku, Holandii, Norwegii, Polski, Hiszpanii, Szwecji i USA.
45. **Ramęda-Pilip Joanna** – ukończyła VI LO w 1998 r. Absolwentka prawa Uniwersytetu Szczecińskiego (w czasie studiów - jeden semestr zaliczony na Uniwersytecie w Bari we Włoszech w ramach programu Erasmus, a jeden - na Uniwersytecie Warszawskim w ramach programu Most). Od 2010 r. prowadzi własną kancelarię notarialną w Szczecinie.
46. **Sachno Sergiusz** – ukończył VI LO w 1964 r. Urodził się w Chinach. Do marca 1968 studiował socjologię na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie filozofię i socjologię na Uniwersytecie Karola w Pradze, którą ukończył w 1970 r. Fotografiją zajmuje się od 1972 roku. Prace prezentował na kilkudziesięciu wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju oraz uczestniczył w wielu pokazach fotografii za granicą, m.in. w Sydney, Tokio, Montrealu, Toronto, Nowym Jorku, Vancouver, Pradze, Amsterdamie i Berlinie. Specjalizuje się w fotografii portretowej, teatralnej, mody i ogólnie reklamowej. Twórca licznych plakatów, okładek płytowych, książkowych i programów teatralnych. Autor wystawy *Stulecie Polaków*, eksponowanej w 1999 r. na Zamku Królewskim w Warszawie (a następnie w wielu krajach europejskich oraz albumu pod tym samym tytułem) oraz wystroju fotograficznego hotelu Hyatt w Warszawie. Twórca performance i działań około teatralnych. Fotografie publikuje w prasie zagranicznej; współpracuje z czasopismami *Film*, *Kino*, *Scena*, *Twój Styl*, *Pani*, *Uroda* i wiele innych. W 1979 r. otrzymał od Jacques'a Chiraca Medal miasta Paryża za fotografię; jest laureatem wielu na-

gród i wyróżnień z całego świata. W 2007 r. otrzymał odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej. Od 1979 r. - członek Związku Polskich Artystów Fotografików. W 2008 roku otrzymał tytuł doktora sztuki filmowej w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. W latach 2012-2018 zatrudniony na stanowisku profesora w Wyższej Szkole Sztuki i Projektowania w Łodzi.

47. **Sagan Leszek** – ukończył VI LO w 1984 r. Absolwent Wydziału Lekarskiego PAM. W 1996 r. uzyskał [Dyplom Komisji Edukacyjnej dla Zagranicznych Absolwentów Medycyny](#), który umożliwia wykonywanie zawodu lekarza w [USA](#). W 1997 obronił rozprawę doktorską, a rok później z wyróżnieniem zdał egzamin specjalizacyjny II st. z neurochirurgii i neurotraumatologii. Był stażystą m.in. w [Klinice Neurochirurgii Uniwersytetu Arizony](#). W USA szkolił się w wykonywaniu procedur operacyjnych neurochirurgii dziecięcej (neuroendoskopia, operacje ścieśnienia czaszki, operacyjnego leczenia spastyczności oraz lekoopornej padaczki). W 2000 r. wrócił do Polski i pracował jako asystent w Klinice Neurochirurgii PUM. Pionier wprowadzania wielu technik operacyjnych (np. *endoskopowego stentowania wodociągu, operacji ścieśnienia czaszki, przeznasadowej stabilizacji złącza szczytowo-obrotowego*) oraz rzecznik wzmocnienia współpracy na polu pediatrycznym, chirurgii [podstawy czaszki](#), genetycznym i [endokrynologicznym](#). Przewodniczący Zachodniopomorskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Neurochirurgów, konsultant ds. neurochirurgii przy wojewodzie zachodniopomorskim; przewodniczący Oddziału Północnego Polskiego Towarzystwa Chirurgii Kręgosłupa. Kierownik Oddziału Klinicznego Neurochirurgii i Neurochirurgii Dziecięcej, organizator pierwszego w Polsce centrum leczenia [spastyczności](#). Przeprowadził wiele unikatowych w skali kraju operacji; jest ordynatorem oddziału neurochirurgii dla dzieci i dorosłych w SPSZOZ "Zdroje". W 2014 r. otrzymał tytuł [profesora nadzwyczajnego](#) PAM. Od 2015 r. członek Komitetu Nauk Neurologicznych PAN, a od 2018 r. - kierownik ponadregionalnego Centrum Leczenia Padaczek Lekoopornych. Jego kariera naukowa obejmuje autorstwo lub współautorstwo licznych prac krajowych i zagranicznych. Jest recenzentem w czasopiśmie europejskim neurochirurgii dziecięcej *Childs Nervous System*. W latach 2008-2011 był członkiem Komisji Badań Środkowoeuropejskich nad Jakością Życia po Implantacji Sztucznego Dysku Szyjnego (Prestige), a wprowadzane przez niego operacje złożonych wad złącza kręgowo-podstawnego wykonywane były jeszcze tylko w kilku nielicznych ośrodkach w Europie. Został uhonorowany Odznaką *Zasłużony Lekarz* oraz Złotym Medalem [Za Zasługi dla Obronności Kraju](#). W 2016 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Szczecina.
48. **Salamon Robert** – ukończył VI LO w 1984 r. Doktor nauk medycznych. Specjalista chirurgii ogólnej, specjalista organizacji ochrony zdrowia wojsk. Pracuje w 109 Szpitalu Wojskowym w Szczecinie na Oddziale Chirurgii Ogólnej; jest zastępcą komendanta ds. lecznictwa z SW w Szczecinie oraz rzecznikiem prasowym szpitala. Często bierze aktywny udział w spotkaniach zrzeszających ze sobą lekarzy tej samej specjalizacji (konferencje, sympozja czy zjazdy naukowe, organizowane zarówno na terenie całej Polski, jak i poza jej granicami).
49. **Słojewski Marcin** – ukończył VI LO w 1983 r. Absolwent Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. W 1996 r. uzyskał specjalizację II st. z zakresu urologii i rozpoczął pracę w Klinice Urologii i Onkologii Urologicznej PUM, a w 2015 r. uzyskał tytuł profesora. Kierownik Katedry i Kliniki Urologii i Onkologii Urologicznej PUM w SPSK Nr 2 w Szczecinie. Jest wybitnym specjalistą w przeprowadzaniu zabiegów laparoskopowych, będąc jednocześnie jednym z pionierów tej techniki w Polsce. Swoje umiejętności doskonalił, biorąc udział w licznych stażach i kursach, zarówno w kraju, jak i za granicą (Niemcy, Francja, USA, Anglia, Norwegia, Szwajcaria, Włochy). Jest autorem i współautorem wielu prac naukowych poświęconych zagadnieniom urologicznym. Jego prace prezentowane były podczas wielu kongresów naukowych na całym świecie. Aktywny członek Polskiego Towarzystwa Urologicznego oraz Europejskiego Towarzystwa Urologicznego. Przez 4 lata pełnił również funkcję Przewodniczącego Sekcji Endourologii i ESWL Polskiego Towarzystwa Urologicznego. Współautor i pomysłodawca pierwszego w Polsce *Atlasu Laparoskopii Urologicznej*.
50. **Smolik Remigiusz** – ukończył VI LO w 1989 r. Architekt, stypendysta uczelni w Holandii, studia ukończył w 1994 r. na Politechnice Szczecińskiej, otrzymując główną nagrodę SARP za najlepszy dy-

plom w Polsce. W 1997 r. uzyskał uprawnienia do projektowania, a w 2007 r. - tytuł rzeczoznawcy budowlanego. Pierwszą pracę podjął w uznanym biurze Karalse van der Meer Architecten w Holandii, a kontynuował w najlepszych biurach architektonicznych w Szczecinie i Warszawie. Członek Zachodniopomorskiej Okręgowej Izby Architektów. Znany m.in. z realizacji: dom *Pod papugami* - letnia rezydencja nad brzegiem Bałtyku (główna nagroda za realizację z 2005 r.), centrum handlowo-usługowe *Turzyn*, promenada nad Jeziorem Miedwie.

- 51. Soska Krzysztof** – ukończył VI LO w 1983 r. Absolwent Akademii Teologii Katolickiej (Instytut Studiów nad Rodziną) w Warszawie; zarządzania i marketingu na Politechnice Szczecińskiej oraz psychologii zarządzania w Zachodniopomorskiej Szkole Biznesu. Uzyskał dyplom Master of Business Administration (MBA). Dziennikarz radiowy i telewizyjny (m.in. prowadził wywiady z politykami). W latach 1993 - 1996 był dziennikarzem i redaktorem naczelnym katolickiego Radia AS (późniejsze Radio Plus Szczecin), do 2004 r. pracował jako publicysta w Polskim Radiu Szczecin (m.in. prowadził *Kawiarenkę polityczną* i *Rozmowy dnia*). W latach 2003-2006 współpracował z telewizją (TVP1 i TVP3 Szczecin), prowadząc programy publicystyczne i debaty polityczne. W 2006 r. został prezesem Polskiego Radia Szczecin. W latach 2010-2011 zastępca Prezydenta Miasta Szczecin ds. kultury, sportu, pomocy społecznej i zdrowia. Od 2012 r. Pierwszy Zastępca Prezydenta odpowiadający za koordynowanie i integrację działań w sferze społecznej, a w tym: oświatę, pomoc społeczną, ochronę zdrowia, działania na rzecz osób niepełnosprawnych, współpracę z organizacjami pozarządowymi, kulturę, ochronę konserwatorską zabytków, sport, udzielanie zamówień publicznych w zakresie związanym z powierzonymi zadaniami oraz merytoryczny nadzór nad spółkami z udziałem miasta w zakresie związanym z powierzonymi zadaniami.
- 52. Spychalski Grzegorz** – ukończył VI LO w 1978 r. Absolwent Wydziału Zootechnicznego Akademii Rolniczej w Szczecinie. Tytuł doktora habilitowanego nauk ekonomicznych otrzymał w 2000 r. na Wydziale Ekonomiczno-Rolniczym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. W latach 1985-1994 odbył staże naukowe w Wielkiej Brytanii, Irlandii Północnej i Szwecji. W 2006 r. otrzymał tytuł profesora nauk ekonomicznych. Był między innymi dyrektorem Instytutu Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich w Poznaniu oraz wiceprezesem Stowarzyszenia Ekonomistów Rolnictwa i Agrobiznesu. W latach 2006–2007 piastował funkcję prezesa Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Profesor zwyczajny Katedry Ekonomii Politechniki Koszalińskiej oraz Katedry Ekonomii Wydziału Ekonomicznego ZUT w Szczecinie. Specjalista w zakresie ekonomiki gospodarki żywnościowej, polityki społeczno-ekonomicznej i transformacji systemów gospodarczych. Zajmował się restrukturyzacją państwowego rolnictwa w Polsce z uwzględnieniem ewolucji organizacyjno-własnościowej i konsekwencji społecznych takich działań. Autor lub współautor ponad 200 prac naukowych, w tym wielu publikacji w czasopiśmie zagranicznych. Ekspertem Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju, wykładowca w programie *Rynek rolny* oraz ekspert krajowy w programie szkoleniowym rządu duńskiego dla nauczycieli ekonomii. Uczestniczył jako ekspert w debatach na temat przyszłości Unii Europejskiej. Zmarł w 2016 roku.
- 53. Szaj Tomasz** – ukończył VI LO w 1994 r. Absolwent prawa Uniwersytetu Szczecińskiego. W 2002 r. złożył egzamin sędziowski z oceną celującą. Pracował m.in. jako sędzia Sądu Rejonowego Szczecin-Prawobrzeże i Zachód w Szczecinie. Ukończył studia podyplomowe dla sędziów z zakresu prawa europejskiego, prawa cywilnego oraz organizacji i zarządzania w wymiarze sprawiedliwości. Wielokrotnie delegowany do orzekania w Wydziale II Odwoławczym Sądu Okręgowego w Szczecinie. Zajmuje się sprawami cywilnymi, gospodarczymi, rodzinnymi oraz z zakresu prawa pracy i ubezpieczeń społecznych. Obecnie - rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Szczecinie.
- 54. Szykaruk Paweł** – ukończył VI LO w 1983 r. Absolwent Ekonomiki i Organizacji Transportu Morskiego Uniwersytetu Szczecińskiego. Od chwili zatrudnienia w PŻM, w 1989 roku, na stanowisku inspektora ds. eksploatacji w Dziale Eksploatacji Średniego Tonażu stopniowo awansował. W latach 90-tych oddelegowany został do pracy w zagranicznych spółkach PŻM: Polascamar Genua oraz Polhansa Hamburg. Po powrocie do kraju objął stanowisko dyrektora Zakładu Trampingu Europejskiego PŻM, a następnie zastępcy dyrektora Zakładu Eksploatacji Floty. W 2005 r. został dyrektorem generalnym

PŻM. W 2008 r. otrzymał Wektora - nagrodę Konfederacji Pracodawców Polskich. Został wyróżniony za skuteczne przywracanie sławy Polskiej Żegludze Morskiej oraz za dokonania na rzecz rozwoju floty morskiej i realizację niezwykle ambitnego programu inwestycyjnego PŻM. Angażował się w działalność m.in.: Rady Pracodawców RP, Związku Armatorów Polskich, Rady Dyrektorów Instytutu Siarki w Waszyngtonie, European Community Shipowners Association, Krajowej Izby Gospodarki Morskiej oraz Rady Gospodarczej przy Prezydencie Miasta Szczecin. Od 2017 r. jest dyrektorem Żegludgi Świnoujskiej, która zajmuje się dwoma przeprawami promowymi przez Świnę.

55. **Talasiewicz Agnieszka** – ukończyła VI LO w 1990 r. Absolwentka prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz licencjonowany doradca podatkowy od 1998 r. Ukończyła studia na IESE Business School w Barcelonie w ramach Advanced Management Program. Partner Zarządzający Kancelarią EY Law. Kieruje również pracami Zespołu Postępowań Podatkowych i Sądowych w Dziale Doradztwa Podatkowego EY. Specjalizuje się w prawie publicznym gospodarczym i pomocy publicznej dla przedsiębiorców w powiązaniu z zagadnieniami prawa podatkowego. Kieruje multidyscyplinarnymi zespołami obsługującymi klientów w zakresie zagadnień prawnych, podatkowych oraz pomocy publicznej. Każdego roku jest pełnomocnikiem w ok. 40 wygranych sprawach podatkowych, w tym wielu precedensowych lub przełomowych. Autorka książki nt. prawnych i podatkowych aspektów pomocy publicznej w ramach specjalnych stref ekonomicznych, redaktorka komentarza do Ordynacji podatkowej, a także artykułów prasowych w mediach polskich i międzynarodowych. Od 2014 r. - członkini Rady Konsultacyjnej Prawa Podatkowego przy Ministrze Finansów, wiceprzewodnicząca Rady ds. Podatków Lokalnych. W Rankingu Firm i Doradców Podatkowych *Dziennika Gazety Prawnej* kilkakrotnie została zaliczona do grona najlepszych doradców podatkowych w kategorii spory sądowe, a w 2015 r. zajęła drugie miejsce wśród najlepszych doradców w kategorii podatki lokalne. W IX Rankingu Firm Doradztwa Podatkowego *Rzeczpospolitej* w 2015 r. zdobyła tytuł lidera w dziedzinie postępowań podatkowych. W 2016 r. znalazła się w gronie najbardziej wpływowych osób w polskim prawie, (według miesięcznika *Gentleman*).
56. **Talasiewicz Mieszko** – ukończył VI LO w 1990 r.. Filozof, profesor nauk humanistycznych, dziekan Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 2001-2015 był redaktorem naczelnym prestiżowego czasopisma *Filozofia Nauki*. Autor książek *Pojęcie racjonalności nauk empirycznych*, *Filozofia składni* oraz licznych artykułów w czasopismach polskich i zagranicznych. Specjalizuje się w dziedzinie semiotyki logicznej, filozofii nauki i ontologii. Prywatnie - syn Marka Talasiewicza, byłego wojewody zachodniopomorskiego.
57. **Tujaka Stanisław** – ukończył VI LO w 1962 r. Absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej. W 1968 r. podjął pracę w Przemysłowym Instytucie Telekomunikacji w Gdańsku, a w 1992 r. uzyskał tytuł doktorski. W latach 2002 – 2007 pracował w międzynarodowym biurze projektów przy Kwaterze Głównej NATO w Brukseli jako specjalista w dziedzinie radiolokacji.
58. **Wąs Dariusz** – ukończył VI LO w 1983 r. Absolwent Wydziału Budownictwa Lądowego [Politechniki Szczecińskiej](#); ukończył studia podyplomowe [MBA](#), Strathclyde University Glasgow oraz Gdańskiej Fundacji Kształcenia Managerów. Absolwent studiów podyplomowych *Psychologia w Zarządzaniu*. Przez wiele lat prowadził działalność gospodarczą oraz zajmował stanowiska kierownicze, m.in. w Prywatnej Kasie Chorych MEDIMAX, Erison Consulting, Group 4 Falck; kierował obsługą klientów kluczowych w [Macro Cash and Carry](#). Prowadził własną działalność gospodarczą w zakresie realizacji projektów [business-to-business](#) dla podmiotów polskich i zagranicznych oraz badań rynku. W latach 2011-2013 [Zastępca Prezydenta Miasta Szczecin](#). Był członkiem [Rady Nadzorczej](#) Zakładu Utylizacji Odpadów oraz Rady Nadzorczej [Polskiego Radia Szczecin](#). Od 2018 r. dyrektor operacyjny stoczni Poltramp Yard S.A.
59. **Wesołowska Helena** – ukończyła VI LO w 1968 r. Absolwentka biologii na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu (zaangażowana w prace studenckiego Koła Naukowego Przyrodników, publikuje swoje pierwsze doniesienia naukowe z dziedziny ornitologii). W 1973 podjęła pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Siedlcach, gdzie rozpoczęła badania arachnologiczne nad pająkami z ro-

dziny skakunów. Od r. 1985 do chwili obecnej pracuje na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego. W 2009 r. uzyskała tytuł profesora. Zajmuje się systematyką i biologią pajaków skaczących; opublikowała ponad 100 prac naukowych (również artykułów w prasie zagranicznej). Współpracuje z badaczami z wielu krajów. Członkini Polskiego Towarzystwa Taksonomicznego; Polskiego Towarzystwa Zoologicznego; African Arachnological Society oraz International Society of Arachnology.

60. **Wielopolski Wojciech** – ukończył VI LO w 1968 r. Absolwent Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracownik naukowy na polonistyce, gdzie obronił doktorat, specjalizując się w dziedzinie współczesnej literatury polskiej, a zwłaszcza okresu lat 50-tych XX wieku. Autor książki *Młoda proza polska przełomu 1956* opisującej dramatyczne okoliczności krystalizowania się nowego pokolenia literackiego z Markiem Hłaską w roli głównej. W tomie *Filologiczne demony Wojciecha Wielopolskiego* zebrał liczne artykuły z dziedziny nowomowy, autobiografizmu oraz innych zagadnień literatury polskiej XX wieku. Oddany pracy dydaktycznej, promotor setek prac licencjackich oraz magisterskich. W latach 1993-2018, będąc kolejno Prodziekanem, a następnie Kierownikiem Studiów Niestacjonarnych Filologii Polskiej stworzył ich nowoczesną modelową formułę, z powodzeniem funkcjonującą do dzisiaj.

61. **Wolszczan Aleksander** – ukończył VI LO w 1964 r. Absolwent astronomii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu (tam również uzyskał doktorat w 1975 r). Do 1979 r. pracował na UMK, potem w Centrum Astronomicznym PAN w Toruniu. W 1983 r. nawiązał współpracę z amerykańskimi uniwersytetami (w Cornell i w Princeton). W *Obserwatorium Arecibo* współpracował z Josephem H. Taylorem Jr, który w 1993 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki za odkrycie nowego typu pulsarów. W autorskiej części badań [Wolszczan] zaobserwował i zinterpretował sygnały radiowe z milisekundowego pulsara PSR 1257+12 (Gwiazdozbiór Panny), odkrywając pierwsze 3 planety nienależące do Układu Słonecznego. W 1995 r. habilitował się z astronomii na UW, a w 2008 r. otrzymał tytuł naukowy profesora. W lutym 2005 r. ogłosił na konferencji w Aspen w Kolorado, że (wraz z Maciejem Konackim) odkrył czwartą planetę w tym układzie. W 2007r. (wraz z grupą polskich astronomów, kierowaną przez Andrzeja Niedzielskiego) odkrył planetę HD 17092 b, krążącą wokół gwiazdy HD 17092. Od 1992 r. prowadzi badania i wyklada (jako profesor astronomii i astrofizyki) na Uniwersytecie Stanowym w Pensylwanii; w latach 1994-2008 wykładał też na swej macierzystej uczelni. Był inicjatorem utworzenia w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Szczecińskiego Zakładu Astronomii i Astrofizyki i objął honorowe kierownictwo tego zakładu. Członek wielu stowarzyszeń naukowych, m.in.: Polskiej Akademii Nauk, American Astronomical Society, American Association for the Advancement of Science, International Union of Radio Science, International Astronomical Union, Polish Institute of Arts and Sciences of America. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1998 r. znalazł się też na liście 25 odkrywców wszechczasów, opublikowanej przez pismo *Astronomy*, a w 1999 r. został uznany przez *Nature* za autora jednego z 15 fundamentalnych odkryć z dziedziny fizyki. W 2006 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Szczecin. W 2007 r. powstał film dokumentalny w reż. Jana Sosińskiego pod tytułem *Gwiazdor – Aleksander Wolszczan*.

62. **Zajkowski Jerzy** – ukończył VI LO w 1968 r. Menedżer sportu i menedżer edukacji sportu; działacz Polskiej Korporacji Menedżerów Sportu (obecnie jako Przewodniczący Komisji Rewizyjnej). Licencjonowany spiker Extraklasy. Jako sędzia piłki nożnej ma na koncie wiele meczów. Sędziował w Niemczech, Czechosłowacji i Holandii. Prawie 20 lat był sekretarzem i rzecznikiem prasowym Kolegium Sędziów ZZPN, wydawał informatory sędziowskie i inne publikacje, prowadził drużynę sędziowską. Jest Sędzią Honorowym PZPN. Współorganizator wielu imprez bokserskich. Wieloletni Członek Zarządu OZB w Szczecinie (obecnie w randze Wiceprezesa). Posiada złotą odznakę PZB i tytuł Sędziego Honorowego PZB, a także certyfikat Delegata ITO i Supervisora (Sędziego Głównego). Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

63. **Zalewski Paweł** – ukończył VI LO w 1989 r. Absolwent Wydziału Nawigacyjnego Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie, gdzie siedem lat później uzyskał doktorat. Od 1995 r. zatrudniony w WSM

w Szczecinie jako kierownik Zakładu Urządzeń Nawigacyjnych oraz kierownik i dyrektor Centrum Inżynierii Ruchu Morskiego. Opiekun studenckiego koła naukowego *Offshore*, członek Polskiego Forum Nawigacyjnego, brytyjskiego Nautical Institute, redaktor naczelny czasopisma *European Journal of Navigation*. W latach 2008-12 był wykładowcą na studiach podyplomowych prowadzonych przez Katedrę Transportu Szynowego Politechniki Śląskiej w Katowicach. Od 2008 r. jest członkiem-ekspertem delegacji Polski na obrady Podkomitetu ds. bezpieczeństwa żeglugi, komunikacji oraz poszukiwań i ratownictwa (NAV i NCSR) Międzynarodowej Organizacji Morskiej. Organizował Międzynarodowy Kongres Mórz i Oceanów *Seas & Oceans 2005* i współuczestniczył w organizacji oraz w komitetach naukowych kilku międzynarodowych konferencji Inżynierii Ruchu Morskiego. Autor bądź współautor ponad 100 artykułów, opracowań naukowych, popularno-naukowych, ekspertyz oraz treści programów kształcenia. Obecnie uczestniczy w realizowanym dla Europejskiej Agencji Kosmicznej projekcie EM-PONA dotyczącym wykorzystania EGNOS jako efektywnego systemu wspomagania GNSS w nawigacji morskiej i śródlądowej. Od 2019 r. Dziekan Wydziału Nawigacyjnego Akademii Morskiej w Szczecinie.

- 64. Zalewski Piotr** – ukończył VI LO w 1989 r. Absolwent Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Ukończył studia podyplomowe z ekonomiki transportu na Uniwersytecie Szczecińskim oraz studia typu MBA. Pracował w dziale eksploatacji statków w Polskiej Żegludze Morskiej, a od 2000 r. jako kierownik działu handlowego w spółce obracającej paliwem dla statków. W 2007 r. - podsekretarz stanu w Ministerstwie Gospodarki Morskiej. Obecnie Prezes Zarządu *SHIP - SERVICE S.A.*



27-28 września 2019 r.